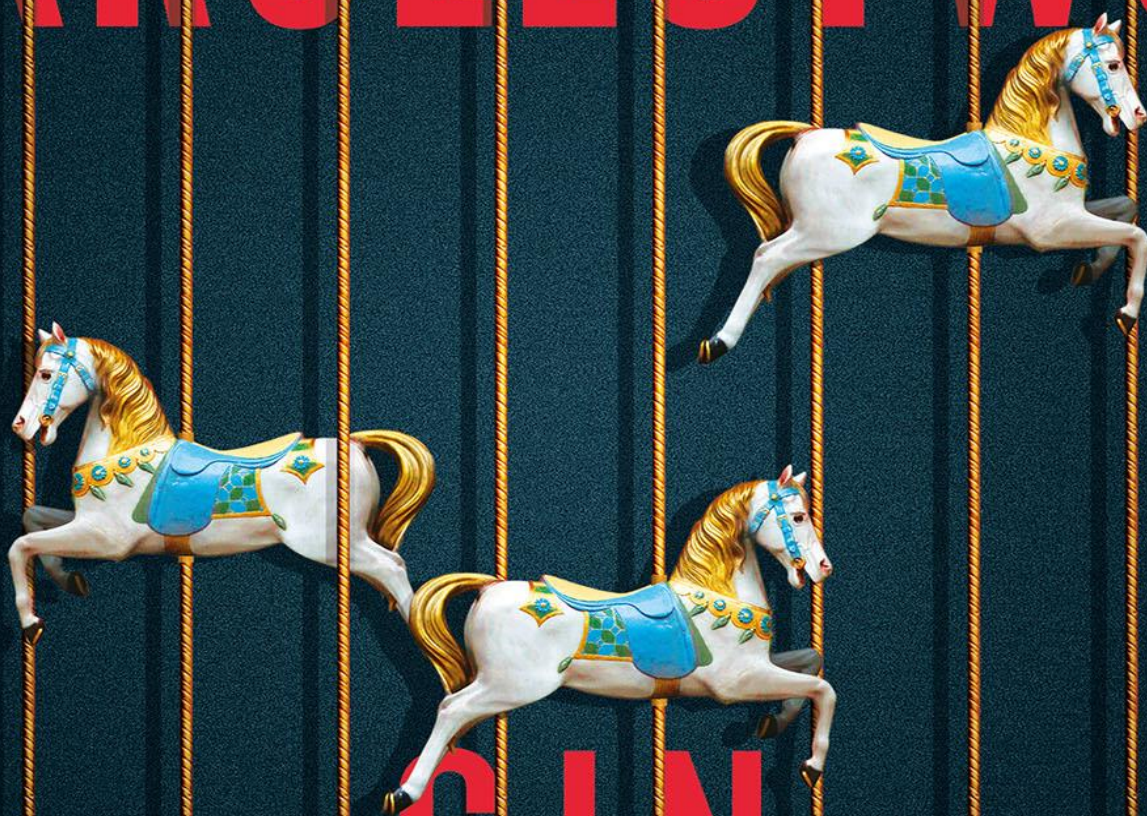


**DZIKIE
KRÓLESTWO**



**GIN
PHILLIPS**

Gin Phillips

DZIKIE
KRÓLESTWO

Przełożył
Zbigniew A. Królicki

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Eliemu, który ma w sobie wiele światów

*Chcę tylko wiedzieć, czy dźwięk może stworzyć chłopca.
Albo czy kobieta staje się matką, kiedy zdaje się jej, że słyszy płaczące za nią dziecko.*

Elizabeth Hughey, „Questions for Emily”

Joan przez długą chwilę balansuje na palcach bosych stóp. Z nogami ugiętymi w kolanach zamiata ziemię rąbkim spódnicy. Teraz jednak mięśnie ud nie wytrzymują, opuszcza więc rękę i opada na piasek.

Coś dźga ją w biodro. Wsuwa pod nie dłoń i wydobywa małą plastikową włócznię, nie dłuższą niż palec. Wcale jej to nie dziwi, bo przecież zawsze znajduje takie rzeczy w różnych nieoczekiwanych miejscach.

— Zgubiłeś włócznię? — pyta. — A może to jest berło?

Lincoln bierze bez słowa ten kawałek plastiku z jej -otwartej dłoni. Najwyraźniej czekał, aż jej podolek znów będzie wolny, gdyż cofa się i wreszcie sadowi wygodnie na jej udach. Nie ma na sobie nawet ziarna piasku. Jest taki schludny; nigdy nie lubił malować palcami.

— Chciałabyś nosek, mamusiu? — pyta.

— Ja już mam nosek — odpowiada Joan.

— A może chciałabyś mieć jeden dodatkowy?

— Kto by nie chciał?

Jego czarne loki domagają się już ścięcia, bo odgarnia je z czoła. Dookoła nich spadają liście. Drewniany dach, -oparty na nieokorowanych palach, skrywa ich w swoim cieniu, lecz dalej plamy światła i mroku na szarym żwirze zmieniają się w podmuchach wiatru przelatującego między drzewami.

— Skąd bierzesz te dodatkowe noski? — pyta synka.

— Ze sklepu z noskami.

Joan śmieje się i podpira rękami, czując przyklejający się do nich piasek. Strzepuje kilka mokrych drobin spod paznokci. Jama Odkrywcy Dinozaurów zawsze jest wilgotna i zimna, bo nigdy nie dociera tu słońce, lecz mimo piasku na spódnicy i przyczepionych do swetra liści jest to chyba ulubione miejsce Joan w ogrodzie zoologicznym. Z dala od głównych alejek, karuzeli, stajni, w której dzieci mogą głaskać zwierzęta, i klatek z ptactwem, za zachwaszczonym zagajnikiem oznaczonym tabliczką z lakonicznym napisem TERNY LEŚNE. Tu, przy wąskich żwirowych ścieżkach, są tylko drzewa, skały i kilka samotnych zwierząt. Jest sęp, który z jakiegoś powodu dzieli swoją wolię z zardzewiałym pikapem. Sowa spoglądająca groźnie na zawieszoną na drzewie zabawkę. Dzikie indyki, które zawsze siedzą nieruchomo, tak że Joan nie jest nawet pewna, czy w ogóle mają nogi. Wyobraża sobie, że padły ofiarą okrutnego żartu -jakiegoś myśliwego — i naszyjnik z indyczych łapek pokrytych plamami potu.

Lubi przypadkową obcość zagajnika, który w wyniku nieporadnych prób uatrakcyjnienia tej części ogrodu nieustannie się zmienia. Teraz między drzewami rozciągnięta jest linka do tyrolki, choć Joan nigdy nie widziała nikogo, kto chciałby po niej zjeżdżać. Pamięta mechaniczne dinozaury, które ustawiono tu parę lat temu, i poprowadzony kiedyś tędy szlak dla poszukiwaczy duchów. Widać jeszcze ślady dawniejszych wcieleń tego miejsca: wielkie głazy, które wydają jej się prawdziwe, choć w rzeczywistości takie nie są, palisadę z rozłupanych bali i chatę pierwszych osadników.

Trudno zgadnąć, po co to wszystko zostało tu umieszczone. Puste cementowe sadzawki mogły być poidłami dla dużych ssaków. Ponawiane co jakiś czas próby poprowadzenia ścieżki przyrodniczej zaowocowały chaotycznym oznakowaniem, które czyni spacer bardziej wyprawą w nieznaną niż lekcją. Na jednym z drzew umieszczono tabliczkę z napisem SASAFRAS LEKARSKI, natomiast dwadzieścia innych wokół niego pozostaje bezimiennych.

— Daj mi teraz coś powiedzieć — zaczyna chłopiec, kładąc dłoń na jej kolanie. — Czy wiesz, co mógłby zrobić Odyn?

Joan w ostatnim czasie dość dużo się dowiaduje o nordyckich bogach.

— Pójść do sklepu z oczami? — pyta go.

— Zgadłaś. Ponieważ wtedy mógłby zdjąć opaskę.

— Chyba że lubił swoją opaskę.

— Chyba tak — zgadza się Lincoln.

Piasek wokół nich usiany jest małymi plastikowymi bogami i łotrami. Są tu Thor i Loki, Kapitan Ameryka, Zielona Latarnia i Żelazny Człowiek. Ostatnio wszystko obraca się wokół superbohaterów. W piaszczystej jamie poniżej leżą imitacje szkieletów, za nimi wyrastają z ziemi żebra jakiegoś wymarłego dawno temu zwierzęcia, zaś obok stoi wiadro ze sfatygowanymi pędzlami do omiatania ich z piasku. Joan zwykła przychodzić tu z synem i szukać kości dinozaurów w jego poprzednim życiu, kiedy miał trzy lata. Teraz jednak, dwa miesiące po czwartych urodzinach, tamten Lincoln-archeolog to już odległa o kilka innych wcieleń przeszłość.

Jama dinozaurów jest obecnie Wyspą Ciszy, więzieniem, w którym przebywa Loki, podstępny brat Thora. I jeśli nie pojawia się akurat temat dodatkowych nosów, w powietrzu rozbrzmiewają odgłosy zażartej bitwy, podczas której Thor usiłuje zmusić Lokiego, aby się przyznał, że to właśnie on stworzył ognistego demona.

Lincoln pochyla się i rozpoczyna na nowo walkę.

— Niegodziwy łotr zachichotał — mówi. — Lecz nagle Thor wpadł na pomysł!

Swoje opowieści potrafi snuć godzinami, jeśli tylko Joan mu na to pozwoli. Ona lubi takie, w których chłopiec wprowadza własne postacie. Wymyślił łotra zwanego Koniarzem, zmieniającego ludzi w konie. Jego przeciwnikiem jest von Koń, który przywraca ofiarom ludzką postać. I tak w kółko.

Joan rejestruje jednym uchem, jak głos Lincolnna zmienia się i moduluje, kiedy ten wciela się w któregoś ze swych bohaterów. Ona sama błądzi gdzieś myślami. Rankiem te alejki zapewne roiłyby się od spacerowiczów i matek ubranych w wygodne spodnie do jogi, lecz tak późnym popołudniem większość odwiedzających już sobie poszła. Joan przychodzi tu czasem z Lincolnem, kiedy już odbierze go z przedszkola — chyba że decydują się pójść do biblioteki, jakiegoś parku czy muzeum przyrodniczego — i jeśli tylko może, prowadzi go do zagajnika. Są tu koniki polne, albo coś, co brzmi jak one, śpiewające ptaki i szeleszczące liście, ale nie słyhać żadnych ludzkich głosów poza snującym swoją opowieść Lincolnem. Tak się wczuł w rolę superbohatera, że może ją odgrywać bez końca.

— Miał tajną broń przy pasie! Jego niegodziwy plan się nie powiódł!

Chłopiec aż dygocze z podniecenia. Każda część jego ciała jest w ruchu, od palców

u stóp po pulchne piąstki. Thor przelatuje w powietrzu, Lincoln podskakuje, a Joan zadaje sobie pytanie, czy jej synkowi bardziej podoba się idea dobra zwyciężającego zło, czy też po prostu ekscytująca bitwa, i kiedy powinna mu wyjaśnić, że większość ludzi żyje na ziemi niczyjej, pomiędzy dobrem i złem. Ale teraz on jest taki szczęśliwy, że nie chce mu tego komplikować.

— Czy wiesz, co się dzieje potem, mamusiu? — pyta. — Kiedy Thor go uderza?

— Co?

Doprowadziła do perfekcji sztukę słuchania go jednym uchem i jednocześnie myślenia o czymś innym.

— Loki zapanował nad umysłem Thora. Ale po tym ciosie stracił nad nim władzę!

— Och — woła Joan. — I co dalej?

— Thor zwycięża!

Lincoln kontynuuje opowieść:

— Jednak w mieście jest nowy łotr, chłopcy! — Tymczasem ona podkurcza i prostuje palce u nóg. Rozmyśla.

Na przykład o tym, że jeszcze nie kupiła prezentu ślubnego dla swojej przyjaciółki Murray. Jest taki artysta, który maluje portrety psów, i jeden z nich mógłby być dobrym wyborem. Powinna chyba wysłać e-mail i złożyć zamówienie, choć zapewne dla malarza „zamówienie” to obraźliwe słowo. Przypomina sobie, że rano miała zadzwonić do ciotecznej babki, i myśli, że może zamiast tego... — w przypływie energii rozwiązuje w myślach kolejne problemy, kiedy Loki zostaje pochowany w piasku — może zamiast tego wysłać ciotecznej babce tę śmieszoną papierową torebkę w formie małpki, wykonaną przez Lincolna podczas zajęć w szkole. Z pewnością to lepsze niż rozmowa telefoniczna, choć może nieco samolubne, gdyż Joan nienawidzi gadać przez komórkę. Jest to typowe dla byłych gliniarzy — o czym ona wie — ale mimo to decyduje się na torebkę. Myśli o faszerowanych kabaczkach robionych przez cioteczną babkę. O resztkę bananowych chipsów w kredensie. I wreszcie o Brusie Box-leitnerze. Kiedy była w szkole średniej, miała lekką obsesję na jego punkcie po obejrzeniu serialu „Strach na wróble i pani King”. Niedawno odkryła, że serial jest w całości dostępny w Internecie, więc znów zaczęła go oglądać, odcinek po odcinku. Jest całkiem niezły jak na produkcję z lat osiemdziesiątych, z zimnowojennymi szpiegami i bohaterami noszącymi okropne fryzury. Nie mogła sobie tylko przypomnieć, czy Lee i Amanda w końcu pocałują się w finale drugiego czy trzeciego sezonu, a pozostało jej jeszcze sześć odcinków drugiego. Ale przecież zawsze może przeskoczyć do trzeciego.

Gdzieś w pobliżu zaczyna stukać dzięcioł. Joan wraca do rzeczywistości. Zauważa, że kurczajka na dłoni Lincolna się powiększyła. Wygląda jak ukwiał. Cienie na żwirze pięknie się zmieniają, chłopiec wydobywa z siebie złowrogi chichot złoczyńcy, a ona nagle sobie uświadamia, że popołudnia spędzane z synkiem siedzącym na jej kolanach, w otaczającym ich lesie, są wręcz upajające.

Thor spada na jej stopę, a jego plastikowa głowa ląduje na jej palcu.

— Mamusiu?

— Tak?

— Dlaczego Thor na filmie nigdy nie nosi hełmu?

— Sądzę, że trudniej coś zobaczyć, gdy ma się hełm na głowie.

— Nie chce chronić nim głowy?

— Pewnie czasem go używa, a czasem nie. W zależności od nastroju.

— Powinien chronić głowę przez cały czas — oświadcza Lincoln. — To niebezpieczne tak walczyć bez hełmu. A jak myślisz, dlaczego Kapitan Ameryka nosi tylko kaptur? To niezbyt dobra osłona, prawda?

Jej męża Paula nudzą takie rozmowy o superbohaterach — bardziej interesują go składki i mecze drużyn NBA — ale Joan nie ma nic przeciwko nim. Sama kiedyś miała obsesję na punkcie Wonder Woman. I Super Przyjaciół. Orz Niezamowitego Hulka. „Kto by zwyciężył, gdyby walczyli ze sobą Superman i Niezamowity Hulk?” — zapytała raz wuja. Odpowiedział: „No cóż, Superman zawsze mógłby odlecieć, gdyby przegrywał”, a ona to uznała za niezwykle błyskotliwą ripostę.

— Kapitan Ameryka ma swoją tarczę — wyjaśnia Lincolnowi. — To nią się zasłania.

— A jeśli nie zdąży w porę unieść jej nad głowę?

— Przecież jest bardzo szybki.

— Mimo to... — mówi chłopiec bez przekonania.

— Wiesz, masz rację — przyznaje w końcu Joan, bo Lincoln faktycznie ją ma. — On naprawdę powinien nosić hełm.

Za tylną ścianą jamy, zbudowaną ze sztucznych głązów, beżowych i wystających, myszkuje jakieś drobne zwierzę. Joan ma nadzieję, że to nie szczur. Wyobraża sobie wiewiórkę, ale na wszelki wypadek woli nie spoglądać w tamtą stronę.

Otwiera torebkę i zerka na wyświetlacz telefonu.

— Za jakieś pięć minut powinniśmy iść w kierunku bramy — oznajmia.

Lincoln zachowuje się tak, jakby nic nie słyszał. Często to robi, kiedy ona decyduje, że czas kończyć zabawę.

— Czy Doktor Doom zawsze nosi maskę? — pyta.

— Słuchasz mnie?

— Tak.

— To co powiedziałam?

— Że zaraz powinniśmy iść.

— W porządku — mówi Joan. — Tak, Doktor Doom zawsze nosi maskę.

Z powodu szram.

— Szram?

— No tak, szram, które mu zostały po nieudanym eksperymencie w laboratorium.

— Dlaczego miałby nosić maskę z ich powodu?

— Ponieważ chce je zakryć — odpowiada Joan. — Uważa, że są brzydkie.

— Dlaczego miałby uważać, że są brzydkie?

Joan patrzy na spadający jasnopomarańczowy liść.

— No cóż, one sprawiają, że różni się od innych — mówi. — Czasem ludzie nie chcą się wyróżniać.

— Ja nie uważam, że szramy są brzydkie — odpowiada Lincoln.

Kiedy to mówi, w lesie rozlegają się ostre i donośne dźwięki. Dwa trzaski, a potem

jeszcze kilka. Przypominają huk pękających baloników lub fajerwerki. Joan próbuje sobie wyobrazić, co można by zrobić w ogrodzie zoologicznym, żeby spowodować hałas przypominający huk małej eksplozji. Coś związanego z obchodami Halloween? W całym ogrodzie porozwieszano światełka — nie tutaj, w zagajniku, ale przy bardziej uczęszczanych ścieżkach — może więc wysadziły one transformator? A może trwają jakieś prace budowlane i włączyli młot pneumatyczny?

Kolejny huk. Następny i jeszcze jeden. Zbyt głośne jak na trzask pękających balonów, zbyt nieregularne jak na młot pneumatyczny.

Ptaki ucichły, lecz liście wciąż spadają.

Lincoln się nie przejmuje.

— Mogę zastąpić Doktora Dooma Batmanem? — pyta. — On nosi czarny strój. A jeśli tak, to czy zrobiłabyś dla niego odpowiednią maskę?

— Jasne.

— Z czego ona będzie?

— Ze sreberka — proponuje mu.

Wiewiórka przebiega po dachu nad jamą i gdy przeskakuje na pobliskie drzewo, Joan słyszy ciche pacnięcie jej łapek.

— Z czego zrobimy ramy? — pyta Lincoln.

Spogląda na niego.

— Ramy? — upewnia się.

On kiwa głową. Joan odpowiada tym samym, powtarzając i analizując jego słowa. Zawsze z przyjemnością odkrywa, w jaki sposób działa jego mózg; to część macierzyństwa, która tym bardziej ją cieszy, że wcześniej nie wiedziała o jej istnieniu. Umysł Lincoln jest skomplikowany i unikalny, tworzący własne światy. Czasem chłopiec wykrzykuje przez sen całe zdania: „Nie schodź po tych schodach!”. Są to okna ukazujące przez chwilę jego wewnętrzny mechanizm, którego ona nigdy tak naprawdę nie pozna. I w tym cały urok. Lincoln jest odrębną istotą, równie rzeczywistą jak ona sama.

Ramy. Zastanawia się nad tą zagadką.

— Mówisz o tych na jego twarzy? — dopytuje.

— Tak. Tych, które uważa za brzydkie.

Ona się śmieje.

— Mówiłam o szramach, no wiesz, takich jak ta na ręce tatusia po oparzeniu wrzątkiem, kiedy był mały. Albo ta na moim kolanie, która pozostała po upadku.

— Och — mówi speszony Lincoln. Sam też się śmieje. Szybko łapie żart. — Szramy, a nie ramy. Więc on nie uważa, że ramy są brzydkie?

— Naprawdę nie wiem, co Doktor Doom sądzi o ramach — odpowiada Joan.

— Ale nie ma ich na twarzy.

— Nie. To są szramy.

Joan słucha, zastanawiając się jednocześnie nad niepokojącymi dźwiękami i nad tym, czy powinna wyjaśnić sprawę szram bardziej delikatnie. To raczej nie mogły być strzały. Bo gdyby były, do tej pory dałoby się słyszeć coś jeszcze: krzyki, syreny lub głos wydający jakieś polecenia przez megafon.

Nic nie słysząc.

Może widziała już zbyt wiele bitew.

Sprawdza godzinę w telefonie. Mają tylko kilka minut do zamknięcia zoo. Całkiem możliwe, że mogą zostać przeoczeni w tym lasku. Niejeden raz wyobrażała sobie taki scenariusz: noc spędzona w ogrodzie zoologicznym, może nawet rozmyślne ukrycie się tutaj i odwiedzanie zwierząt w mroku nocy — podobne sytuacje są opisywane w książeczkach dla dzieci. Oczywiście to tylko śmieszne rojenia, bo na pewno są tu strażnicy. Ale nie żeby kiedykolwiek widziała tu któregoś z nich...

Muszą się pospieszyć.

— Pora na nas, skarbie — mówi, podnosząc Lincolna ze swoich kolan i czekając, aż stanie na własnych nogach, co on robi niechętnie. Myśli, że powinien założyć kurtkę, ale zaklinał się, że nie jest mu zimno, więc zgodziła się, by zostawił ją w samochodzie.

— Czy mamy jeszcze trochę czasu? — pyta chłopiec.

Joan wstaje z piasku i wsuwa stopy w sandały. Przez zamiłowanie do tego typu obuwia nie ma moralnego prawa zmuszać go do noszenia kurtki.

— Nie — odpowiada. — Jest prawie siedemnasta trzydzieści. Zamykają. Przykro mi. Musimy stąd szybko wyjść, bo inaczej zostaniemy tu na noc.

Zaczyna się denerwować z powodu takiej możliwości. Za długo zwlekała, a teraz czeka ich długi spacer przez zagajnik, a potem jeszcze przez plac zabaw dla dzieci. Naprawdę mają mało czasu.

— Zatrzymamy się na placu zabaw i przejdziemy po moście? — pyta Lincoln.

— Nie dzisiaj. Może wrócimy tu jutro.

On kiwa głową i schodzi z piasku na rzadką trawę. Nie lubi łamać przepisów. Jeśli personel zoo mówi, że pora iść do domu, to pójdzie do domu.

— Możesz mi pomóc z butami? — pyta. — I schować moje zabawki do torebki?

Joan się schyla, strzepuje piasek z jego nóg, potem wciąga skarpety na blade palce i szerokie, krótkie stópki. Rozrywa rzepy pasków jego tenisówek i widzi kardynała lądującego tuż obok, na wyciągnięcie ręki. Zwierzęta tutaj w ogóle się nie boją. Czasem spotyka po kilka wróbli, wiewiórek ziemnych lub zwykłych, które z odległości paru kroków obserwują toczoną akurat przez Lincolna bitwę.

Wrzuca do torebki jego plastikowe figurki.

— Gotowe — mówi.

Joan sprawdza, czy w piaskownicy nie zostali jacyś plastikowi bohaterowie, a potem bierze Lincolna za rękę i -rusza ścieżką wychodzącą z zagajnika. Zastanawia się, kiedy synek już nie będzie chciał się trzymać jej ręki, ale na razie wydaje się, że robi to z zadowoleniem. Po niecałych dwudziestu krokach drzewa rozstępują się na boki — gdyż odosobnienie tego miejsca jest tylko iluzją — i rozlega się plusk wodospadu na wybiegu dla wydr.

Wydra to ich ulubione zwierzę, jedno z niewielu, które potrafią oderwać uwagę Lincolna od jego opowieści. Wybieg dla wydr ma formę wielkiej pieczary pod nawisem ze sztucznych głazów, a para tych zwierząt krąży, wynurza się i nurkuje w zielonkawym stawie za szeroką szklaną ścianą. Skały wystają nad chodnikiem. Wodospad spływa po nich nad głowami zwiedzających do zarośniętego liliami wodnymi, trzcunami i jakimiś badyłami o purpurowych kwiatach stawu z żółwiami. Biegnąca obok niego, wyłożona palikami ścieżka zawsze wydawała się Joan najładniejszą częścią ogrodu. Teraz jednak jest jedynie pustką.

Lincoln się śmieje:

— Spójrz na wydrę. Zobacz, jak pływa.

Wciąż ma kłopoty z wymawianiem „r”. Mówi „wydha” zamiast „wydra”. „Lex Luteh”. „Zdobyć bhamkę”.

— Podobają mi się jej łapy — mówi do niego.

— Ona ma łapy? Nie płetwy? Prawdziwe łapy jak pies czy z palcami jak małpka?

Joan ma ochotę przystanąć i wyjaśnić mu, jak jest zbudowana wydra, bo być może najbardziej pragnie tego, by wiedział, że życie jest pełne zdumiewających rzeczy, na które warto zwracać uwagę. „Popatrz, jakie to piękne” — zawołał, patrząc na kałużę benzyny na parkingu przed zoo. Ale teraz nie mają czasu. Ciągnie go za rękę, a on idzie bez oporu, choć niechętnie odwraca głowę od wydr. Kiedy wchodzi na drewniany mostek, z liśćmi lilii wodnych po obu stronach, chciałaby spotkać tu kogoś w drodze do wyjścia, jakąś inną rozgadaną i też spóźnioną rodzinę. Chociaż to nic niezwykłego, że mają to miejsce wyłącznie dla siebie. Czasami nie widują tu nikogo przez całe popołudnie, a tym razem zasiedzieli się bardziej niż zwykle i zbliża się pora zamknięcia. Joan przyspiesza kroku.

— Chcesz się ścigać? — pyta Lincoln.

— Nie.

— To może chciałbyś poskakać?

— Nie, dziękuję.

Chłopiec drepcze dalej.

Joan czasem zadaje sobie pytanie, czy stanowczość, z jaką Lincoln odmawia zrobienia czegoś, nie jest wprost proporcjonalna do jej entuzjazmu dla tej rzeczy. Chłopiec idzie zygzakiem po mostku, przystaje tylko po to, by uniknąć spotkania z jakimś owadem lub popatrzeć na plamistego karpia koi. W końcu zatrzymuje się i drapie po brodzie. Poproszony, żeby się pospieszył, marszczy brwi i po jego minie Joan odgaduje, o co ją zaraz poprosi.

— Chcę, żebyś mnie poniosła.

— Nie mogę cię nieść aż do samochodu — mówi mu. — Jesteś już na to za duży. Widzi, jak Lincoln wysuwa dolną wargę.

— Pójdziemy na kompromis — proponuje, zanim sytuacja się pogorszy i spowolni ich jeszcze bardziej. — Wezmę cię na ręce, kiedy już będziemy przy strachach na wróble, i stamtąd poniosę cię do samochodu. Jeśli dobrze się spiszesz i sam dojdiesz do strachów.

— Dobrze — odpowiada Lincoln, choć głos mu drży, a dolna warga wysuwa się jeszcze bardziej. Po czym zaczyna zawodzić, jednocześnie dotrzymując jej kroku.

Joan uświadamia sobie teraz, że nie zastrzegła, iż nie wolno mu płakać. Tak więc on teoretycznie dotrzymuje umowy. Może wypłacze się po kilku sekundach, a potem zaabsorbuje go jakaś przelotna myśl o hełmie Thora lub opasce na oku Odyna. Albo zacznie płakać jeszcze głośniejsze, a ona będzie musiała się poddać i wziąć go na ręce, ponieważ naprawdę, bez marudzenia, przeszedł spory kawałek na własnych nóżkach. A może wcale nie przestanie płakać, a wtedy ona okaże stanowczość i zmusi go, by sam doszedł do samochodu, bo nie chce, by stał się jednym z tych krnąbrnych dzieciaków.

Rodzicielski bilans zysków i strat, przewidywanie i plany na przyszłość.

Ważka unosi się w powietrzu i błyskawicznie odlatuje. Czapla brodzi przy brzegu wody. Wyłożona palikami ścieżka biegnie wśród drzew i bujnych traw.

Lincoln przestał płakać i Joan wydaje się, że nuci pod nosem hymn kibiców „Buldogów z Georgii”: „Chwała, chwała starej Georgii! Chwała, chwała starej Georgii!”, choć gdy tylko o tym pomyślała, on zmienił to w hymn „Teksańskich Długorogów”. Nikt w rodzinie nie jest kibicem żadnej z tych drużyn, po prostu Lincoln chłonie teksty takich przyspiewek tak samo jak wiedzę o superbohaterach i złoczyńcach.

Zbiera. Gromadzi.

Za drzewami Joan dostrzega podobny do namiotu dach karuzeli. Jego świetlista biel odcina się od szarego jak pomyje nieba. Przechodzą obok zabezpieczonej siatką o drobnych oczkach woliery dla jednonogiego orła oraz prawie niewidocznej woliery dla pary czapli białych. Są tam butwiejące pnie, atalie brazylijskie i limonkowozielone chwasty. Gdy przechodzi pod nisko zwisającą gałęzią, jeden z liści porusza się i zmienia w żółtego motyla, który natychmiast wzbija się zygzakiem w niebo.

W końcu znów się znaleźli wśród betonowych alejek, szerokich jak ulice. Na słupkach ogrodzenia przysiadły lampiony z wydrążonych dyń. Przechodzą kilka kroków ku cywilizacji i Joan spogląda na karuzelę. Ta jest nieruchoma i cicha: malowane żyrafy, zebry, niedźwiedzie, goryle i strusie zastygły w bezruchu. Dawniej Lincoln uwielbiał karuzelę, choć chciał jeździć tylko na zebrze. Teraz nad zwierzętami z karuzeli unoszą się gumowe nietoperze i białe duszki z bibułki, zwisające z drewnianego rusztowania. Joan i Lincoln podchodzą tak blisko, że nad głowami mają białą plandekę zakrywającą karuzelę, jasną i nieruchomą.

— Mamusiu — mówi Lincoln. — Ponieś mnie.

— Kiedy dojdziemy do strachów na wróble — odpowiada, ignorując jego wyciągnięte ku niej ręce. — Jeszcze kawałek.

Chłopiec tym razem nie protestuje. Pospiesznie przechodzą obok karuzeli, do

punktu gastronomicznego i brodzika dla dzieci z fontannami wciąż tryskającymi półtorametrowymi strugami wody, które opadają do niecek o jeżynowej barwie.

— Była tu Meduza — oznajmia Lincoln, a ona spogląda przez pióropusz wody na ocienione miejsce z kamiennymi posązkami żółwia, żaby i jaszczurki. Ostatnio wszystkie napotkane figury z kamienia świadczą o przejściu Meduzy. Na widok pajęczyny chłopiec zwykł mawiać: „Był tu Spiderman”. — Biedaczyska — powtarza teraz, jak zawsze wtedy, gdy mijają ofiary Meduzy. — Nie powinny otwierać oczu — dodaje jeszcze.

Joan zerka na przyciemnione szyby kawiarenki „Koala”, z półkami pełnymi zawiniętych w folię kanapek, żelków i jajek na twardo, ale w środku nic się nie dzieje. Plastikowe krzesła ustawiono do góry nogami na kwadratowych stolikach. Personel zwykle zamyka restauracje i inne budynki piętnaście minut przed końcem pracy ogrodu, więc to ją nie dziwi.

Po prawej stronie znajduje się plac zabaw ze sztucznymi górami i wiszącym mostem. Kiedyś Lincoln interesował się Antarktyką i te wielkie skały były wtedy lodowcami. Poprzedniej wiosny odgrywał na moście rolę rycerza oblegającego zamek i pokrzykującego na niewidzialnych towarzyszy, aby podciągali działa i nakładali kamienie na katapulty. Później ten sam most stał się tęczową ścieżką, po której Thor zawsze schodzi na ziemię. Za rok Lincoln pójdzie do przedszkola i czasy superbohaterów przeminą, zastąpi je coś całkiem nowego, czego ona może się tylko domyślać. Ten ogród zoologiczny też kiedyś zostanie wyparty przez coś innego. Życie pobiegnie dalej, a trzymający ją za rękę chłopiec będzie już kimś zupełnie innym.

Teraz idą w niezłym tempie, przemykają obok sklepiku z pamiątkami i drewnianą planszą z namalowanym gorylem oraz otworem, w który pozujące dziecko może wetknąć głowę. Zwalniają przy zarośniętych glonami akwariach na skraju placu zabaw dla dzieci, bo Lincoln nie może się powstrzymać i musi popatrzeć na olbrzymiego żółwia. Kilka metrów przed nimi nagle pojawia się kobieta w podeszłym wieku, wychodzi zza załomu ściany z szyb akwariów. Lekko się chwieje i trzyma w ręku but.

— Kamyk wyjęty, Tara — mówi z łagodną desperacją, typową dla babć. — Chodź do mnie.

W polu widzenia pojawiają się dwie blondyneczki, niewątpliwie siostry, a ich babcia pochyla się z bukiem nad mniejszą z nich. Dziewczynka ma kucyki i wygląda na młodszą od Lincolna.

— Musimy iść — mówi babcia, zakładając sandałek na małą nóżkę. Potem się prostuje.

Młodsza coś odpowiada, ale zbyt cicho, żeby Joan mogła ją usłyszeć, choć wszyscy znajdują się zaledwie parę metrów od siebie. Kilka much uderza w szyby akwarium.

— Zdejmę ci je, kiedy wsiądziemy do samochodu — mówi lekko zasapana babcia. Robi jeden chwiejny krok i chwytą dziewczynki za rączki. Siostry mrugają do Lincolna, jednak kobieta już ciągnie je za sobą.

— To babcia — stwierdza Lincoln zbyt głośno i zatrzymuje się tak gwałtownie, że Joan czuje szarpnięcie.

— Ja też tak myślę — odpowiada mu szeptem.

Joan zerka na starszą panią. W powietrzu unosi się sztuczny zapach kwiatów,

przypominający jej panią Manning, która na koniec szóstej klasy dała jej — i nikomu więcej — egzemplarz „Wyspy błękitnych delfinów”. Ale kobieta i jej wnuczki już odeszły, zniknęły za rogiem ostatniego akwarium.

— Czy gdybym miał babcię, to tak by wyglądała? — pyta Lincoln.

Ostatnio ma obsesję na punkcie dziadków. Joan spodziewa się, że przejdzie mu to równie szybko jak wszystko inne.

— Ty masz babcię — odpowiada, znów ciągnąc go za sobą. — Babusię. Mamę tatusia. Była tu na święta, pamiętasz? Ona mieszka daleko stąd. Musimy iść, skarbie.

— Niektórzy mają mnóstwo dziadków. Ja mam tylko babcię.

— Nie, masz dwie babcie i dziadka. Teraz musimy już iść, albo będziemy mieli kłopoty.

Magiczne słowo. Lincoln z poważną i zdecydowaną miną kiwa głową i przyspiesza.

Słychać kolejny huk, głośniejszy i bliższy niż poprzednio — niczym tuzin ostrych trzasków. Joan zastanawia się, czy nie jest to jakiś problem z rurami.

Dochodzą do brzegu stawu — największego w zoo, niemal jeziora — i Joan dostrzega parę łabędzi tnących taflę wody. Ścieżka się rozdziela. Prawym odgałęzieniem przeszliby wzdłuż drugiego brzegu stawu i przez wystawę afrykańską, ale lewe odrobinę szybciej doprowadzi ich do wyjścia. Przed sobą widzi zielono-czerwone papugi, niezwykle ciche. Lubi tę ich wysepkę pośrodku betonu — obmurowany cegłami basen z trawiastym pagórkiem i wątlymi drzewkami — która zawsze jest ich pierwszym i ostatnim przystankiem, rytualnym zakończeniem każdej wizyty w ogrodzie.

— Spróbuj naśladować głosy papug — proponuje Lincolnowi.

— Nie chcę — odpowiada chłopiec. — Chciałbym zobaczyć strachy.

— Popatrzymy sobie na nie po drodze.

Pod płótkiem otaczającym staw ustawiono długi rząd strachów na wróble. Wiele z nich ma głowy z dyń i Lincoln jest nimi zafascynowany. Uwielbia Supermana i astronautę w hełmie z pomalowanej na biało dyni, a zwłaszcza Kota Prota.

— No dobrze, skarbie — mówi mu.

On puszcza jej dłoń i wyciąga rączki.

Joan wodzi wzrokiem wzdłuż płotu, szukając jasnoniebieskiej, dyniowej głowy Kota Prota. Mniej więcej w połowie rzędu kilka strachów się przewróciło. Pewnie z powodu wiatru, ale nie, przecież nie wieje. A jednak pół tuzina strachów leży na ziemi przed kwaterą papug i jeszcze dalej...

Nie, to nie są strachy na wróble. Nie strachy.

Dostrzega poruszającą się rękę. I ciało, które jest za małe jak na stracha na wróble. Spódniczkę bezwstydnie zadartą powyżej białego biodra, podkulone nogi.

Zbyt wolno przenosi wzrok, lecz gdy spogląda dalej — za leżące na ziemi postacie, za stanowisko papug — na długi i niski budynek z toaletami i drzwiami z napisem WSTĘP WZBRONIONY, dostrzega nieruchomego, odwróconego do niej plecami mężczyznę. Stoi przy fontannie. Jest w dżinsach i ciemnej koszuli, bez wierzchniego okrycia. Włosy ma ciemnobrązowe lub czarne. Joan nie jest w stanie dostrzec innych szczegółów, ale doskonale widzi jeden. Kiedy mężczyzna w końcu się porusza, po czym

kopie w drzwi i unosi łokieć prawej ręki, Joan zauważa w jego ręku broń — jakiś karabin, długi i czarny, z cienką lufą sterzącą jak antena nad jego głową. Wreszcie nieznajomy znika w pomalowanym na jasnozielono wnętrzu damskiej toalety.

Joan wydaje się, że dostrzega jakiś ruch, jeszcze kogoś innego, kto znajduje się w pobliżu stanowiska papug. Ale już się odwraca i nie widzi nic więcej.

Chwyta Lincolna i podnosi do góry. Zwisające nogi chłopca uderzają ją mocno, gdy umieszcza go na swoim biodrze. Prawą dłonią łapie nadgarstek lewej i splata ręce pod jego pupą.

Ucieka.

Pędzi przed siebie. Oczywiście nie w kierunku ciał, ale w stronę stawu i wystawy afrykańskiej. W pewnym momencie uświadamia sobie, że mogłaby cofnąć się do zagajnika. Wciąż może zawrócić, by schronić się w cieniu piaszczystej jamy lub wysokich drzew. Jednak nie chce tego robić, bo nie jest pewna, czy ten mężczyzna — a może mężczyźni? — ich nie zobaczył i czy nie podąży za nimi, bez pośpiechu, gdyż to on ma broń i najwyraźniej nie zależy mu na czasie. Poza tym coś nie pozwala jej zawrócić i podpowiada, że na pewno lepiej jest biec do przodu. Bezpieczniej.

„Dalej. Dalej. Dalej”. Te słowa odbijają się echem w jej głowie. W ich rytmie stopy Joan uderzają w beton alejki.

Kobieta wyobraża sobie, że strzelec obserwuje ich i rusza za nimi, okrąża staw, uśmiechając się coraz szerzej. Może nawet przyspiesza kroku.

Joan nie jest w stanie znieść tej niepewności. Zerka przez ramię i wydaje się jej, że nikogo tam nie ma. Jednak nie może być tego pewna, gdyż nie chce się zatrzymywać.

Welniana spódnica krępuje jej ruchy, utrudniając bieg. Joan chciałaby ją podkasać, ale nie ma wolnej ręki. „Może się rozerwie” — myśli z nadzieją. Pod jej stopami chrzęszczą kamyki. Palcami stóp ścisza rzemyki sandałów, słysząc kłapanie podeszew o beton. I znów pojawia się strach, że but spadnie jej z nogi.

Przed Halloween wzduż tej alejki rozciągnięto światełka, które wesoło mrugają tuż nad jej głową, jasno i oślepiająco, tak samo jak wtedy, gdy Lincoln przypadkowo zaświeci jej latarką w oczy.

Niebo ciemnieje.

— Dlaczego biegniemy? — pyta chłopiec, który wszystkimi swoimi dwudziestoma kilogramami podskakuje na jej biodrze, a Joan dziwi się, że tak długo był cicho. Może dopiero teraz dotarło do niego, iż nie zmiierzają w kierunku parkingu.

Kłuje ją w piersi, kiedy usiłuje nabrać tchu, by mu odpowiedzieć.

— Odpowiem ci. — Sapie i przerywa, żeby wciągnąć powietrze. — Ale za minutę.

Lincoln mocniej obejmuje ją za szyję. Równolegle do alejki, tuż za tymi jasnymi lampkami, biegnie tor kolejki. Wiele by dała, żeby teraz zobaczyć czerwono-czarny skład zatrzymujący się obok i gotowy ich zabrać, choć przypuszcza, że ona sama biegnie szybciej niż jeździ ten pociąg. Pomimo to chętnie by nim pojechała. Ręce już zaczynają ją boleć i nagle przypomina sobie, jak w zeszłym tygodniu spacerowali w parku. „Czy kaczki mają zęby?”. „Czy kaczki mają stopy?”. „Dlaczego ja nie chodziłem, jak byłem malutki?”. „Czy miałem stopy?”. „Czy miałem nóżki?”. Kiedy tamtego popołudnia wracała do domu, nie miała już siły dłużej go nieść i musiała go postawić na trawie. Płakał, gdy to robiła.

Teraz go nie postawi.

— Mamusiu! — mówi, urażony, dotykając rączką jej twarzy. — Nie za minutę.

— Tam był zły człowiek — oznajmia Joan. Z pewnością nie powiedziałaaby tego, gdyby nie była taka przestraszona.

— Gdzie? — pyta Lincoln.

Pogubiła się.

— Co?

— Gdzie jest ten zły człowiek? — dopytuje mały.

Joan dwoma susami przeskakuje przez szyny, które przecinają aleję. Gdyby teraz nadjechała kolejka, to ktoś by ją prowadził, a ona chętnie by ujrzała jakąś ludzką istotę. Wtedy staw zostałaby za nimi, a ciała i tamten człowiek po jego drugiej stronie. Kręta alejka do wystawy afrykańskiej biegnie w górę szpalerem drzew, szerokolistnych roślin z lasu deszczowego, które zasłaniają ich przed wzrokiem ewentualnego obserwatora. Z pewnością trudniej ich teraz dostrzec, jeśli ktoś podąża ich śladem.

— Był tam — mówi synkowi, potykając się.

Słyszysz syreny. Nie jest w stanie określić, jak daleko stąd, ale to oznacza, że policja już jedzie i robi porządek. Jednak na razie w niczym jej to nie pomaga.

— Nie widziałem złego człowieka. Skąd wiesz, że jest zły?

Lincoln wbija brodę w jej ramię.

Denerwuje się, kiedy Joan nie odpowiada na jego pytania, a ona nie chce, żeby się rozplakał. Mógłby narobić hałasu, zacząć się wyrywać albo — co gorsza — bezwładnie zawisnąć na jej ramionach. Wtedy robi się dwukrotnie cięższy.

— Musimy się stąd wydostać — mówi do niego, dysząc. — Natychmiast. Pomóż mamusi i trzymaj się. Spróbuj trochę mocniej ścisnąć mnie nóżkami, a ja zaniosę cię w jakieś bezpieczne miejsce i potem ci odpowiem.

Z trudem wydobywa z siebie słowa. Nadal czuje klucie w piersi. Bołą ją uda. Słońce schowało się za korony drzew, których cienie pod jej nogami wydają się długie i mizerne.

Potrąca łokciem o liść bananowca, twardy i szeroki niczym skrzydło.

— Dokąd? — pyta Lincoln, bo oczywiście nie przestanie pytać. — Dokąd idziemy?

Ale ona nie wie, dokąd powinni pójść, co robić, ani czego w ogóle szukać. Jej stopy poruszają się rytmicznie. I jeszcze mocniej ścisną palcami rzemyki sandałów. Pragnie, aby alejka biegła w dół.

Dłużej nie zdoła tak pędzić.

Ukryć się. Muszą gdzieś się ukryć.

Trzeba to zrobić najpierw, a potem zadzwonić na policję lub do Paula, albo pod oba numery. Joan sądzi, że należało by zadzwonić na policję — choćby po to, by ją zawiadomić, że ona i Lincoln tu utknęli. Z pewnością policjanci powinni wiedzieć, kto jeszcze jest w zoo. Joan przerzuca małego z prawego biodra na lewe i próbuje inaczej go uchwycić.

— Mamusiu! — woła Lincoln, nadal czekając na jakąś odpowiedź. Zawsze oczekuje odpowiedzi.

W końcu docierają na szczyt wzgórza, pozostawiając z tyłu ściany idealnie zaplanowanej dziczy. Joan widzi przed sobą wybieg dla słoni afrykańskich, z piaszczystymi wzgórkami, trawą i przepływającym strumieniem. Teraz muszą skrócić w lewo lub w prawo. Alejka w prawo doprowadzi do żyraf, lwów i tygrysów, a za zakrętem tej po lewej są nosorożce, dzikie psy i mały.

— Mamusiu!

Całuje jego główkę i skręca w lewo.

— Uderzyłem zębami w twoje ramię — mówi Lincoln.

— Przykro mi — odpowiada.

Teraz jest zadowolona, że nie wrócili do lasu i znajomymi wąskimi ścieżkami do jamy dinozaura, gdyż pomimo tych wszystkich wysokich drzew nie byłoby tam wielu kryjówek, a nieliczne odpowiednie — takie jak chata z bali i domek dla motyli — byłyby za bardzo oczywiste. Rzecz jasna, jest tam sporo miejsca, żeby uciekać i kluczyć, jeśliby zostali zauważeni. Tylko jak daleko zdołałaby uciec, niosąc Lincolna? Nie, niepotrzebna im była rozległa przestrzeń. Jeśli ktoś ich zauważy, ucieczka nic im nie da.

Uznała to za ważną myśl. Dowód na to, że jej umysł zwycięża nad paniką.

Tak. Ucieczka nic im nie da. Muszą ukryć się tak dobrze, by nikt ich nie zobaczył, nawet przechodząc tuż obok. Potrzebna jej jakaś kryjówka. Schron. Tajne przejście.

Lincoln przestał się odzywać. Widocznie udzielił mu się jej przestach. Cieszy ją to, jeśli to tylko umiarkowany lęk, wystarczający, by uciszyć chłopca, ale nie przerazić. Teraz tego nie wie, ale dowie się, kiedy już będą bezpieczni.

Wybieg dla słońi ciągnie się bez końca. Przemykając wzdłuż ogrodzenia, Joan słyszy muzykę; z początku niezrozumiała, tylko strzępy melodii, ale zaraz rozpoznaje motyw przewodni z filmu „Pogromcy duchów”. Ta wesola melodyjka staje się o wiele głośniejsza, gdy mijają automaty z colą, które w za-bawach Lincolna często odgrywają rolę komputera Batmana.

„Joker znów zaczyna swoje sztuczki! Do batmobilu! Mamusiu, myślisz, że Batman ma swoją myjnię, bo batmobil jest zakurzony, Ale przecież to kabriolet, więc czy mogą go umyć?”. Joan lekko skręca sobie nogę w kostce, jednak nie zwalnia. Na wybiegu, zaskakująco blisko ogrodzenia po ich prawej stronie, dostrzega sennego słońa. Widok jego masywnego cielska dodaje otuchy. Joan widzi kątem oka łagodne, wahadłowe ruchy jego trąby, rejestruje ich rytm, ale już odwraca się w przeciwną stronę, w lewo, i spogląda na niski budynek kilka metrów dalej. Bar przekąskowy „Sawanna”. Jedli tam rodzynki pod wielkim słomianym dachem, z wentylatorem owiewającym ich ciepłym powietrzem lata, jednak nigdy nie siedzieli w środku. Ona woli pozostać na zewnątrz i obserwować słońie, udając, że to Afryka — zawsze myślała, że pewnego dnia zabierze tam Lincolna, gdyż on lubi rozmyślać o wszystkich tych miejscach, które mu pokazuje. „Czy naprawdę jeździłaś na słońiu w Tajlandii, mamusiu?”. „Tak, jeszcze zanim się urodziłaś”. Zerka na toalety, mijając je, ale zaraz sobie przypomina rozwalone kopniakiem drzwi i znów przyspiesza. Sam bar mógłby być bezpieczniejszym miejscem, bo w drzwiach z pewnością są zamki, a w środku wiele pomieszczeń, biur i magazynów z lepszymi zamkami, kryjówekami i schowkami, może krzesłami, stołami lub ciężkimi skrzyniami, którymi można by zastawić drzwi. Ta myśl jest nagła i kusząca, więc Joan wbiega w cień słomianego zadaszenia i napiera na szklane drzwi. Te jednak nie ustępują, a wewnątrz jest ciemno.

OTWARTE, głosi wywieszka.

CZARCIA POLEWKA, głosi druga, fioletowo-różowa. zjawiskowa!

Joan odwraca się i biegnie dalej, a Lincoln mocno obejmuje rączkami jej szyję, co nieco zmniejsza obciążenie jej rąk. Jest tak wyczerpana i wytrącona z równowagi, że

o mało nie wpada na betonowy filar.

Zauważa głośnik, umieszczony wysoko. Płynie z niego muzyka. „Niewidzialny człowiek w twoim łóżku śpi. Kto może pomóc ci? Pogromcy duchów”.

Oddała się od baru i od głośników, wychodząc z powrotem w gasnące światło dnia. Słonia z tą jego długą trąbą już nie ma. Jak coś tak wielkiego może zniknąć bez śladu? Joan raz po raz szepcze Lincolnowi do ucha „będzie dobrze” i przyspiesza, choć nie wie, dokąd zmierza. Nie biegnie w tym miarowym tempie, w jakim regularnie pędzi po ulicach swojej dzielnicy. Nie jest przygotowana na coś takiego. Myśli o swoim starszym bracie, który podczas służby wojskowej miał obsesję na punkcie czegoś, co nazywał marszobiegiem: pokonywaniem wielomilowych odległości z piętnastokilogramowym workiem na plecach. Wtedy słabo go znała, gdyż przeprowadził się z ojcem do Ohio — uciekł znacznie wcześniej, niż ona to zrobiła — i widywała go tylko przez dwa tygodnie latem i czasem w święta. Odwiedzał ją, kiedy był już dorosłym mężczyzną, i raz założył jej ten plecak — siedem lat przed tym, zanim pierwszy raz pobiegła w maratonie. Ona próbowała zrobić na nim wrażenie, ale była spocona i zdyszana już po pokonaniu dwóch przecznic. Teraz też dyszy i bołą ją mięśnie. Ciężar Lincolnna ściąga ją w bok. Przez te wszystkie lata powinna była ćwiczyć marszobieg.

Jak długo biegła? Trzy minuty? Cztery? Nie wiadomo. Wieczność.

Przez dźwięki syntezatorów z lat osiemdziesiątych wciąż słyszy wycie syren. Teraz głośniejsze.

Jest już prawie przy wybiegu dla nosorożców. Widzi dwoje nastolatków, chłopca i dziewczynkę, którzy zmiierzają w jej kierunku, biegnących tak, jakby wiedzieli, że coś się dzieje, a nie tylko próbowali dotrzeć do wyjścia przed zamknięciem. Wcześniej myślała, że dobrze byłoby spotkać jakichś ludzi, ale teraz odkrywa, że wcale tego nie chce. Ludzie tylko wszystko skomplikują. Nastolatkowie zwalniają na jej widok — chłopak chwytając okulary przeciwsłoneczne, które spadają mu z nosa — i oboje mówią jednocześnie, pytając o coś. Ale Joan omija ich bez słowa, obracając się przy tym bokiem.

Dziewczyna ma pomarańczową spódniczkę z koronkowym rąbkiem, tak krótką, że ledwie zakrywa bieliznę. Jaka matka pozwala na coś takiego? Być może bardzo kochająca matka, skoro wmówiła jej, że wygląda pięknie nawet w spódniczce przypominającej skórę od kielbasy.

— Nie idźcie do bramy — mówi Joan, ledwie zwalniając kroku. — Jakiś człowiek strzela do ludzi.

— Strzela? — pyta dziewczyna.

Chłopak wypowiada więcej słów, zbyt wiele, ale padają one w próżnię.

— Zabije was, jeśli was zobaczy — woła przez ramię Joan, już daleko za nimi. — Schowajcie się gdzieś, dopóki nie przyjedzie policja.

Nie ogląda się za siebie. Teraz najważniejszy dla niej jest Lincoln. On nie może skończyć, wykrwawiając się na betonie.

To dobrze, że bar był zamknięty. Szukanie w nim schronienia byłoby głupotą. Może znaleźliby tam dobrą kryjówkę, ale ten człowiek sprawdziłby budynek, prawda? Przede wszystkim przeszukałby wszystkie zabudowania, rozwalając kopniakami drzwi, wybijając szyby i przewracając sprzęty — bo rozbijanie rzeczy widocznie dawało mu

satysfakcję. A na otwartej przestrzeni nie ma czego łamać, a przynajmniej niczego tak solidnego jak meble, drzwi czy kości.

Joan słyszy swój oddech i kroki, najcichsze z możliwych, ale także wiatr, odgłosy ulicznego ruchu w pobliżu i drzenie liści na gałęziach — wszystkie te dźwięki w tle, których na co dzień nie wychwytuje. Teraz są jej potrzebne, gdyż Lincoln nigdy nie będzie całkiem cicho. Jest grzecznym chłopcem, ale nie można oczekiwać, że będzie bez przerwy milczał. A przecież nawet szept może sprowadzić na nich śmierć...

Na otwartą przestrzeń.

Ukryć się tam, gdzie nikt nie zajrzy.

Zerka za siebie, na rozległy wybieg dla słoni, gdzie jest dużo skał i całe ściany zbudowane z głazów, ale jego dno znajduje się zbyt nisko, żeby dała radę na nie zeskoczyć. W dodatku są tam zwierzęta, więc cały ten pomysł jest niedorzeczny. Jednak nasuwa jej się myśl, że strzelcy na pewno nie sprawdzą wybiegów.

Zastanawiała się nad tym nie dłużej, niż zajęło jej zrobienie dziesięciu kroków, tak szybko, a zarazem tak wolno. Gdyby się odwróciła, jeszcze zobaczyłaby tę parę nastolatków — ale nic by jej to nie dało. W oddali ryczy lew i nie jest to wstrząsający dźwięk, ponieważ zwierzęta są karmione tuż przed zamknięciem ogrodu, a zniecierpliwiony lew zawsze hałasuje. Zwierzę znów ryczy, niemal krzepiąco. Otaczają ją dzikie stworzenia w klatkach. W tym momencie czuje z nimi wspólnotę.

Małpa wrzeszczy piskliwie i agresywnie, a Joan zastanawia się, czy może dozorca nie nakarmili zwierząt. Może im przeszkadzono.

Nagle wpada na pomysł. Jeżozwierz.

Wprawdzie wszystkie budynki powinny być pozamykane, ale tamten może nie? Może dozorca z ostatnim pękiem kluczy jeszcze do niego nie dotarł.

Kierując się do pawilonu naczelnych, modli się w duchu; od dawna tego nie robiła. Mija znajdujący się po lewej stronie plac przed wystawą afrykańską — z bębnami, maskami, huśtawką i figurą żuka gnojowego. Potem wbiega pod pajęczynę lin, na których kołyszą się zubożniałe czepiaki, i już jest przy drzwiach pawilonu. Pcha podwójne drzwi, a te otwierają się bez oporu. Pędzi przez chłodne, mroczne sale budynku, mijając lemury o czarno-białych pasiastych ogonach i załom korytarza, za którym wszystko spowija półmrok, a z podłogi wyrastają pnie drzew. Tak jak niemal wszędzie w tym ogrodzie, nie wiadomo, czy te drzewa są prawdziwe, czy sztuczne, lecz gdy opiera dłoń o jedno z nich, próbując złapać równowagę, kora wydaje się jej prawdziwa.

— Jakiś człowiek strzelał do ludzi? — pyta Lincoln przyciśnięty do jej obojczyka.

— Tak.

— Czy on nas goni?

— Nie.

— To dlaczego uciekamy?

Joan widzi, że wybiegi są oświetlone uwiecznionym za szybą światłem dziennym, i mimowolnie zauważa, że zwierzęta mają głązy i jaskinie, w których mogą się ukryć. Jaskinie być może prowadzą do pomieszczeń na zapleczu. Gdyby udało jej się przedostać za tę grubą szybę... Jednak nie potrafi przechodzić przez ściany — jak Niewidzialna Kobieta czy któryś z X-menów — biegnie więc dalej, ocierając się o gładkie szkło lub

chropowate i czyste ściany z pustaków.

Ma świadomość, że w którymś momencie mięśnie odmówią jej posłuszeństwa. Jej ręce rozluźnią chwyt i opadną, choćby najmocniej z tym walczyła. Na razie czuje tylko pulsujący ból od ramion po nadgarstki i od bioder po kostki nóg.

— Mamusiu?

— Już prawie jesteśmy na miejscu — mówi, ledwie wymawiając te słowa.

Mijają jedną małą po drugiej, żadna nie zwraca na nich uwagi.

Nagle Joan dostrzega szklane drzwi, uderza w nie barkiem i znów znajduje się na zewnątrz, na chłodnym wietrze. Przed sobą ma poszarzałą ze starości barierkę, biegnącą na wysokości jej piersi. Dalej jest niewielki wybieg, ogrodzony kępą sosen i wysokiej trawy. Joan stoi na deskach drewnianej platformy — patia pomiędzy dwiema salami wystawowymi. Po lewej stronie są kolejne szklane drzwi prowadzące do pawionów i orangutanów oraz innych oszklonych wybiegów i sal, zupełnie dla niej nieprzydatnych. Tablica na ścianie z cegieł opisuje zwyczaj jeżozwierza, choć nie wyjaśnia, dlaczego umieszczono go w pawilonie naczelnych. Kilka miesięcy temu jakaś dozorczyń z notatnikiem w ręku wyznała — po cichu, by Lincoln nie usłyszał — że jeżozwierz zdechł. Joan z Lincolnem co pewien czas sprawdzali, czy jest już nowy osobnik. W końcu wyznała mu prawdę. Widywał już martwe ptaki, wiewiórki i rozgniecione karaluchy, więc nie ma sensu udawać, że życie trwa wiecznie. Lincoln liczył na to, że zobaczy malutkiego jeżozwierza, ale wybieg pozostawał pusty.

Joan ma nadzieję, że nadal tak jest.

Podchodzi do barierki i spogląda na niskie drzewa oraz wydrążone pnie. Nad nielicznymi kępami traw dominują płaty gołej ziemi i żwiru. Wybieg jest zaśmiecony i zaniedbany. Na jego środku jest coś, co zapamiętała: wysoka na metr lub półtora sterta głazów. Ta skalna ściana ma kilka metrów długości i zagina się tak, że nie widać, co znajduje się za nią. Cały wybieg jest ogrodzony drucianą siatką, w połowie obrośniętą pnączami. Ten płot ma co najmniej pięć metrów wysokości i na szczycie jest zagięty pod kątem prostym do wewnątrz — czyżby naprawdę mieli -jakiś problem z jeżozwierzem-wspinaczem? — a tuż za nim wznoszą się sosny.

Wybieg znajduje się w głębi pawilonu. Nie wygląda na kryjówkę odpowiednią dla człowieka. I właśnie dlatego Joan uważa, że to doskonałe miejsce.

Opuszcza Lincolna na barierkę, ze stęknieniem uwalniając się od jego ciężaru. Przez barierkę łatwo będzie przejść, a po jej drugiej stronie jest krótki występ, szeroki niemal na stopę. Stanie na nim, a potem przeniesie synka. A gdyby nawet coś poszło nie tak, upadną na ziemię z wysokości około pół metra. Lincolnowi nic by się nie stało, ale mógłby zacząć płakać i ten dźwięk... Nie, upadek mu nie grozi. Ona przez cały czas będzie go trzymać.

— Oto co zrobimy — mówi mu. — Posadzę cię tutaj, a sama się wdrapię i...

Chłopiec potrząsa głową i mocno łapie ją za ramiona nad łokciami.

— Mamusiu, nie możemy wchodzić do zwierząt!

— Tam nie ma żadnego zwierzątka, pamiętasz? — przekonuje go, usiłując rozewrzeć jego palce. — To domek jeżozwierza. I jeszcze nie sprowadzili nowego.

— Ogrodzenia są po to, żeby trzymać zwierzęta w środku, a ludzi na zewnątrz —

odpowiada Lincoln.

Nigdy tak bardzo nie żałowała tego, że nauczyła go przestrzegać zasad.

— Dzisiaj obowiązują inne przepisy — mówi mu. — Takie dla nadzwyczajnych sytuacji. Zgodnie z nimi mamy się ukryć i nie pozwolić, żeby znalazł nas człowiek z karabinem.

Lincoln puszcza ją, ogląda się za siebie i znów chwyta jej rękę.

— Spadnę — protestuje. — Jest za wysoko.

— Czy pozwoliłabym ci spaść?

— Nie — mówi, przytulając się mocniej. — Mamusiu.

— Będę cię trzymać. A teraz przejdę na drugą stronę...

— Mamusiu! — jęczy mały.

— Cii. Nie puszcze cię.

Odbija się i siada okrakiem na płocie, ściskając barierkę rękami tak, by wciąż mogła przytrzymać Lincolna. Trochę niezdarnie, ale udaje jej się pokonać resztę drogi. W końcu dość pewnie staje na betonowym występie.

Lincoln zaciska dłonie na jej przegubach. Joan słyszy, jak syn głośno oddycha, bliski łez. Z powodu człowieka strzelającego do ludzi czy tak drastycznego naruszenia zwykłego biegu spraw? Trudno powiedzieć.

— Mamusiu.

— Trzymam cię — zapewnia Joan, po czym obejmuje synka i przyciska do piersi. Jego pięty głośno uderzają o żelazną siatkę. — Teraz cię zsadzę — mówi. — Chcę, żebyś postawił stopy na tym schodku i złapał się rączkami poręczy. Potem zeskoczę na ziemię i zdejmę cię.

Podnosi go, nie dając mu czasu na rozmyślanie, ponieważ po namyśle wcale nie bywa odważniejszy, a cały ten manewr można wykonać w dwie sekundy. Mocno trzymając się poręczy, jedną ręką opuszcza chłopca. Wygina się w talii i odchyła od barierki, żeby zrobić dla niego miejsce. Przez moment Lincoln zawisa w powietrzu, przytrzymywany tylko jedną jej ręką. Joan wyczuwa jego strach, ale zaraz stawia go na tym samym występie, na którym sama stoi, tak że jego tenisówki są wepchnięte między jej skórzane sandały. Mocno zaciska palce na oczkach drucianej siatki.

— Trzymaj się — mówi.

Zeskakuje, po czym miękko i z łatwością ląduje w trawie sięgającej jej do pasa. Zdejmuje syna, obracając go tak, by mógł objąć rączkami jej szyję. Lincoln zaciska nóżki na jej biodrach, a ona znów rusza, patrząc pod nogi na tyle, na ile jest to możliwe, bo on zasłania jej widok. Przypomina sobie, jak podczas ciąży brzuch sprawiał, że nierówny teren zmieniał się w niewidoczny tor przeszkód. W końcu znajdują się za ścianą z głazów, która wyglądała tak kusząco.

Joan osuwa się na ziemię i opiera plecami o skałę — twardą i zimną. Siedzi z szeroko rozłożonymi nogami. On wciąż się do niej tuli.

Lincoln nie puścił jej, więc jedną ręką wyciąga z torebki telefon i trzyma go przed sobą, tuż za główką chłopca, muskając dłonią jego zmierzwiłe kędziory, zawsze zlepione na potylicy, jakby wcierał w nie syrop. Joan przesuwa kciukiem po ekranie, a potem zastyga, wciąż nie wiedząc, czy zadzwonić na policję, czy do Paula. Policja z pewnością już tu jest i być może ma do niej jakieś pytania. Jednak ona chce usłyszeć głos męża.

I nagle widzi wiadomość tekstową od niego. Patrzy na czarno-szare litery tekstu w tak znajomym, zaokrąglonym prostokącie dymka.

Chyba nie jesteś w zoo, co? Daj mi znać jak najszybciej.

Oczywiście on nie ma pojęcia, dokąd poszli. Zwykle sama tego nie jest pewna, dopóki Lincoln nie oznajmi, gdzie chce być po południu, kiedy ona umieszcza go w foteliku samochodowym. Skoro Paul teraz o to pyta, to zapewne o czymś wie.

Wystukuje odpowiedź, choć przez chwilę zastanawiała się, czy do niego nie zadzwonić. Jej palce odruchowo zaczęły pisać. Nawyk.

Tak. W zoo. Czy wiesz, co się dzieje? Schowaliśmy się na wybiegu dla jeżozwierza.

Paul w żaden sposób nie może się orientować, gdzie jest wybieg dla jeżozwierza. Nie bywa w zoo tak często jak ona. Joan dodaje:

Przy pawilonie naczelnym.

Naciska „wyślij” i natychmiast zaczyna pisać drugą wiadomość.

Wezwij policję. Widziałam ciała przy bramie. I człowieka -z -bronią.

Znów naciska „wyślij” — coś jest nie tak z segregowaniem wiadomości, gdyż nie są wyświetlane we właściwej kolejności — ale nie może zatrzymać swoich palców. Lubi patrzeć, jak się poruszają, jak litery układają się w zdania. Lubi blask ekranu i dopóki pisze, są tylko te niebieskie pola pełne słów, nakładające się na siebie.

Nic nam nie jest. Jesteśmy bezpieczni — pisze do Paula, a potem jej kciuki nieruchomieją, gdy się zastanawia, co będzie dalej.

Włosy Lincolnna łaskoczą ją w ramię. Chłopiec zaczyna się kręcić i wiercić. Joan nuci pod nosem „Edel-weiss” — kołysankę, którą ona i Paul śpiewają mu co wieczór. Śpiewa za szybko i za wysoko, jak podczas przewijania -taśmy.

Powinna napisać coś innego. Lekko i nerwowo porusza palcami w powietrzu.

— Z kim rozmawiasz przez telefon? — pyta zduszonym głosem Lincoln, wtulony w jej ramię.

— Z tatusiem — mówi w chwili, gdy Paul przysyła następną wiadomość. przeczytaj to. dzwonię do ciebie. Kocham.

Pod wiadomością jest link. Joan zerka na szereg niebieskich i podkreślonych liter oraz liczb, a wtedy telefon dzwoni, grając o wiele za głośno. Nie pomyślała, żeby go wyciszyć, więc natychmiast odbiera połączenie.

— Nie mogę rozmawiać — mówi, co brzmi dziwnie służbowo. Jakby była na jakimś zebraniu. Sama nie wie, skąd jej się to wzięło. — Musimy być cicho. Nie wiem,

gdzie oni są.

Może nie tylko siła przyzwyczajenia kazała jej wysłać SMS-y. Może podświadomie czuła to, co dopiero teraz zaczęła sobie uświadamiać: telefon jest niebezpieczny. Głośny. Rozmowa przez komórkę też jest głośna. Może sprowadzić tu tych ludzi.

To niemal proste. Jeśli pomyśleć o tym w pewien sposób, wszystko nabiera sensu. Znów zaczyna.

— Nic nam nie jest, ale...

Jej mąż zaczyna mówić, zanim zdążyła skończyć, a jego słowa brzmią zbyt głośno.

— Co się dzieje? — pyta. — Czy ktoś tam z tobą jest? Widziałaś policjantów? Z Lincolnem wszystko w porządku? Co to ma znaczyć, że jesteście bezpieczni? Mogą do was dotrzeć? Boże, przepraszam, że mnie tam nie ma, kochanie... Tak mi przykro...

Pozwala mu mówić. Rozumie jego potrzebę usłyszenia jej głosu i wydawało jej się, że też pragnęła z nim rozmawiać. Lecz teraz wcale nie ma wrażenia, że on jest przy niej — wydaje się jeszcze odleglejszy, a raczej... Nie, to ona czuje się bardziej oddalona. Jakby jakaś część niej płynęła ku niemu, z tego zoo, do znanego jej życia, a przecież ona nie chce nigdzie odpływać. Nie może. Musi być tutaj, całkowicie tutaj. W tym momencie nie może go pocieszać.

— Wszystko w porządku — szepcze tym samym głosem czyjegoś adwokata; jakiegoś prezesa, O ile tacy ludzie kiedykolwiek szepczą. — Ukrywamy się.

— Co widziałaś? — pyta mąż.

— Kocham cię — mówi mu. — Nic nam nie jest, ale nie mogę rozmawiać. Muszę uważać. Widziałam z daleka jakiegoś faceta. Była... — Spogląda w dal nad głową Lincolna. — Była strzelanina przy bramie, ale zanim tam dotarliśmy. Uciekliśmy i udało nam się ukryć. Tylko tyle wiem. Nie dzwoń więcej. Skontaktuję się z tobą, kiedy już będziemy bezpieczni.

— Zadzwoń na policję i powiem, że jesteście na wybiegu dla jeżozwierza — pospiesznie mówi jej mąż, niemal bez tchu. Ma taki głos, kiedy dzwoni ze swojego biura na wysokim wzgórzu, żeby zaśpiewać jej melodię, która utkwiła mu w głowie. Zawsze śpiewa, bo wie, że ona się roześmieje i rozłączy. — Kocham was. Powiedz mu to. Trzymajcie się.

Joan wycisza komórkę i skupia uwagę na Lincolnie. Ten wierci się w jej objęciach, poruszając nogami, wbijając w jej boki stopy w tenisówkach. Chwyta go pod pachy, pomaga mu się obrócić i stanąć. Lincoln prostuje się, a ona obejmuje go w pasie.

— Rozmawiałam z tatusem — szepcze.

On opiera się o skałę za nimi.

— Wiem.

— Mów szeptem — napomina go. — Tatuś powiedział, że cię kocha.

— Wiem.

— Trochę ciszej — prosi.

— Dobrze — szepcze Lincoln.

Znów ugina nogi w kolanach, nie poruszając stopami, ale podrygując w miejscu. Jego ramiona unoszą się i opadają jak w jakimś dziwnym, nieskoordynowanym tańcu.

Niebo zaczyna różowieć i nad koronami drzew rozpościerają się długie lawendowe pasma.

— Naprawdę jesteś już duży — mówi mu.

— Czy ten zły człowiek nas goni? — pyta mały.

— Nie wiem. Ale jeśli tak, to tutaj nas nie znajdzie.

Wciąż podrygujący Lincoln obraca głowę na prawo i lewo, ogląda otoczenie. Jak zawsze, jest jednocześnie zaciekawiony i ostrożny. Joan obserwuje te jego zmagania. Jego zerkające na boki oczy. Nieruchome stopy.

Ciekawość zwycięża. Chłopiec robi krok w kierunku ceglanej ściany budynku i wskazuje palcem.

— Tam jest miska z wodą — mówi. — Taka, jaką ma Mętlík.

— Taak — potwierdza Joan.

Lincoln ponownie spogląda na trawę wokół nich i oprócz tej popękanej, pustej plastikowej miseczki, którą zauważył, na wybiegu są porozrzucane różne inne rzeczy. Na prawo od nich leży wieczne pióro, a bliżej ogrodzenia błyszcząca gumka do włosów. Joan ma wrażenie, że przy samej siatce dostrzega białą skarpetkę.

— Czy jeżozwierze potrzebują misek z wodą? — pyta Lincoln.

— Pewnie tak.

— One piją wodę?

Joan wyobraża sobie, że zakrywa dłonią jego usta, przytrzymując go, każąc mu siedzieć cicho i spokojnie. Rozpaczliwie pragnie to zrobić, ale dobrze wie, że jest to niewykonalne. Gdyby przestraszyła go tak, że przestałby mówić, zapewne zaczęłby płakać.

— Cii — prosi ponownie. — Mów trochę ciszej. Wszystkie stworzenia piją wodę.

— Wszystkie? — pyta szeptem Lincoln.

— Wszystkie — powtarza Joan.

— A więc jeżozwierz pił z tej miski? — pyta mały, podchodząc bliżej i przyciskając się do jej prawego boku. — I siedział pod tą skałą tak jak my teraz? Myślisz, że był chłopcem czy dziewczynką?

Nie dostrzega u niego żadnych oznak strachu. Jego niebieskie oczy są duże i szeroko otwarte, ale takie są zawsze. Swobodnie opiera się o nią i wydaje się lekko podekscytowany tym, że znajduje się w siedzibie jeżozwierza. Oczywiście nie wie, co jest naprawdę przerażające — boi się maskotek z reklam Chuck E. Cheese i Chick-fil-A. W zeszłym tygodniu natknęli się w telewizji na jeden z filmów o Batmanie, tym z Heathem Ledgerem, niepokojącym jak diabli, ale Lincoln upierał się, że w starej wersji z 1960 roku — gdyż jest fanem Batmana — Joker był straszniejszy.

Czasem płacze, przestraszony nieoczekiwanym dźwiękiem z głośnika, i uważa, że konferansjerzy są przerażający. A teraz skubie kurzajkę na prawej dłoni, cicho podśpiewując.

— „Chwała, chwała starej Georgii! Chwała, chwała”...

A jednak. Nie wiadomo, jakie myśli skrywa ta spokojna, okrągła buzia. Powinna mu to jakoś wytłumaczyć. Przedstawić jakiś plan. Zawsze lubił mieć wszystko poukładane — wiedzieć, że we wtorek w przedszkolu jest muzyka, w środę język

hiszpański, a w czwartek rysunki, i że ona odbiera Lincolna codziennie, tylko nie w środy, bo wtedy przywozi go Paul, i że w niedzielę wieczorem zamówią chińszczyznę na kolację, a w sobotę rano mały będzie mógł przez całą godzinę oglądać kreskówki.

Lubi wiedzieć, co się stanie.

— A więc — szepcze Joan, a on przesuwa palcami po policzku, upewniając się, że pieg jest na swoim miejscu — wszystko będzie dobrze. Jesteśmy tu bezpieczni. To jak w opowieści, w której dochodzi do bitwy i źli ludzie idą do więzienia. Musimy tylko posiedzieć tu trochę i być cicho, dopóki ten zły człowiek sobie nie pójdzie.

On kiwa głową.

— Jak się nazywa ten zły człowiek? — pyta.

— Nie wiem.

— Ma jakieś imię?

— Pewnie. Każdy jakieś ma. Po prostu nie znam jego imienia.

Lincoln ponownie kiwa głową, zerkając na swoją kurzajkę. Joan przyciska się do skały i zaciska uda, trzymając jedną dłoń na jego nodze. Ogląda się za siebie — głazy zupełnie zasłaniają ich przed wzrokiem kogoś, kto mógłby się pojawić od strony pawilonu naczelnych. Patrzy w górę, a tam są tylko korony drzew i niebo. Nikt ich tu nie zobaczy.

Potem spogląda na ogrodzenie wybiegu. Do tej pory nie zwracała uwagi na to, co znajduje się za nim, ale teraz wydaje się jej, że pnącza porastające siatkę nie są tak gęste, jakby chciała. Widzi przez nie część zaplecza innych wybiegów. Usiłuje sobie przypomnieć plan ogrodu i dochodzi do wniosku, że to chyba część wystawy afrykańskiej, najprawdopodobniej z nosorożcami, choć może to też być zamknięte i nieużywane już stanowisko. Wzdłuż ogrodzenia tamtego wybiegu rosną wysokie i gęste bambusy, które zupełnie zasłaniają jej widok. Przez inną lukę w pnączach widzi szyny kolejki, a obok nich asfalt dróżki skręcającej tak, że nie widać, dokąd prowadzi. Może to fragment spacerowej alejki, ale Joan nie przypomina sobie, by kiedykolwiek patrzyła z zewnątrz na wybieg dla jeżozwierza. A może to jakieś tylne przejście wyłącznie dla personelu. Jednak tak naprawdę ważne jest tylko to, czy mógłby ich zobaczyć tutaj ktoś, kto przyszedłby tą ścieżką.

Nie sądzi, żeby luki w bluszczu były aż tak duże.

Teraz już nie dobiegają do niej żadne niepokojące odgłosy. Kroki i wystrzały. Ani syreny. Zastanawia się, dlaczego ich nie słychać.

Uświadamia sobie, że nie sprawdziła linka przysłanego jej przez Paula — nie powinna się tak rozpraszać — łapie więc telefon i przesuwa kciukiem po ekranie. Wchodzi na witrynę lokalnych wiadomości, gdzie na głównej stronie są dwa krótkie akapity. Pospieszenie omiata je wzrokiem, wychwytyując takie stwierdzenia jak „padły strzały”, „jeden mężczyzna” oraz „zapewne wielu rannych”. Krótką wiadomość kończy zdanie: „Policja jest już na miejscu zdarzenia”.

Lakoniczność tego ostatniego stwierdzenia jest rozwścieczająca. Nic jej to nie mówi. Policjanci są na parkingu czy kilka metrów dalej? Czy wysadzą ich tu z helikopterów? Jest ich tuzin czy setka?

Lincoln znów jej się wyrывa, a ona pozwala mu na to, myśląc, że chce rozprostować nogi. Czeką, aż zrobi parę kroków, a potem chwyta go za koszulę

i przyciąga z powrotem.

— Trzymaj się blisko mnie — prosi. — Musimy siedzieć spokojnie i cicho, dopóki nie zjawią się policjanci.

— Przyjdzie po nas policja?

Zapomniała o tym wspomnieć.

— Tak — mówi mu. — Zaczekamy, aż przyjdzie tu policja i złapie tego faceta z bronią. A potem przyjdzie i powie nam, że możemy już iść do domu. Jednak musimy być bardzo cicho, bo nie chcemy, żeby nas zobaczył ten zły człowiek. To jak zabawa w chowanego.

— Nie lubię się bawić w chowanego.

— Mów szeptem — prosi Joan.

— Nie lubię się bawić w chowanego — chłopiec powtarza głosem, który od biedy można by uznać za szept.

— Nie lubisz bawić się w chowanego sam — przypomina mu. — Tym razem ja chowam się z tobą.

Lincoln szura nogami po ziemi i trawie, ryjąc w nich czubkami butów i wzbijając obłoczki kurzu. Przez chwilę nic nie mówi, tylko obserwuje swoje stopy. Przesuwa dłonią po głazie.

— Namba namba namba namba namba — zaczyna podśpiewywać, a ona po pierwszych pięciu nutach rozpoznaje hymn klubu Michigan State. Czasem tylko go nuci. Rozpierają go dźwięk i energia, i jedno z nich zawsze się z niego wydobywa. Zwykle to nie jest takie złe, ale teraz wprawia ją w przerażenie.

Joan rozluźnia mięśnie żuchwy. Dopiero kiedy rozboleła ją szczęka, uświadomiła sobie, że zaciska zęby.

— Namba namba namba namba — nadal śpiewa Lincoln, we właściwej tonacji.

— Za głośno — mówi mu, również zbyt głośno.

On kiwa głową, jakby się spodziewał takiej właśnie reakcji. Patrzy teraz na coś za jej plecami. Staje na jednej nodze, balansując.

— Daj mi coś powiedzieć — szepcze i ruchem głowy wskazuje budynek. — To binej.

— Binej? — dopytuje Joan.

On wyciąga rękę, pokazując sterczący ze ściany kran.

— Tak.

— To coś, co przypomina kran?

— To nie jest kran. Bineje tak tylko wyglądają.

— Opowiedz mi o nich.

— O binejach? — pyta mały.

— Tak.

Joan nie zaciska zębów. Nie oddycha za głośno. Uważa, że zachowuje się zupełnie normalnie. A niemal na pewno nie wyraża się jak prawnik. Przykłada się do tego i dba, by każde słowo brzmiało spokojnie i swobodnie. Stara się mówić jak jego matka, a nie jakaś oszalała ze strachu baba, gotowa wrzeszczeć, wyć i wyrwać sobie włosy z głowy.

On podchodzi bliżej, ale nie siada. Może wyczuwa, że ta wariatka jest gdzieś blisko.

— No więc — zaczyna — binej ma głowę, trąbę i kły. One wszystkie mają długie ciała i włoski zamiast nóg.

— Co jeszcze? — pyta go szeptem.

— Nie mają ust. Jedzą nosem i wachają oczami. Nie mają języków.

— I mieszkają w ogrodach zoologicznych?

— Tak — potwierdza Lincoln. — Tylko w ogrodach zoologicznych. Nigdy nie słyszałem o dzikim bineju.

— Czy one są groźne? — pyta i zaraz tego żałuje, Bo nie powinna przypominać mu o czyhających niebezpieczeństwach. Usiłuje odwrócić jego uwagę.

Jednak chłopiec nie wygląda na przejętego.

— Niektóre z nich — mówi.

— Czy to jeden z tych groźnych? — pyta go, patrząc na kran.

— Nie — odpowiada. — Ten się wspina. One lubią wspinać się na drzewa, ale jeśli nie mogą, to pełzają. Niektóre bineje są zrobione z trawy. A inne z roślin albo z bielizny. Albo z mięsa.

Joan zastanawia się nad tym. Zmusza się do uśmiechu, ponieważ normalnie reaguje w taki właśnie sposób.

Uwielbia, kiedy on wymyśla takie rzeczy. Pewnego razu popatrzył na nią w hotelowym holu i oznajmił: „Mam w kieszeni dwie dziewczynki. Małeńkie. Jedna ma na imię Lucy, a druga Strażak”. A raz powiedział, że wszystkie jego pluszaki poszły do kościoła, w którym nikt nie nosi spodni.

To dobrze, myśli Joan. To lepsze niż panika.

— Jednak wyglądają jak krany? — zachęca go niemal bezgłośnie. Nie wiedziała, że potrafi mówić tak cicho.

— To drapieznik — szepcze Lincoln, jakby w odpowiedzi na jej pytanie. — I gad. Jednak one są jak hipopotamy. Mogą być agresywne.

Joan próbuje sobie przypomnieć, w której z jego książek występuje słowo „agresywny” — może w tej o aligatorach lub o starożytnych Grekach? — kiedy na jej udzie zaczyna wibrować telefon. Osłaniając go dłonią, czyta SMS-a od męża.

Nie mogą znieść czekania. Muszę to sprawdzić. Porozmawiaj ze mną.

Joan zaciska w dłoni komórkę. Oczywiście Paul wyobraża sobie straszne rzeczy. „Jeśli zawsze spodziewasz się najgorszego, możesz być tylko przyjemnie zaskoczony” — powiedział jej, kiedy zaczęli ze sobą chodzić. A ona odrzekła: „To najgłupsze stwierdzenie, jakie słyszałam w życiu”. Czasem żartują sobie razem z jego deklarowanym pesymizmu, ale nie teraz. Teraz jest on usprawiedliwiony.

U nas wszystko w porządku — pisze. Jesteśmy dobrze ukryci. Dopilnuję, żebyśmy byli bezpieczni. Czy policja jest już na terenie zoo?

Nie wiem. Nikt nie chce mi nic powiedzieć przez telefon. Jadę do zoo.

— Ten binej się nie rusza, mamusiu — szepcze Lincoln. — Ten binej wcale się nie rusza.

— A myślałam, że on się wspina — mówi mu, pisząc jednocześnie do Paula.

„Jeden mężczyzna — myśli. — I cała policja w mieście. Dlaczego nie ma tu wozów opancerzonych, noktowizorów, gazu albo agentów FBI? Minęło co najmniej pół godziny,

odkąd usłyszałam pierwsze strzały”.

Dlaczego tak długo to trwa? — pisze.

Nie mam pojęcia. Sprawdź. Kocham.

Lincoln coś mówi. Chyba wciąż powtarza jedno i to samo.

— Co takiego, skarbie?

— On się wspinał — odpowiada chłopiec. — Ten binej się wspinał, mamusiu. On się...

Jeśli nie zwraca się na niego uwagi, może powtarzać coś aż do skutku.

— W porządku — pospiesznie mówi Joan. — Masz rację. Ten binej się wspinał.

Lincoln gryzie kołnierzyk, patrząc na kran.

— Myślę, że on nie żyje — stwierdza.

Ona patrzy na niego, z wciąż świecącym telefonem w dłoni.

— Ja sądzę, że mógł zasnąć — mówi.

— Skądże. Nie żyje. Bineje bardzo łatwo umierają.

Joan znów patrzy na ekran komórki i zawiadania Paula, że porozmawia z nim później. Po raz piąty lub szósty upewnia się, czy telefon jest wyciszony. Niechętnie kładzie go na ziemi obok siebie i znów jest sama ze swoim synem, nie mając nikogo, kto mógłby im pomóc. Nikogo poza martwym binejem.

— Sądzę, że on śpi — powtarza.

Lincoln gryzie kołnierzyk koszuli. Zazwyczaj zabrania mu to robić, ale tym razem nie zwraca na to uwagi.

— Chce mi się pić — szepcze chłopiec.

Joan jest zadowolona ze zmiany tematu. Sięga do torebki, ciesząc się, że nie zgodziła się, by tego dnia Lincoln pił wodę z wodotrysku.

— Masz swoje pićko — mówi i podaje mu plastikową butelkę.

— Mmm — mruczy chłopiec, pociągnawszy długi łyk. Nad górną wargą ma lśniący wilgotny ślad. — Wciąż zimne.

Znów pije tak, że strużka wody cieknie mu po brodzie, aż w końcu odejmuje butelkę od ust i ociera je rękawem koszuli.

Parę razy w rozmowie z dorosłymi użyła słowa „pićko”, mając na myśli napój. W ich domu to określenie jest równie zwyczajne i akceptowalne jak każde znajdujące się w słowniku. Jest jednym z wielu słów nieistniejących przed przyjściem Lincoln na świat. Śliniaczek to „czysty piesek”, ponieważ w jakiejś książce niechlujny pies rozrzucał swoje jedzenie, a schludny nosił śliniak. „Mogę dostać czystego pieska?” — pyta chłopiec, kiedy widzi, że pobrudził koszulkę. Stawy palców nazywa „kolaneczkami”. Gdy był mały, tak malutki, że jeszcze nie był sobą, miał cały słownik nieistniejących zwrotów. Przez jakiś czas nazywał piłkę „da”, a rodzynki „za-za”. Pociągał nosem na znak, że chce malować, ponieważ Joan pokazała mu pewnego razu, jak malować nosem, i najwyraźniej zrobiło to na nim wrażenie.

Kiedy podnosił ramię zgięte w łokciu, oznaczało to flaminga.

Syczał, gdy dawał znać, że prosi o dokładkę jajecznicy. „Ssssss” — naśladował skwierczenie jaj na patelni. Powołał do istnienia swój własny język.

Tyle rzeczy nie istniało, dopóki on się nie pojawił.

III

Kailynn wie jedno: to wina jej matki. Gdyby matka nie zabrała jej telefonu, byłoby inaczej. Dziewczyna stałaby tu i dzwoniła na policję, do taty lub kogokolwiek innego. Ludzie na pewno rozpaczliwie pragną usłyszeć jej głos. Myśli o tym, jak Victoria, koleżanka z jej klasy, wysłała milion SMS-ów, kiedy w wypadku samochodowym dostała wstrząśnienia mózgu. Wszyscy tak się martwili, a to przecież nic w porównaniu z tkwieniem w szafce magazynu w ogrodzie zoologicznym.

Jednak nie, nie miała telefonu tylko dlatego, że zasnęła trzy ranki pod rząd i spóźniła się na podwózkę, więc matka musiała ją odwieźć do pracy. Być może po tym wszystkim matka będzie miała takie poczucie winy, że Kailynn dostanie nowiutką komórkę.

To ją niemal pociesza, ale nie całkiem. Stalowe drzwi są solidne, zimne w dotyku i tak przyjemnie gładkie, że roz-capiersza palce, jakby chciała pozostawić na nich odcisk dłoni. Dłonie ma lepkie od keczupu.

Jest tu zupełnie sama. Kiedy ma swój telefon, nigdy nie czuje się sama.

Tego trzeciego dnia, kiedy zasnęła, spojrzała przez okno swojego pokoju i zobaczyła samochód z pozostałymi dziewczynami, wyjeżdżający tyłem z podjazdu, więc zbiegła po schodach, by go zatrzymać. To nie jej wina, że odjechały tak szybko. To naprawdę nie powinno się liczyć jako spóźnienie. Jednak matka tego nie zrozumiała.

Kailynn odsuwa rygiel, uchyla drzwi i zerka przez wąziutką szparę. Nic. Nikogo. Odgarnia włosy z twarzy i gryzie krakersa w kształcie zwierzątka. Żyrafy. Cukier usuwa nieprzyjemny posmak w ustach, choć wołałaby smażone krążki cebulowe albo frytki.

Jedzenie zawsze pomaga. Ojciec podśmiewa się z tego, że ona nie lubi być sama i zawsze odrabia lekcje w pokoju, w którym jest też ktoś inny — w salonie, w którym on ogląda telewizję, albo w kuchni, gdzie matka sprząta po posiłku. Ojciec twierdzi, że ona nie lubi być sama nawet w swoim pokoju. Zapewne jest to prawda, ponieważ dzieli go z siostrą, choć powiedzieli jej, że jako starsza może się przenieść do przyziemia. Kailynn jednak lubi słyszeć czyjś oddech, kiedy próbuje zasnąć.

Chciałaby, żeby jej matka tu była.

Nic jej nie jest. Siedzi w najbezpieczniejszym miejscu, jakie można sobie wyobrazić. Gdyby ktoś przyszedł, może zaryglować drzwi i nigdy jej nie dostaną. Głupio tak się bać. Jej ojciec by się nie bał. Kiedy był chłopcem, chodził z pistoletem do lasu i strzelał do zwierząt, a potem je rozcinał, bo chciał sprawdzić, co mają w środku. Podpalił fotel tylko po to, żeby zobaczyć, jak płonie. Nigdy nie siedział zatopiony w marzeniach. Po prostu działał.

Chciałaby być kimś, kto działa.

Zjada następnego krakersa w kształcie zwierzęcia. Lwa.

III

Margaret zawsze tak wylicza czas spaceru, by dotrzeć do słoni o 17:10, ponieważ wtedy zazwyczaj dozorczy przychodzą karmić zwierzęta i każą im podchodzić, cofać się, klękać i podnosić nogi. Twierdzą, że jest to rutynowa kontrola na zakończenie dnia, pozwalająca sprawdzić ewentualne problemy ze stawami i podeszwami stóp. Margaret jednak podejrzewa, że po prostu się popisują.

Pomimo to lubi się temu przyglądać. To darmowy program cyrkowy, o którym chyba nikt inny zdaje się nie wiedzieć, a ona nie rozumie, co skłania smutnych starych ludzi w strojach do joggingu do ciągłego biegania wokół galerii handlowej. Przychodzi tu w każdy poniedziałek, środę i czwartek. Maszeruje najszybciej, jak potrafi, dokładnie przez godzinę, tak jak zalecił jej lekarz. Zawsze wraca na parking po tym, jak słonie zostają wprowadzone do ich pawilonu zbudowanego z metalu i cegieł.

Margaret jest zawsze punktualna, ale dozorczy nie. Czasem przychodzi, a na wybiegu nie ma nikogo poza parą zdziwionych zwierząt. Na nich można polegać bardziej niż na dozorcach. Podejrzewa, że ci ostatni to millennialsi, których przede wszystkim interesują joga i wewnętrzny spokój, a nie praca.

Dlatego dzisiaj, kiedy widzi pusty wybieg, zaskakuje ją nie brak ludzi, a słoni. Dostrzega je w oddali, kręcące się po sztucznej sawannie, jakby zmieniły swoje zwyczaje. Czeka przez kilka minut, stojąc w cieniu olbrzymiej metalowej skrzyni. Nie zdejmuje z głowy słuchawek — zostały jej tylko dwa rozdziały powieści Patricii Cornwell — i gapi się na napis na skrzyni, który głosi: CZY ZASTANAWIAŁEŚ SIĘ KIEDYŚ NAD TYM, JAK TRANSPORTUJE SIĘ SŁONIA?

W końcu zdejmuje słuchawki, wsuwa odtwarzacz MP3 do kieszeni i natychmiast wyczuwa, że coś jest nie tak. Jest spięta, ale bez konkretnego powodu. Dochodzi do wniosku, że napawają ją niepokojem tylko cisza i bezruch. Spogląda na zegarek, pomyślałszy, że może straciła poczucie czasu. Jednak nie, jest jeszcze kilka minut do zamknięcia.

Zwykle widzi innych odwiedzających, którzy zmierzają do wyjścia. Dzisiaj nie dostrzega nikogo.

Oczywiście stoi u podnóża stromego zbocza na skraju stanowiska słoni. Między wznoszącym się przed nią terenem a metalową skrzynią po jej prawej stronie niewiele widać. Rusza na szczyt wzgórza, tłumiąc niepokój, ale zanim tam dociera, dobiegają do jej uszu dwa głośne trzaski, jakby wyładowań elektrostatycznych albo piorunów. Niemal jedno-cześnie słyszy głos, piskliwy i zawodzący. Trudno nazwać go krzykiem.

Zrobiwszy jeszcze jeden krok, widzi kryty strzechą pawilon restauracyjny i słyszy szybko zbliżające się kroki. Nie potrafiłaby wyjaśnić dlaczego, ale zawraca i zaczyna schodzić ze wzgórza; wykręca sobie przy tym niesprawne kolano. Ignoruje ból i chowa się we wnętrzu tej wielkiej metalowej skrzyni, w której jest ciemniej, niż się spodziewała.

Przywiera do ściany, barkami do zimnego metalu. Głupio się czuje, ale cofa się głębiej w mrok. I nie odrywając oczu od otworu skrzyni, obserwuje piaszczysty teren wybiegu dla słoni. Słyszy kroki i ściszone głosy, a potem tupot nóg. Brzęk metalu lub

szkła. Łoskot zamykanych drzwi. Kolejne trzaski.

Zastanawia się, czy słonie miewają klaustrofobię. Turkusowy naszyjnik chłodzi jej skórę, a ona dotyka go palcami. Kupiła go, bo był w takim samym kolorze jak jej polar. Takie idealne dopasowanie wciąż sprawia jej satysfakcję.

Nie wie, ile upłynęło czasu. Nie ruszyła się z miejsca, ponieważ niezależnie od tego, co się dzieje, Margaret stara się nie działać pochopnie. Lubi rozważyć cały kontekst problemu. To się sprawdziło, kiedy rozjaśniła włosy na ciemny blond maskujący siwiznę, kupiła niemal nowy, lecz nierzucający się w oczy domek w mieście zamiast ślicznej chaty w stylu art déco z kiepskim dachem, a także trzymała język za zębami, kiedy córka postanowiła uczyć w domu jej wnuka, któremu — co Bóg wie najlepiej — przydałby się kontakt z rówieśnikami.

Margaret myśli o zawsze zmęczonej twarzy córki, ponieważ ta nie chce jej malować przed wyjściem z domu.

Jakiś owad wpada do skrzyni i gubi się w ciemnościach. Od dobrej chwili kobieta nie słyszała żadnych -odgłosów. To, co przed chwilą było takie realne, teraz wydaje się atakiem paniki. I Margaret czuje znajomy, kliniczny lęk przed wczesnym Alzheimerem lub nowotworem mózgu. Takie krzyki i bieganinę można wytłumaczyć na wiele sposobów. To pewnie nastolatki. Bardzo prawdopodobne, że już jest -zamknięta w zoo i będzie musiała się tłumaczyć przed jakimś nadgorliwym pracownikiem ogrodu. Nie jest w stanie dłużej tu stać i ukrywać się w olbrzymiej skrzyni.

Wychodzi z niej i natychmiast zauważa, że słońce znikło za drzewami. Powoli wspina się na szczyt wzgórza, dając kolanu szansę odzyskania sprawności; stanie w bezruchu najbardziej mu szkodzi. Nie widzi niczego niezwykłego. Po prawej jest plac zabaw, a przy pawilonie naczelnych huśtają się mały na swoich sznurach.

Margaret stała się nerwową staruszką.

Spogląda w głąb alejki i kieruje się do baru „Saharyjska Chata”, czy jak on się tam nazywa. Słyszy szuranie gumowych podeszew swoich butów na betonie i czuje jakiś dziwny zapach spalenizny. Przypadkowo zawadza nogą o zagubiony, leżący na ziemi smoczek. Przechodzi pod krytym strzechą dachem pawilonu restauracyjnego, a kiedy wydostaje się z rzucanego przezeń cienia, w gąszczu egzotycznych roślin dostrzega jakiś ruch. Dystrybutory zasłaniają jej widok. Może to wiatr poruszył gałęziami, ale równie dobrze mógł to być ktoś idący inną alejką. Pracownik zoo? Czy powinna stawić mu czoło?

Kieruje się w stronę automatu z colą. Zanim jednak dotrze do dystrybutorów, musi przejść obok drzwi do restauracji.

Zauważa je dopiero wtedy, kiedy je mija.

Zauważa je dopiero wtedy, kiedy się otwierają.

Zauważa je dopiero wtedy, kiedy czyjaś dłoń błyskawicznie wysuwa się zza nich i wciąga ją do środka.

III

Robby zgubił gdzieś Marka i teraz nie wie, co począć. Stoi tu sam i patrzy na dziki. Mark na pewno by wiedział, co należy zrobić. I przecież nie mógł tak po prostu zniknąć. Ten Mark jest taki małomówny, w tym właśnie problem. I potrafi się zmyć niepostrzeżenie.

Nikt nigdy nie nazywa Robby'ego małomównym.

On i Mark stali nad jeziorem, tuż obok siebie, gdy pierwsze pociski przeszły powietrze. Nie było widać kul, ale odłamki cegieł oraz kawałki liści i gałęzi ze stanowiska kolorowych papug, unoszące się gęstą chmurą w powietrzu, jak poderwane wichrem, tylko szybciej. Nikt mu nie powiedział, że broń może zrobić coś takiego. Słyszał nieartykułowane głosy, a także wykrzykiwane imiona — ktoś raz po raz wołał „Elizabeth!”. Przez to wszystko na moment zastygł, a potem razem z Markiem rzucili się do ucieczki. Pędzili za tymi nielicznymi, którzy jeszcze mogli się poruszać — bo do tej pory już kilkanaście osób, zwróconych twarzami do góry lub do dołu, leżało na ziemi. Biegając na wzgórze, przeskoczył przez kobietę szepczącą coś bezdźwięcznie. Spróbowali schronić się w restauracji na szczycie wzgórza, lecz bez powodzenia. Potem ruszyli w kierunku wybiegu dla dzikich kotów. Mark wciąż był przy nim, gdy jednak w którymś momencie Robby zerknął przez ramię, okazało się, że jego towarzysz gdzieś przepadł. Tak więc Robby zatrzymał się tutaj, w tym ocienionym pawilonie ogrodowym przy dzikich świniami, które według napisów na tablicach są dzikami.

To bardzo dobre miejsce, ogrodzone ze wszystkich stron, więc nikt nie wypatrzy go z daleka, a on sam może obserwować alejki przez szpary między deskami. Dziki ryją brudnymi łapami ziemię w swojej zagrodzie. Nie przejmują się bronią ani kulami. Tego jest pewny.

Robby nie wie, czy lepiej byłoby pobiec dalej, czy raczej czekać tutaj. A może powinien wyzwać pomocy i mieć nadzieję, że nie usłyszą go niewłaściwi ludzie?

Łatwiej jest czekać. Obserwować. W tym jest całkiem niezły.

Niewiele rzeczy potrafi robić dobrze. Myśli o tym przyjęciu urodzinowym dawno temu, choć wolałby do tego nigdy już nie wracać. Próbuje skupić się na dzikach, na rozmiarach ich łbów oraz tym, że nie mają szyj. Nie, nie chce rozpamiętywać tamtych urodzin. Ale włącza nieodpowiedni neuron, który nie kasuje, lecz przypomina ów dzień, kiedy poszedł na przyjęcie do Aidana, bo matka powiedziała mu, że będą tam smakołyki, które on uwielbia. Matka Aidana otworzyła mu drzwi, uściskała go i pokazała namiot rozstawiony w salonie.

Była bardzo sympatyczna i piękna, miała długie ciemne włosy. Zgodziła się z nim, że „Raiders” mają najbardziej przerażające logo ze wszystkich drużyn NFL. Dobrze mu się z nią rozmawiało i było miło, że ktoś go słuchał. Pozostałe dzieciaki były zajęte czymś innym — zabawą w łapanie ryb na wędki ze sznurka i agrafek? A potem musiał iść do łazienki. Kiedy wracał, z głębi korytarza usłyszał jej głos.

„Mam wam wszystkim coś do powiedzenia” — mówiła bardzo poważnym tonem, a on przyspieszył kroku, ponieważ nie chciał, by go ominęły jakieś instrukcje dotyczące

ciasteczek i czekolady. „Chcę, żebyście byli mili dla Robby’ego” — poprosiła. On akurat dochodził do drzwi i natychmiast przywarł do ściany, chowając się. „Jest unikalny. To wszystko”.

Robby już wtedy był świadom tego, że nie jest taki jak inni. Jednak te słowa, wypowiedziane na głos, wszystko zmieniły. Matka Aidana chciała, żeby zabrzmiały jak komplement, ale to stwierdzenie nie było pochlebne. I on o tym wiedział tak samo dobrze jak wszyscy pozostali. Teraz jednak jest tutaj i za całe towarzystwo ma dzikie świnie, pokryte błotem i odchodami, obrzydliwe. A przecież dzisiejszy dzień powinien być w końcu inny, czyż nie? Miał się stać częścią czegoś większego. Dopasowaną. A może to inni cierpliwie przez cały czas to szykowali. Nie, to nie ma sensu.

Wyciera dłonie o spodnie. Rozprostowuje i zaciska palce. Spocone dłonie. To kolejny problem z przyjęciami dla dzieci — zbyt wiele zabaw z trzymaniem się za ręce, podczas których słyszał: „Och, te twoje ręce...”. Pewnego razu nawet ktoś z dorosłych nazwał go „tym spoconym dzieciakiem”. Teraz wietrzyk pomaga, chłodzi dłonie Robby’ego. Ale przecież on nie może stać tutaj jak cipa. Musi myśleć, choć lepszy jest w odczuwaniu. Może nie nadzwyczajny, ale czuje różne rzeczy. Zbyt wiele. Więcej niż pozostali ludzie. Czasem próbuje im o tym mówić, jednak oni nie rozumieją.

Powinien się skupić. Patrzy na lewo i na prawo, koncentrując się na wszystkim, co się porusza. Trzeba szukać ludzi. Zebry machają ogonami na swoim wybiegu przy alejce. Tor kolejki. Drzewa. Wiewiórki ganiające się na gałęziach. Stara się, by nic mu nie umknęło.

Zanim Robby zgubił gdzieś Marka, usłyszał, jak ten mówi, że jeśli się stąd nie wydostaną, zostaną zabici. Znów patrzy na dziki. Rozmyśla o tamtej szepczącej kobiecie, przez którą przeskoczył w trakcie ucieczki. Miała na sobie mundur pracownika zoo w kolorze khaki, ale niemal połowa koszuli była zabarwiona na purpurowo. Obserwuje dziki i zastanawia się nad tym, jakby to było mieć takie oswojone zwierzę. To samo myśli o wiewiórkach, czy można je oswoić, ale też o tej parze uganiającej się za sobą. To zabawa czy coś poważniejszego i co one do siebie czują?

Myśl.

Myśl.

Czy innym też tak trudno poukładać myśli we właściwej kolejności, jedną po drugiej, jak szczipione ze sobą wagony kolejowe? On zawsze błądzi myślami, a doznania znów napierają. Gdzie jest Mark? Czy będzie musiał stać tutaj sam, aż pojawią się mężczyźni z bronią i go zastrzelą? I czy przyjście dziś do zoo było jego największą pomyłką w życiu? Czy był głupi? Przeważnie jest głupi. Czasem jest tego pewny, lecz jego matka nie znosi, kiedy on mówi tak o sobie. A matka... Zamyka oczy i usiłuje złapać oddech. Dlaczego on to robi? Dlaczego zawsze poniewczasie chce wszystko naprawić, zacząć od nowa, nienawidząc tego, że spieszył, i wiedząc, że znów to zrobi?

Jeden z dzików sika na ziemię. To paskudne zwierzęta, brzydkie i głupie, bo inaczej z pewnością nie dałyby się złapać i zamknąć w klatce.

Unosi broń, którą ma w ręce, drugą dłonią trzyma łożę i celuje nad ogrodzeniem. Naciska spust. Odkąd przeszli przez bramę, słyszy jak przez watę i żałuje, że nie pomyśleli o zabranii zatyczek. Ale teraz wystrzały już nie są takie głośne. Przedkłada

szybkość nad celność, mierząc w łeb, brzuch i ogon. Chciałby odstrzelić ten ogon. Znajduje się zaledwie kilka metrów dalej, a nie czterdzieści czy pięćdziesiąt, jak na strzelnicy. Cel nie porusza się tak jak ludzie, więc zaskakuje go rozmiar zniszczeń. Pierwsze zwierzę pada z rozerwanym brzuchem, z którego wypływają na ziemię parujące wnętrzności, drugi dzik też jest martwy. A on wycofuje się z pawilonu, zanim jego nozdrza wyczują odór.

Nikt nigdy nie wspominał o tych zapachach.

Trzyma palec na spuście klasycznej wersji karabinka bushmaster i znów jest spokojny. Kontroluje swoje myśli i odczucia. Nie wie, dlaczego Mark wciska mu kit, że powinien przerobić rękojeść, a nakładka na kolbie ułatwiłaby celowanie. Lubi ten karabinek takim, jaki jest. Dobrze trzyma się go w ręku.

Słyszy kroki. Odwraca się z bronią gotową do strzału.

— Spokojnie, idioto! — krzyczy Mark, pochylając się tak nisko, że prawie klęka. W ręku ma glocka, a w kaburze smith & wessona.

Robby opuszcza broń.

— Gdzie byłeś?

— Polowałem. Myślałem, że idziesz za mną. Gotowy?

Robby kiwa głową.

Joan nie jest pewna, czy kiedykolwiek tak pilnie obserwowała zmiany barwy nieba. Ogniste pasmo, które ujrzała zaraz po zachodzie słońca, poszerzyło się i po-ciemniało. Całe niebo jest teraz prążkowane, w kolorze obranej brzoskwini. Odcień tych barw jeszcze się po-głębia.

Słyszysz jakiś dźwięk dobiegający z wnętrza pawilonu naczelnych. Głośny trzask zamykanych drzwi lub czegoś upadającego na ziemię. I znów ten huk — nieprzypominający pękających balonów, lecz dźwięk szybkiego i rytmicznego bębnienia palcami po biurku. A potem brzęk rozbijanego szkła. Piskliwy, nieludzki wrzask.

Wszystko to ledwie słysząc, jak przy zbyt mocno ściszonego dźwięku, ale najwyraźniej ktoś porusza się w budynku. Ktoś, kto się nie obawia, że go usłyszą.

— Cii — szepcze do Lincolna. — Nic nie mów. Bądź nieruchomy jak posąg. On się zbliża.

Lincoln nie pyta, o kogo chodzi.

— Obejmij mnie ramionami — prosi Joan. — Zamknij oczy i zniknij.

Ona sama też chciałaby zamknąć oczy, ale tego nie robi. Stara się oddychać w tym samym tempie co on. Czuje jego dłonie w swoich włosach i jego ciężar na swojej szyi. Czuje go przy sobie, od stóp po czubek głowy.

Nie jest tak zdystansowany jak inni mali chłopcy. Jest ciepły i uczuciowy. Wie, że o siódmej trzydzieści — siedem trzy zero, jak mówi — wolno mu wspiąć się do ich łóżka, i skrupulatnie tego przestrzega. Nieważne, jak wcześnie się zbudzi, podśpiewuje w swoim łóżeczku, aż nadchodzi ta godzina. A wtedy bierze swoje pluszaki i otwiera drzwi ich sypialni, oznajmiając: „Jest siedem trzy zero. Przyszedłem się przytulić”.

Joan unosi kołdrę i otwiera ramiona, a Lincoln z zaciśniętymi powiekami przyciska główkę do jej ramienia lub szyi i mówi: „Zniknąłem”. Teraz ona pragnie, aby tak się właśnie stało. Żeby mogła go przytulić i sprawić, by zniknął.

Kolejny wrzask dobiegający z wnętrza budynku, dziwnie przypominający krzyk papugi, choć nie ma tam papug.

Oddech Lincolna jest wilgotny i głośny. Plastikowa torba przelatuje przez siatkę ogrodzenia, nadymając się i zapadając na wietrze jak meduza pochwycona przez falę.

Wdech i wydech. Wdech i wydech.

Wydaje się jej, że powinna usłyszeć kroki — to właśnie ich nasłuchuje, bo tak się dzieje w opowieściach. A jednak nie dociera do niej nic, co by przypominało ten dźwięk. Jest pewna, że napastnik powinien nosić buciora, takie głośno stukające, ale jest tylko kilka długich sekund ciszy poprzedzających westchnienie otwieranych szklanych drzwi — odgłos znacznie bardziej złożony, niż sobie uświadamiała: przeciągły szmer, krótki jęk i syk tłoczonego powietrza. I nawet po tym, jak drzwi zostały otwarte i przestały „narzekać”, wciąż nie słysząc kroków.

Zamiast nich dobiega do Joan cichy dźwięk zamykających się drzwi, a potem znówu nic. Ona spogląda przez siatkę ogrodzenia wybiegu, na sosny, i szuka wzrokiem tej nadymanej wiatrem plastikowej torby, ale widzi tylko liść unoszący się w powietrzu,

zaplątany w pajęczynę. Zaczyna się zastanawiać, czy na pewno ktoś tam był. Może to tylko szum wiatru, a może po prostu wyobraziła sobie ten hałas.

Nagle słyszy ludzkie głosy, jeden cichy, a drugi bardziej hałaśliwy.

— Nic — mówi ten głośny.

— Nigdy nie polowałeś? — pyta ten cichszy, chrapliwie, jak po ataku kaszlu. — Zamknij się, głupku.

Dwóch. Jest ich dwóch. Widocznie stoją na drewnianym pomoście, z którego widać cały wybieg. To oznacza, że od niej i Lincolna dzieli ich metrowej wysokości barierka i twarda skała, o którą ona opiera się teraz plecami.

Z tych kilku wypowiedzianych słów Joan mimowolnie usiłuje stworzyć w swojej głowie obraz strzelców. Cicho mówiącego wyobraża sobie jako wysokiego chłopaka z fakultatywnych zajęć z matematyki w szkole średniej. Był niezwykle inteligentny, ale przeważnie rozkojarzony i miał za długie włosy, nierówno przycięte na karku. Nigdy się nie odzywał niepytany. Nauczycielka zazwyczaj wywoływała go do odpowiedzi, kiedy widziała, że gapi się w sufit lub wiąże sznurowadła, rozmyślnie ignorując jej słowa. Pani Vinson ostro i gniewnie wykrzykiwała jego nazwisko, po czym pytała go o coś, czego nie powinien wiedzieć. Jednak on zawsze wiedział. Nigdy nie kazał sobie powtarzać pytania. Mówił trochę za cicho, tak że trzeba było nadstawiać ucha, ale wszyscy to robili, bo byli świadkami nieustannej, niewypowiedzianej wojny między nim a panią Vinson, która za wszelką cenę chciała przyłapać go na niewiedzy.

— Skoro nikogo nie ma... — mówi ten, który chce być dobrze słyszany.

— Nie ma zwierząt.

— To nie...

— Nie ma więcej zwierząt.

Tego głośnego Joan wyobraża sobie jako kogoś otyłego. Podejrzewa, że ma głowę zbyt dużą w stosunku do reszty ciała, koszulę wychodzącą ze spodni, krótkie i grube palce. Pewnie jest jedną z tych osób, które wszędzie czują się źle i bardzo chcą się dostosować, ale to jeszcze pogarsza sytuację.

Nie wydaje się jej, że to Arabowie — choć rozważała taką możliwość. Sądząc po ich głosach, nie są to tego rodzaju terroryści. Rozmawiają jak młodzi, agresywni, biali mężczyźni — czyż nie są to zawsze młodzi biali ludzie? I nie wiadomo, czy to nie czyni ich bardziej niebezpiecznymi od muzułmańskich fanatyków biorących udział w świętej wojnie.

Słyszy, jak otwierają się drugie drzwi, te prowadzące do orangutanów. Lincoln cichutko wciąga powietrze, porusza głową i Joan wie, że za chwilę wymówi jej imię, a raczej powie „mamusiu”, gdyż to słowo stało się jej drugim imieniem. Więc go ucisza, gładząc po główce. Mały się nie odzywa, ale nie wiadomo, jak długo potrwa to milczenie.

Jego but wbija się w jej udo.

W pajęczynie niesamowicie wolno kołysze się liść i Joan pragnie, żeby znieruchomiał, ponieważ denerwuje ją każdy ruch. Chce, żeby wszystko zastygło w bezruchu.

Chce, żeby cała ta scena zmieniła się w obraz, na którym nikt nie może się poruszyć.

— Nigdy nie myślałeś o tym, żeby zastrzelić lwa? — pyta ten głośny. Gruby. — Pojechać na safari? Przecież wiem, że tego chciałeś.

— Ale to nie był lew.

— Nie? To co to było, do diabła? Całe czarno-białe, włochate i z tymi zębiskami? To nie była małpa.

To gereza — myśli Joan. Uwielbia ich białe brody, smutne oczy i futro zwisające z ramion jak kotara. Kołyszą się na linie w kącie wybiegu, między lemurami i gibbonami.

— Zamknij się — mówi ten podobny do chłopaka z fakultetu matematycznego.

— Nie został już ani jeden — odpowiada ten głośny. — I po tym, jak rozleciał się ten dzik, naprawdę musisz...

— Zamknij się. Jeszcze kilka zostało. Chodź.

Joan uświadamia sobie, że napina mięśnie, jakby jej ciało otaczało się skorupą. Znowu zaciska zęby. Lincoln wystukuje rytm na jej karku, leciutko bębniąc palcami, ale poza tym się nie porusza.

— Strzelanie z tego to oszustwo — z irytacją oświadcza ten cichy. — Co w tym trudnego? Oddajesz trzydzieści strzałów. To naprawdę nie sztuka.

— Zazdrościsz? — pyta głośny.

Dlaczego wciąż tu rozmawiają? Dlaczego nie zniknęli w tych drzwiach, którymi weszli tu wieki temu?

— Ślepy jesteś, cukiereczku? — pyta ten hałaśliwy. Tym razem jeszcze głośniej. Tak głośno, że Joan mimowolnie podrywa głowę. — Jesteś szczurem grzebiącym w gnoju? Jesteś oślizgłą i ślepą rybą jaskiniową czy jakąś nędzną, piszczącą larwą?

— Nie jestem ślepy — odpowiada ten cichy, już bez irytacji. Jednak jego głos się zmienił. Teraz jest rozwlekły i niski. Jakby odgrywał jakąś rolę. — Myślę.

— To jedno i to samo, cukiereczku.

Jest w nich coś dziwnego — myśli Joan. W ich głosach. I tym „cukiereczku”.

— Naprawdę sądzisz, że jest ich więcej? — pyta hałaśliwy.

Teraz znów mówi normalnym głosem, nie rozwlekając słów jak przed chwilą. Joan czeka na odpowiedź cichego, jednak ten milczy. Ta cisza jest znacznie gorsza od rozmowy. Czyżby dostrzegli kosmyk jej włosów nad głazami? Albo z wycelowanymi karabinami podnoszą w tym momencie nogi, żeby przeskoczyć przez barierkę? A może ten cichy odpowiedział na pytanie tylko skinieniem głowy? Czy stoją tam, zawiązując sznurowadła lub poprawiając kucyki? Czy mają kucyki i noże? Są sprytni, głupi czy szaleni? Mają jakiś plan, strategię? Są samobójcami albo sadystami? Czego tak naprawdę chcą?

Skąd ona miałaby to wiedzieć? Nawet ich nie widzi. Wróg jest tuż, a ona ma okazję dowiedzieć się czegoś, czegokolwiek, co pomoże jej zrozumieć to wszystko. Ale słyszy tylko jakieś strzępy rozmowy: małpy, „cukiereczka”, -chłopaka z fakultetu, które do siebie kompletnie nie -pasują.

Słyszy trzask drewnianego pomostu pod ich stopami.

— Chodź — mówi ten cichy.

— Tak jest.

Wybuch śmiechu. Potem drzwi się zamykają, z cmoknięciem wciągane

powietrza, odbijającym się krótkim echem. Joan uświadamia sobie, że przez cały czas szepcze „szszsz” do ucha Lincolna. Brzmi jak dziecko usiłujące naśladować szum wiatru. Jednak nie przestaje, bo mały jest cicho, a ona nie chciałaby, żeby się odzywał. Mocno tuli go do siebie. Gdyby mogła, zamroziłaby ich oboje na parę godzin, na dzień, na wieczność, na tak długo, by nie pamiętał tych głosów.

Lincoln podskakuje w jej objęciach, czubkiem głowy uderzając ją w szczękę.

— Mam kawkę — szepcze.

Joan otwiera usta, ale wydobywa się z nich tylko cichy pomruk. Przęłyka ślinę i próbuje ponownie.

— Ciii — mówi.

— Mam kawkę — powtarza syn, jeszcze ciszej.

— Och — udaje się jej wykrztusić.

Lincoln chce powiedzieć, że ma czkawkę. Uważała to za jego pierwszą grę słowną, ale teraz przypomina sobie — patrząc w dół i skupiając się na jego twarzy i oddechu pachnącym masłem orzechowym, które pewnie jadł na deser — że zanim jeszcze zaczął mówić, pochylał się i udawał, że pije jej kawę. Chciał, by powiedziała: „Dzieci nie piją kawy”. Wtedy trząśł się ze śmiechu.

Uważał za zabawne stapanie po książeczkach.

Teraz Joan lekko odsuwa go od siebie i sadza na kolanach.

— Spróbuj potrzymać powietrze w ustach, a potem je połknąć — szepcze mu.

— Mam kawkę — powtarza Lincoln, marszcząc brwi.

Joan mruga kilkakrotnie, patrząc na niego, zanim uda jej się pojąć: przecież zawsze się śmieje, kiedy on żartuje z czkawki. W tym rzecz. Chłopiec wie, że ona się roześmieje, a ponieważ tego nie zrobiła, próbuje jeszcze raz.

— Głupia jestem — szepcze i wydaje z siebie dźwięk, który przypomina śmiech, przynajmniej taką ma nadzieję.

Powietrze przeszywa huk wystrzałów. Joan już nie myśli o nich jak o trzasku pękających balonów. Drży, ale jednocześnie wie, że nie oddano ich w pobliżu. Padły jeden po drugim, bez chwili przerwy.

Myśli o tym cichym głosie, mówiącym hałaśliwemu, że oszukuje. Trzydzieści strzałów.

Lincoln znów czka. Nie wspomina o wystrzałach i ona też tego nie robi.

Joan spogląda na wybieg. Tylko liście na drzewach się poruszają.

Nagle jej telefon ożywa. Grzechocze na twardej ziemi; nawet wyciszony przypomina o swoim istnieniu. Kobieta patrzy na jego świecący ekran i wreszcie podnosi go, by przestał bzyczyć.

Niebawem zrobi się całkiem ciemno i świecący ekran będzie bardziej zauważalny. Komórka staje się coraz większym problemem.

Jestem teraz przed zoo — pisze jej mąż. Policja zablokowała ulice, ale grupka nas stoi i czeka na Essex Street. Na razie dziesięć osób i wszyscy pytają o tych, co są w środku. Tak więc oprócz was muszą tam być inni. Policja nie chce nic powiedzieć.

Joan zastanawia się nad tą wiadomością, ale nie ma pojęcia, co odpisać Paulowi. Wie, że są tu inni ludzie. Widziała ich leżących na alejce. W dodatku policja się myli:

strzelców jest dwóch. Powinna powiedzieć o tym mężowi, ale musiałaby wyznać, że ci mężczyźni stali tak blisko niej. Niemal mogła ich dotknąć.

Musi mu coś odpowiedzieć.

Czy są na terenie zoo? Policjanci? — pisze.

Nadal tego nie wiem. Nawet nie widzę wejścia. Każą nam czekać tutaj. Mówią, że się tym zajmą. Nie wiem, co jeszcze mógłbym zrobić.

Joan ogarnia znajome uczucie irytacji — Paul chyba naprawdę oczekuje, że ona mu powie, co powinien robić. Czasem ma wrażenie, że to ona musi pilnować wszystkiego: co Lincoln zabierze na wycieczkę, kiedy ma być deratyzacja i kiedy skończy się mleko. Dlaczego to właśnie na nią spadają tysiące drobnych spraw, a Paul tak chętnie jej pozostawia ich załatwianie?

Spogląda na wiadomość od niego i ta niczemu niewinna czarna czcionka wydaje się trudna do zniesienia.

A jednak tęskni za jego liścikami. Każdego ranka Paul zostawia dla niej notatkę na szafce w kuchni: „Kocham cię, a szczególnie twoją pupę” i jeszcze „Jesteś moim numerem jeden”. Zaparza kawę, choć sam jej nie pije, żeby była gorąca, kiedy Joan się obudzi.

Jest najbardziej wyluzowanym tancerzem, jakiego zna.

Nic nam nie jest — pisze do niego. Przynajmniej nie ma tu maskotek.

To dopiero byłaby katastrofa — natychmiast odpowiada mąż.

Ona prawie się uśmiecha.

W Internecie podali, że ich zdaniem jest tylko jeden strzelec. Są dwaj. Słyszałam, jak przechodzili — pisze.

On odpowiada później, niż się spodziewała. Na pewno wyobraża sobie jeszcze straszniejsze rzeczy, choć wie, że się nie zdarzyły.

Przeszli obok was? — pyta.

Nie znaleźli nas. Ale przekaz policji, że na pewno jest ich dwóch. Słyszałam tylko ich głosy. Nic nie widziałam.

Przekażę — odpisuje.

Chciałby pewnie dodać coś jeszcze, ale Joan nie daje mu szansy. Pisze, że musi uważać i że go kocha, a on odpowiada tym samym. Potem ekran telefonu znów ciemnieje. Ta ciemność przynosi ulgę.

— Kawka odleciała? — pyta syna.

— Tak sędzę — odpowiada Lincoln.

Joan znów usiłuje się wprowadzić w odpowiedni nastrój do rozmowy z nim — najcichszej, jak to możliwe — żeby wszystko wydawało się normalne i w porządku. Rodzicielstwo jest w znacznej mierze udawaniem czegoś, czego wcale się nie czuje. Doszła do tego wniosku, słuchając godzinami opisów scen batalistycznych w wykonaniu plastikowych superbohaterów. Ale teraz wygląda na to, że może wszystkie te niekończące się bitwy miały jakiś sens — przygotowały ją na taką sytuację.

Joan potrafi udawać. Lada chwila znów zacznie to -robić.

Patrzy na trawę. Wydaje się jej, że dostrzega węża, ale to tylko patyk. Syreny znów zaczęły wyć. Jednak ich odgłos zdecydowanie nie dobiega od strony parkingu. Narasta

w oddali, zbliżając się. Joan ma wrażenie, że słyszy wóz strażacki — może nawet dwa albo trzy — a nie policyjny radiowóz, choć nie jest pewna, na czym polega różnica.

Kiedy Lincoln jeszcze z trudem składał słowa, zawsze wzywał straż pożarną ze swojego fotelika samochodowego, ściskając w dłoni świecący plastikowy telefon. „Halo, strażaku. W wielkim mieście się pali. Weź hełm. I buty. I pelerynę. I toporek. I węże”.

Joan nie wie, dlaczego nie potrafi pozostać tu i teraz. Z obecnym dzieckiem. Wciąż uparcie wskrzesza jego dawne wersje. Unoszą się wokół niej, niezdarne i miłe.

— Słyszę syreny — mówi Lincoln.

— Ja też — odpowiada Joan.

On kiwa głową.

— Myślisz, że zoo się pali? Od wystrzałów?

— Nie sędzę.

— Ci ludzie mogli mieć bomby.

— Nie sędzę.

— To byli źli ludzie? — pyta. — Ci, których rozmowę słyszeliśmy? Ten mówiący o zwierzętach? I larwach?

Joan sobie przypomina, że o larwach uczył się w szkole. Może wtedy, kiedy przerabiali motyle. Lincoln słucha i zastanawia się, długo obracając coś w głowie, jakby szlifował kamień, a potem wypuszcza gotowy produkt. Sądziła, że jego milczenie jest spowodowane czkawką, a tymczasem on tylko porządkował swoje myśli.

— To byli źli ludzie — potwierdza Joan.

— Śmiali się.

Chłopiec zмага się z tym w swoich opowieściach. Uważa, że niegodziwcy nie powinni się śmiać, i zastanawia się: „Dlaczego źli ludzie mogą być szczęśliwi?”.

Joan przesuwając palcem po jego knykciach.

— Pamiętasz, że czasem źli ludzie się cieszą, kiedy krzywdzą innych? — pyta i jednocześnie przypomina -sobie to, co on jej kiedyś powiedział: „Wiesz, mamusiu, czytamy o złych ludziach, ale ja nie znam żadnych złych ludzi. Wszyscy ci, których znam, są dobrzy”.

— A więc ci ludzie się śmiali, bo myśleli, że zabawnie jest krzywdzić innych? — pyta Lincoln.

— Tak — odpowiada Joan.

Chłopiec kręci głową.

— Łotry — mówi.

Joan spogląda na jego spokojną, zamyśloną twarz. Długie rzęsy opadają, kiedy mruga. Cały jest taki pulchny i delikatny. Pediatra nazwał go „bezsprzecznym urodziwym” dzieckiem.

Kiedy przyszedł na świat, uznała go za George’a Clooneya wśród niemowląt. Paul powiedział jej, że Mętnik to George Clooney wśród jamników, a ona jemu, że oczywiście jest George’em Clooneyem wśród mężów. Na co stwierdził, że otacza ją tłum George’ów Clooneyów. Tamtego dnia próbowała zjeść zupę kokosową ze śpiącym Lincolnem na rękach i trochę zupy pociekło na jego plecki. Przez całe popołudnie pachniał trawą cytrynową.

Wiatr się wzmaga. Joan czuje, że ma gęsią skórę na ramionach.

— Nie jest ci zimno? — pyta Lincoln.

— Nie — odpowiada chłopiec.

To może być prawda. On jest jak piecyk.

— Powiesz mi, kiedy ci będzie zimno?

— Powiem.

Gdyby to tylko było takie proste. Chciałaby wierzyć, że zawsze powie jej, czego potrzebuje. O czym myśli. Czego chce.

Pnie sosen wokół niej są owinięte u podstawy metalową siatką. Widocznie jeżozwierz, zanim zdechł, zjadał korę. Na trawie leży cienka warstwa sosnowych igieł — nie zauważyła tego, kiedy siadali, ale teraz czuje, jak kłują ją w nogi i dłonie. W oddali słyszy helikopter i spogląda w górę, ale go nie dostrzega. Często słyszy helikoptery w drodze do szpitala w środku miasta. W warkocie ich silników zawsze jest coś krzepiącego, a zarazem mrożącego krew w żyłach. Ten dźwięk oznacza, że ktoś został ciężko ranny. Osiemnastokołowa ciężarówka staranowała samochód, w którym jechała matka z dzieckiem? Jakaś nastolatka skoczyła z mostu? Ale także świadczy o tym, że podjęto już jakieś działania. Ktoś rozwiązuje ten problem.

Warkot helikoptera cichnie i rozlega się inny dźwięk. Joan nasłuchuje jeszcze przez kilka sekund. Usiłuje wychwycić odgłos maszyny. Nie chce pogodzić się z faktem, że ona odleciała. Jednak w końcu musi, ponieważ ten inny dźwięk jest coraz mocniejszy.

To płacze dziecko.

Dziecko.

Z początku nie chce w to uwierzyć, ale kwilenie dziecka staje się jeszcze głośniejsze. Joan wie, że w żaden inny sposób nie da się wytłumaczyć tego dźwięku. Nie jest taki, jaki wydaje niemowlę. Jest zbyt chrapliwy i nosowy, niczym płacz lalki, kiedy ktoś naciśnie jej brzuch.

Joan wie, że to nie lalka.

Za ogrodzeniem, w pobliżu bambusów, coś się porusza. Najpierw jest to tylko zmiana odcienia mroku, nieznacznie odcinająca się od pochylonego pnia. Ale potem jakiś kształt odrywa się od niego i staje się wyraźnie dostrzegalny: to kobieta z rozwianymi, długimi włosami. Idzie niepewnie, przyciskając ręce do piersi. Wciąż jest tak słabo widoczna, że w zgięciu rąk może nie trzymać niczego albo nieść tylko zwinięty sweter lub torebkę.

Jednak kwilenie nie pozostawia żadnych wątpliwości. To nie torebkę ta kobieta przyciska do piersi.

— Słyszę dziecko — mówi Lincoln.

— Cii — prosi go. — Bądź cicho.

— Skąd ono się tu wzięło?

Joan obserwuje kobietę idącą skrajem bambusowego gaju i wydaje się jej, że słyszy mamrotanie, a może to tylko szum wiatru. Podejrzewa, że kobieta próbuje uspokoić niemowlę, bo wykonuje te charakterystyczne ruchy towarzyszące uciszaniu — idzie, lekko podskakując. Kołysze się i zapewne gładzi dłonią główkę pokrytą meszkiem włosków. Dziecko nie przestaje płakać. Jego kwilenie jest lekko stłumione, już nie tak

przeraźliwe, więc Joan się domyśla, że matka — bo to chyba matka? — przyciska jego buzię do ramienia.

— Widzę je! — woła Lincoln. — Jest tam.

Joan zakrywa dłonią jego usta. Czując pod palcami jego wargi, jeszcze wyraźniej przypomina sobie, jak przyciskała go do piersi, a on wtulał w zgięcie jej łokcia swoje nóżki — takie małe, z fałdkami tłuszczu — i miękką główkę, doskonale się do niej dopasowując. I to uczucie towarzyszące uciszaniu jego płaczu...

Teraz chłopiec wyrywa się, usiłuje oderwać jej dłoń od swoich ust. Joan go puszcza.

— Cii — mówi.

Dawniej jego usta przywierały czasem jak ssawka do jej brody. Trzymała go na ręku, blisko ciała, chodząc po domu, a on się chwiał, jakby jego kręgosłup był z gumy.

— Proszę.

Jedno słowo przepływające w powietrzu. Kobieta z pewnością mówi to do dziecka, a nie do kogoś, kto mógłby ją usłyszeć. W tym słowie jest strach i tysiąc innych rzeczy.

— Co oni robią? — w końcu pyta szeptem Lincoln.

— Próbują się schować — mówi mu do ucha. — Tak jak my.

Matka i dziecko znajdują się dziesięć lub dwanaście metrów od miejsca, gdzie kulą się ona i Lincoln. Joan mogłaby ich zawołać. Mogłaby powiedzieć tej kobiecie, że tamci mężczyźni są gdzieś niedaleko. Mogłaby ją ostrzec, by została na zewnątrz i nie wchodziła do żadnego z pawilonów, ponieważ strzelcy polują na ludzi. Mogłaby dzielić z nią tę kryjówkę, która być może jest najlepszym, najbezpieczniejszym i najmniej rzucającym się w oczy miejscem w całym ogrodzie. Ocaliła już ją i Lincolna.

Dziecko płacze tak głośno.

Jeśli Joan się odezwie, kobieta zapewne zechce do niej dołączyć. Usiąść przy niej i dzielić się poczuciem bezpie-czeństwa.

To dziecko płacze zbyt głośno.

Jeśli kobieta z niemowlęciem prosi o pomoc, jaki człowiek mógłby jej odmówić?

Na widok kobiety z niemowlęciem Joan czuje zazdrość. Tęskni za tym ciężarem w jej ramionach. Chciałaby chwycić to obce dziecko, poczuć zapach jego główki i przesunąć palcem po wnętrzu jego dłoni. Uwielbiała czuć takie ciało przy swoim i zastanawia się, czy nie powiedzieć Paulowi, że tak naprawdę chciałaby mieć drugie dziecko, choć uzgodnili, że jedno wystarczy. Gdy widzi kobietę otaczającą niemowlę ramionami, zazdrości jej.

Takie dziecko, z twarzą pomarszczoną niczym bibułka. Z otwartą buzią. Machające rączkami.

Nie woła tej kobiety. Nie odzywa się ani słowem.

Patrzy tylko, jak ciemny zarys sylwetki powoli przesuwa się wzdłuż bambusowego gaju, przez cały czas lekko się kołysząc. Dziecko nie przestaje płakać. A potem już ich nie widzi ani nie słyszy. Znów zostają z Lincolnem sami.

18.17

Mamusiu, chciałbym na nocniczek.

Ten chłopak ma stalowy pęcherz. Niemal nigdy nie musi do ubikacji.

— Mógłbyś to zrobić jak mały piesek? — szepcze do niego.

— Nie chcę robić jak mały piesek. Jest za ciemno.

Ma rację, że jest ciemno. Niebo jest granatowe. Joan co prawda widzi swoją wyciągniętą dłoń, ale już tylko jej kontury.

— Jeszcze całkiem dobrze widać — usiłuje go przekonać.

— Chcę na nocniczek — odpowiada Lincoln, zbyt głośno. — Taki prawdziwy. Ze splukiwaniem.

— Posłuchaj — tłumaczy mu. — Ci źli ludzie wciąż tam są. Bądź bardzo cicho, żeby nas nie znaleźli. Jak pojawią się policjanci, pójdziemy do domu. Jednak na razie musisz robić siusiu jak piesek.

Lincoln zastanawia się nad tym. Kiedy uczyli go załatwiać się do nocnika, przez kilka miesięcy siadał na nim tylko wtedy, gdy pozwolili mu założyć kask rowerowy.

— Mogą usłyszeć, jak siusiam — protestuje. — Mogą mnie zastrzelić.

Ona czuje, że kręci ją w nosie, co jest preludium do łez. I ta myśl przeraża ją na równi ze wszystkim innym. Lincoln nie może zobaczyć jej płaczącej.

— Nie usłyszają cię — zapewnia. — Będę tutaj.

„I zatrzymam kule — pragnie dodać. — Nigdy nie pozwolę cię skrzywdzić, a jestem silniejsza, szybsza i sprytniejsza niż którykolwiek z nich”. Ale tak naprawdę nie musi tego mówić, ponieważ mały w to wierzy i ona również chciałaby w to uwierzyć.

Dolna warga Lincolnna zadrżała. Joan widzi, że jego ramiona zaczynają dygotać. Po raz pierwszy zauważa strach na jego twarzy.

— Mamusiu — mówi Lincoln, przysuwając się do niej. — Chcę się do ciebie przytulić.

Od dawna robi to jedynie podczas porannej rutynowej wizyty w ich łóżku, a wcześniej okazywał w ten sposób zdenerwowanie, kiedy wchodził do pomieszczenia pełnego nieznanymi osobami. Joan otwiera ramiona, a on wpada w nie, przywierając twarzą do jej szyi. Słyszy jego oddech i czuje wilgotne wargi na swojej skórze. Chłopiec chwytając rączkami jej włosy. Kiedy był niemowlęciem, wkręcał w nie paluszki podczas karmienia i wtedy przestała nosić kucyki, bo chwytając palcami powietrze, szukał jej włosów.

— Jesteś moim chłopcem — mówi.

Mięśnie jej ramion się rozluźniają, kiedy czuje jego ciężar. Być może źle to o niej świadczy, że pociesza ją ta jego potrzeba bycia blisko niej. Lincoln pociera noskiem o jej szczękę, oddychając trochę za głośno. Potem nieznacznie się odsuwa i Joan czuje na brodzie pasmo smarków.

Teraz pociera mokrym nosem o jej obojczyk.

Joan rozciąga bawełniany kołnierzyk i wyciera nim smarki z brody. Czasem się dziwi, że się tego nie brzydzi. Nie, nie jego smarków.

To całkiem inny rodzaj bliskości niż na przykład z kochankiem. Z kochankiem możesz być doskonale dopasowana fizycznie, mieć poczucie, że wasze ciała należą do siebie nawzajem i z całkowicie bezwiedną swobodą kłaść dłoń na jego udzie, pieścić go wargami, tak jak najbardziej lubi, lub wtulać się w niego w łóżku, biodro przy biodrze. Ale ostatecznie oboje jesteście dwoma różnymi ciałami i przyjemność jest wywołana tą właśnie różnicą.

Z Lincolnem ta granica pomiędzy dwojgiem jest zatarta. Joan kąpie go i ociera wszystkie wydzieliny jego ciała, a on wpycha palce do jej ust lub łapie równowagę, kładąc rękę na czubku jej głowy. Kataloguje jej piegi i pieprzyki równie starannie, jak swoje zadrapania i siniaki. Nie do końca zdaje sobie sprawę, że jest osobną istotą. Jeszcze nie. Na razie jej ramię jest równie łatwo dostępne jak jego — jej kończyny są też jego kończynami.

Są zamienne.

— Nadal musisz na nocniczek? — pyta, z wargami przy jego skroni.

— Myślę, że mogę jeszcze trochę wytrzymać.

— Nie — mówi mu. — Nie wiem, kiedy będziemy blisko toalety. Powinieneś zrobić siusiu teraz. Nikt nie zobaczy.

On kręci głową.

— Będę blisko ciebie — zapewnia go. Możesz zrobić to tutaj.

— Tu, gdzie siedzimy? — pyta ze zgrozą.

— Nie. Tam. Widzisz ten wielki chwast?

Czuje, że mały unosi i obraca głowę.

— Muszę zdjąć buciki — mówi, puszczając ją, i Joan wie, że go przekonała.

— Cii. Mów trochę ciszej. Nie zdejmuj bucików. — Jeśli je zdejmie, wszystko znacznie się skomplikuje. — Inaczej będziesz musiał iść boso po kamykach.

Bywa, że nie jest w stanie do niego dotrzeć. A niekiedy Lincoln jest jak dobrze znany pokój, w którym można się poruszać nawet po omacku.

— Kamyki nie są dobre dla moich nówek — mówi chłopiec.

— Wiem.

Idzie w stronę wskazanej przez nią rośliny i opuszcza spodenki, nie ruszając bucików. Kiedy zaczyna sikać, plusk moczu opryskującego rośliny wydaje się rozbrzmiewać bez końca i przez moment Joan zastanawia się, czy na pewno miała rację, mówiąc, że nikt tego nie usłyszy. Jednak Lincoln wreszcie kończy i jest przejęty tym, że kilka kropel spadło mu na buciki. Ona prosi, by się tym nie martwił, i daje mu wilgotną chusteczkę wyjętą z torebki, żeby się wytarł.

— Mamusiu?

— Hmm?

— Ja już nie chcę tu być.

— Wiem, skarbie. Wytrzyj rączki.

Lincoln spogląda w bezruchu na chusteczkę, trzymając ją dwoma palcami.

Joan patrzy w ciemność, jej wzrok przyciągają nieliczne źródła światła — blask pobliskiej latarni, nieco słabsza księżycowa poświata za drzewami. Zerka na telefon. Mrok wszystko zmienił i ona to wie. Obawiała się, że telefon dzwoni zbyt głośno, ale

poza tym jest jeszcze źródłem światła. A światło jest teraz czymś wyjątkowym i przyciągającym uwagę. Jednak na pewno są już jakieś nowe wiadomości. Z pewnością w jakimś sensie bardziej ryzykuje, nie sprawdzając ich. Bierze w dłoń komórkę, osłaniając wyświetlacz, a kiedy ten się włącza, jego blask jest jednocześnie zbyt jasny i przyjemnie znajomy. Cały świat mieści się w tym małym, równym prostokącie.

Pochyla się nisko nad aparatem. Gdy sprawdza www.wbta.com, widzi te same dwa krótkie akapity. Przegląda inną witrynę z lokalnymi wiadomościami, ale nic na niej nie ma. Po namyśle wywołuje jeszcze CNN, jednak jest tam tylko zdjęcie bramy zoo — aż nazbyt doskonała fotografia reklamująca ogród. W rogu jest wklejony baner najnowszych wiadomości, a pod nim krótka informacja: „Według najnowszych doniesień osoba, która strzelała w ogrodzie zoologicznym Belleville, prawdopodobnie wzięła zakładników”.

Lincoln przyciska do jej łydki wilgotną chusteczkę odświeżającą.

— Nie chcę wycierać rączek — oznajmia.

— Cii. Mów szeptem. Mamusia musi coś przeczytać.

— Nie chcę wycierać rączek! — chłopiec woła tak głośno, że Joan aż się skręca.

— Cicho! — syczy, wrzucając telefon do torebki. — Za głośno mówisz! Usłyszają cię.

Lincoln patrzy na nią, a ona powoli wypuszcza powietrze z płuc. Ujmuje jego niewytartą dłoń i przyciąga go do siebie. Kiedy zaczyna mówić, jest już spokojniejsza.

— Wiesz, że musimy być cicho — szepcze. — I zawsze myjemy rączki po skorzystaniu z ubikacji. Inaczej mógłbyś zachorować.

Mówiąc to, sama nie wie, dlaczego właśnie teraz wygłasza uwagi na temat higieny.

Wzięto zakładników.

Zakładnicy.

— Ja chcę być chory — oświadcza Lincoln. — Lubię być chory.

Joan powoli kiwa głową. Chłopiec znów podnosi głos. Tymczasem ona zbiera rozbiegane myśli i ponownie skupia całą swoją uwagę na nim. Nie może mieć mu za złe takiego zachowania. Siedzą na ziemi i ukrywają się przed zabójcami. Przecież to pora kolacji i jego nastrój jest ściśle związany z poziomem cukru we krwi. Mały po prostu jest głodny. Jeśli go nie nakarmi, zacznie marudzić, płakać, a może nawet wrzeszczeć.

— Lubisz chorować? — pyta go.

— Tak — prowokacyjnie odpowiada Lincoln.

„Za głośno, za głośno, za głośno”. Joan znów z trudem powstrzymuje wzbierający w niej lęk.

— Cii — prosi łagodnie. Delikatnie. Jakby odmierzała łyżeczkę syropu na kaszel lub poprawiała niesforny kosmyk jego włosów, bo najważniejsze jest właściwe podejście. — No wiesz, Superman nie może zachorować.

— Może, jeśli jest tam kryptonit — odpowiada Lincoln, a ją przepelnia poczucie triumfu, jakie jej zdaniem zapewne czuł Edmund Hillary, kiedy dotarł na szczyt Everestu.

— Zielony kryptonit — uściśla syn. — Jak w „Doom in a Tube” i „Skrag the Earth Conqueror”.

— Lubię ten ze Skragiem — mówi Joan.

Dostrzega zmianę jego nastawienia, zanim on jeszcze wysunie dolną szczękę

i wyprostuje ramiona. Wpadł w buntowniczy nastrój.

— Ja go nie lubię — oświadcza chłopiec.

— Nie? Myślałam, że to jeden z twoich ulubionych.

— Nie lubię go.

Joan nie chce mu dać najmniejszego punktu zaczepienia.

— W porządku — odpowiada.

— To okropny komiks.

— W porządku. Mów ciszej.

— To najgorsza książka, jaką kiedykolwiek czytałem.

Kiedy mały jest w takim nastroju, wymyśla niestworzone rzeczy. Joan przesuwa dłonią po twarzy, mimowolnie rejestrując zadowolającą jędrność skóry. Naciska czubkami palców powieki, a gdy w końcu je odejmuje i oblizuje suche wargi, czuje słony smak kurzu, który nawet nie jest nieprzyjemny.

— Chcesz się pobawić swoimi figurkami? — pyta.

— Nie — odpowiada Lincoln zbyt szybko.

Takie pospieszne riposty się nie liczą. Joan czeka. Czyta z jego twarzy myśli przemykające mu przez głowę.

— Tak, proszę — poprawia się Lincoln.

I ta mroczna, roszczeniowa cecha jego charakteru znika. Niknie równie szybko, jak się pojawia. I tak jest zawsze. Tak samo szybko pojawi się znowu. Jednak kiedy nadejdzie, Joan sobie z tym poradzi.

Otwiera torebkę i udaje, że ją przetrząsa w poszukiwaniu czegoś, jednocześnie drugą ręką włącza telefon. Denerwuje się tym, że ktoś zobaczy światło, i ewentualną irytacją Lincolna wywołaną taką podzielnością jej uwagi. Ma jednak wrażenie, że pod zdjęciem zoo i banerem były linki do obszerniejszej informacji. Wystarczy kilka muśnięć kciukiem, żeby przejrzeć krótki tekst.

Oddział SWAT jest już na miejscu...

...policja nie ujawnia szczegółów.

Sprzeczne relacje świadków...

Wciąż nie ma opisu zdarzenia. Więcej pytań niż odpowiedzi.

— Mamusiu? Moje ludziki? — pyta Lincoln, kładąc dłoń na jej ramieniu.

— Już je wyjmuję — mówi Joan, usiłując zrozumieć sytuację. Czy policja nadal myśli, że ma do czynienia tylko z jednym strzelcem? I że ten mężczyzna zabarykadował się w jakimś pomieszczeniu? Czy uważają, że zagrożenie jest miejscowe i ograniczone?

— Mamusiu? — znów ponagla ją Lincoln, trochę głośniejszym, gniewnym tonem.

Joan skupia się teraz tylko na nim i w końcu wyjmuje z torebki garść plastikowych figurek. Daje mu je, nie wiedząc, czy to rozsądne, bo on nie potrafi cicho opowiadać tych swoich historii pełnych bitew i swarów. Jednak nic innego nie przychodzi jej do głowy.

Jeśli zacznie hałasować, uciszy go.

Myśli o tym tak, jakby to było takie proste. Jakby zawsze potrafiła go uciszyć, kiedy tylko zechce.

— Może wymyślę jakąś nową historię — mówi Lincoln, usiłując ustawić figurki na nierównej ziemi. — Czy mam Predatora?

— Tak sędzę — mówi mu, znów sięgając jedną ręką.

Wkłada telefon do torebki. Może przez to przeoczyć jakąś wiadomość, ale ma nadzieję, że torebka zasłoni blask wyświetlacza. Obraca głowę, bacznie przyglądając się otoczeniu: drzewom, bambusom, szynom kolejki i otwartej przestrzeni, lecz nie dostrzega w ciemności żadnego ruchu. Słyszy w oddali jakiś piskliwy głos, może płaczącego dziecka. Ten dźwięk słyszała już wcześniej. Nie wie, czy jest rzeczywisty.

— Mamusiu, znalazłaś go? — pyta Lincoln.

Joan przesuwa palcami po dnie torebki, gdzie zalega warstwa plastikowych postaci. Wymacuje kluczyki, kilka długopisów, coś lepkiego, co zostaje jej pod paznokciami, ale także twarde nóżki, rączki i hełmy. Wyjmuje jedną figurkę... Nie, to Cudowna Kobieta. Upuszcza ją i znów zaczyna szukać.

— Ach. Predator. — Wyciąga go z torebki i strząsa przyklepiony do jego głowy rodzynek. — Masz — mówi, wręczając ludzika Lincolnowi.

Kupiła Predatora, ponieważ był przeceniony na dwa dolary w sklepie Barnes & Noble, a Lincoln zawsze szukał postaci, która odgrywałaby rolę obcego. Pewnego wieczoru skakali po kanałach telewizyjnych i zobaczyła ten stary film ze Schwarzeneggerem, w ocenzurowanej wersji, zapewne bez wulgaryzmów i krwi. Pozwoliła Lincolnowi go obejrzeć. Tyle że teraz w telewizji można do woli mówić „nie bądź cipą” albo „niech cię szlag”, więc jak można pozwolić czterolatki oglądać cokolwiek?

Jednak ten film wcale go nie przeraził. Patrząc na wiszące na drzewie rozplątane ludzkie zwłoki, zapytał: „Och, myślisz, że to były jego wnętrzności?”

Interesują go części ciała.

— Myślisz, że on może być zombie? — pyta Lincoln, wodząc palcem po maleńkiej główce obcego.

— Pewnie — odpowiada Joan. To możliwe, że są zakładnicy. To możliwe, że mężczyźni, którzy strzelali w pawilonie małp, teraz złapali kilka bezbronnych osób i cały ten koszmar jest zamknięty w jednym pomieszczeniu. Być może jedyną pomyłką policji — albo CNN — było błędne określenie liczby strzelców. A co jeśli policja całkowicie źle ocenia sytuację?

Ci krwawiący ludzie, leżący na betonie, niektórzy z nich żyli, nieprawdaż? Potrzebowali pomocy medycznej, czyż nie? Oni potrzebują jak najszybszej interwencji policji. A jeśli strzelcy wciąż kręcą się po ogrodzie zoologicznym, polując na ludzi, nie ma na co czekać. Należy działać.

Mogła powiedzieć o tym policjantom. Mogła powiedzieć Paulowi, żeby ich zawiadomił.

A jeśli tamci wzięli zakładników? Co jeśli się myli i każe tu wpaść policjantom, a wtedy zginie więcej ludzi? A może strzelcy zamknęli się w jakimś pomieszczeniu, a ona i Lincoln są tu zupełnie bezpieczni?

Co jeśli strzelcy stoją teraz po drugiej stronie ogrodzenia i wpakują jej w głowę kulę, której ona nawet nie poczuje i nie będzie w stanie w żaden sposób ochronić syna?

— Zombie mają zieloną skórę — mówi Lincoln.

— Tak — potwierdza Joan.

Tamtego wieczoru, kiedy oglądali „Predatora”, Lincoln był zafascynowany. „Czy Predator wraca w kosmos? — zapytał, podskakując na dywanie salonu. — Czego mógłbym użyć jako statku kosmicznego?”

„Czy Predator to chłopiec, czy jest tylko taki jeden, czy ma przyjaciół, czy chodzi do dentysty, czy mówi po angielsku, czy może żyć na Ziemi, czy oddycha powietrzem, czy jest prawdziwy, czy mieszka w dżungli, dlaczego się śmieje na końcu, czy krwawi tak jak my?”

„Czy zawsze będziesz moją mamusią?” — zapytał także, zaraz po tym, jak zobaczyli obdartych ze skóry ludzi z pourywanymi rękami i niebo rozjaśnione wybuchami.

„Zawsze” — odpowiedziała.

„A kiedy dorosnę, nadal będziesz moją mamusią?”

„Tak”.

„I będę mógł mieszkać z tobą, kiedy będę już dorosły?”

„Do diabła, nie” — szepnął Paul, przechodząc obok kanapy i owiewając ciepłym oddechem jej ucho. Ale ona powiedziała: „Oczywiście”.

„Ponieważ chcę, żebyś zawsze była przy mnie” — oznajmił wtedy Lincoln, trzymając swoją małą dłoń na jej ramieniu, w zgięciu, gdzie biceps spotyka się z przedramieniem.

Oczywiście nie będzie tego chciał. Jednak to miła myśl.

— Mamusiu, pozwól, że coś ci powiem — mówi teraz, a Predator, zombi, najwyraźniej przekopuje ziemię w poszukiwaniu czegoś. — Nie wszystkie zombi są złe.

— Nie?

— Nie. Są zombi nazywani policyjnymi zombi, którzy mają łapać złych zombi i wrzucać ich do wielkiej dziury. Bo takich dziur zombi używają zamiast więzień.

— Cii — prosi poniewczasie Joan. — Mów trochę ciszej.

Lincoln kontynuuje, a ona kiwa głową i po raz setny lub już nie wiadomo który spogląda na drzewa i ciemność wokół. Chłopiec porusza swoimi ludzikami prawie po omacku, choć na niebie świeci wąski sierp księżycy, a lampa na patio za nimi rzuca słabą poświatę. Joan widzi owal głowy syna oraz kontury drzew i dachów budynków. Wszystko wokół ma jakiś kontur, ale ledwie widoczny. Musiałaby poruszać się bardzo ostrożnie, gdyby spróbowała opuścić ten wybieg. Po ciemku nie widać dziur ani kamieni, na które można się natknąć przy każdym kroku.

Co by zastała na alejkach zoo? Czy lampiony nadal tam się palą? Czy latarnie oświetlają drogę? Jeśli są tam światła, to oczywiście musiałaby ich unikać. Gdyby tam poszła.

Gdyby oboje tam poszli.

To nie powinno tak wyglądać. Czytała opisy wielu strzelanin i jest przekonana, że zna ich przebieg. Strzelec przychodzi i zasypuje wszystkich gradem kul. Ludzie upadają na ziemię, zabici lub ranni, albo takich udają. To jest straszne, ale kończy się po paru minutach, a potem przybywa policja i napastnik popełnia samobójstwo lub zostaje zastrzelony przez policję. To okropny schemat, a jednak typowy. Przewidywalny, co zawsze uważała w tym wszystkim za najstraszniejsze. Takie masakry zdarzają się

dostatecznie często, żeby oczekiwać szeregu alarmujących nagłówków, ponurych zdjęć strzelców i wakacyjnych fotografii uśmiechniętych ofiar, cytatów z Facebooka, domysłów, skąd zamachowcy wzięli broń, oraz oficjalnych oświadczeń rodzin ofiar. Chciałaby teraz tej przewidywalności. Tego typowego schematu.

Jednak nie. W tym bezruchu i ciszy, z ciałami zabitych wciąż leżącymi po upływie godziny na betonie, nic takiego nie następuje.

Musi ponownie ocenić sytuację. Czy powinni tu czekać? Ukrywać się, obojętnie jak długo to potrwa? Nie jest to jedyna możliwość.

Wie, że zoo to teren zamknięty — „teren zamknięty” to chyba wojskowe określenie — ale nie może sobie przypomnieć, jak wygląda to ogrodzenie. Na pewno je widziała, spędzając tutaj tyle godzin, z pewnością przechodziła obok niego. Z czego jest zrobione? Z siatki? Cegiel? Jaką ma wysokość i czy jest zwieńczone drutem kolczastym?

Gdyby siedziała tu sama, zaczęłaby układać jakiś plan związany z tym ogrodzeniem.

Paul nienawidzi latać. Zawsze chce trzymać ją za rękę podczas startu. Usiłuje policzyć samoloty startujące z tego konkretnego lotniska, a potem przemnożyć ich liczbę przez liczbę lotnisk w całym kraju, łączy otrzymane wyniki i szacuje na ich podstawie jakieś wyimaginowane prawdopodobieństwo katastrofy. Takie liczenie go uspokaja.

Joan zastanawia się, jaką powierzchnię ma zoo. Ona i Lincoln zajmują teraz mniej niż metr kwadratowy. Jeśli ogród ma powierzchnię około dwóch i pół kilometra kwadratowego, a kilometr ma tysiąc metrów... Ale trzeba to podnieść do kwadratu. To daje milion metrów kwadratowych, więc prawdopodobieństwo tego, że strzelcy znajdą się w tym samym miejscu, byłoby jak jeden do miliona. A gdyby niosła Lincolna, to razem zajmowałiby niecały metr kwadratowy, więc jeszcze mniejsze.

Wie, że te obliczenia nie są nawet w przybliżeniu prawidłowe.

— Kiedyś miałem dwie stopy — mówi Lincoln, zapewne udając zombi. — Jednak nikt nie potrzebuje dwóch. Wystarczy jedna.

Coś się porusza w zeschniętych liściach i sosnowych igłach. Joan przez chwilę czuje strach — tyle chwil strachu, jedna po drugiej... Jednak tym razem lęk szybko mija. Cokolwiek tam jest, to jest to coś małego. Jakiś ptak, a może jaszczurka.

Kiedy była mała, lubiła wieczory. Na dworze było tyle miejsca, a dom jej matki wydawał się tak ciasny, z tymi wszystkimi ciemnymi kątami pełnymi rzeczy, o których wolała nie myśleć. Ciemność na zewnątrz była inna. Można było bosy wyjść na wybetonowany plac pełniący rolę patio i usiąść na pełnym drzazg ogrodowym leżaku — matce nigdy nie chciało się wymienić poduszek, kiedy zbutwiały — i nasłuchiwać nocnych odgłosów: żab i świerszczy, a czasem szczekania psa albo warkotu samochodów i pobrząkiwania łańcuchów huśtawki kołysanej przez wiatr. Zawsze zaskakiwały ją te dźwięki, kiedy już zechciała je wychwycić.

Tak samo jest teraz. Tu także słyhać wiele warstw dźwięków. Tyle że one nie wprowadzają jej w cudowny nastrój. Słucha ich ze ściśniętym gardłem.

Znów słyszy płacz dziecka.

Wiatr się wzmógł i słyhać teraz nowy odgłos: jakby szklane kulki spadały na posadzkę w kuchni. W pobliżu rośnie dąb — domyśla się Joan. Żołędzie odbijają się od betonu. Dźwięki te przypominają przez moment tupot wielu małych nóżek.

Coś twardego gniecie ją w biodro. Joan wyciąga kamienną bryłę wielkości pięści, przypuszczalnie kawałek cementowej zaprawy. Machnięciem ręki odrzuca go pół metra od siebie. W tej chwili rozjaśnia się ekran komórki w jej torebce.

Jesteś tam? — pyta Paul.

Pragnie, żeby mąż był teraz przy niej. Bardzo. Ale tak naprawdę wcale tego nie chce, bo nigdy nie chciałyby go narazić na niebezpieczeństwo. Myśli o jego kanciastym ciele mocno przyciśniętym do jej ciała po zgaszeniu światła, gdy leżą wtuleni w siebie, uda przy udach i brzuch przy plecach — jej pępek przy jego kręgosłupie.

Nie chce odbierać tego połączenia. Nie chce niczego ujmować w słowa.

Zostaje uratowana: na wyświetlaczu pojawia się komunikat o nowej wiadomości. Sprawdza ją pospiesznie i z ulgą, bo w końcu telefon dostarczy jakichś informacji. Coś się stało — zapewne pojawia się policja. Strzelcy nie żyją. Joan z nadzieją wyjmuje telefon i czyta jakieś słowa, a potem robi to ponownie i jeszcze raz, ponieważ nie mają sensu.

Dziesiątki zabitych w wyniku powodzi w Teksasie — głosi wiadomość.

To dla niej niepojęte, że ludzie giną także gdzie indziej, nie tylko tutaj. To niepojęte, że jest jakieś inne miejsce poza tym. Joan wciąż patrzy na te słowa, po czym usuwa komunikat o nowej wiadomości. Zerka na Lincolna, który siedzi, tylko siedzi, bezradnie ściskając w rączce Predatora.

Trzeba odpowiedzieć Paulowi.

Czekam — pisze — i zastanawiam się, czy może powinnam coś zrobić.

Zanim to przemyślała, już pojawia się jego odpowiedź — bez cienia niepewności w tych stanowczych słowach:

ZOSTAŃ TAM.

Czy on uważa, że wielkie litery ją przekonają?

Wiesz, że... — zaczyna, lecz zaraz jej palce nieruchomieją i patrzy na nie, zgięte w słabym świetle, co przypomina jej pozę tancerki hula. Nagle zdaje sobie sprawę, że podziwia swoje dłonie.

Jedna sekunda. Dwie. Trzy.

Nasłuchuje.

Coś kazało jej przerwać. Wie, że coś się zdarzyło, zanim sobie uświadamia, że to coś to jakiś dźwięk.

Potem znów go słyszy. To taki odgłos, jaki towarzyszył jej samej na tych krętych betonowych alejkach — chrzęst żwiru pod podeszwą. Chrobot i szuranie. Być może szept. Dźwięki dochodzą z alejki za ogrodzeniem z siatki, z rozległego i ciemnego terenu poza tym wybiegiem.

Pospiesznie wyłącza telefon i przyciąga do siebie Lincolna. Ma wrażenie, że

zawsze przyciąga go do siebie, chwyta i przyciska go do piersi, zaniepokojona, gdy się oddała — „nie tak daleko, nie tak głośno, nie tak szybko” — oczywiście nie licząc chwil, kiedy to on ją chwyta i przyciąga do siebie, zaniepokojony, że się oddaliła.

„Mamo, na łączki” — mówił, kiedy jeszcze nie wymawiał „r”.

„Na łączki. Na łączki. Na łączki”.

Joan spogląda w ciemność — teraz całkowitą, tak że za barierką wybiegu nie widać już niczego. Wie, że są tam bambusy, szyny kolejki i betonowe aleje. Ma nadzieję, że to znowu ta kobieta z dzieckiem albo ktoś inny szukający kryjówki. I tym razem — obiecuje Bogu — tym razem zawoła i pomoże temu komuś, wpuści do swojej kryjówki, jeśli tylko to ktoś taki.

Niczego nie może zobaczyć. Jednak coś słyszy.

Szepty, na pewno. Męskie szepty jak z jakiejś stacji radiowej, na granicy słyszalności.

Nie zabarykadowali się w jakimś pomieszczeniu.

— Cicho — mówi do Lincolna, choć on nie wydaje żadnego dźwięku. — Źli ludzie.

— C...? — zaczyna mały, ale Joan go ucisza, a on posłusznie milknie, za co ona w duchu odmawia pospiesznie dziękczynną modlitwę, ponownie zadając sobie pytanie, czy Bóg ukarze ją za to, że postąpiła tak, jakby jej dziecko było ważniejsze niż dziecko innej kobiety. Bez wahania zrobiłaby to znowu, bo naprawdę nie potrafi tego żałować, nawet z poczuciem winy ciężącym jej jak mokre wełniane ubranie. Czasem zastanawia się nad swoim rozumieniem Boga.

Wydaje się jej, że tamci są coraz bliżej, niemal na pewno nadchodzą asfaltową ścieżką biegnącą równolegle do torów kolejki. Od czasu do czasu słyszy jakieś stąpanie, ciche szuranie i chrzęst.

Mrok jest nieprzenikniony, nieruchomy.

Joan nie sądzi, żeby ona i Lincoln byli tu widoczni. Wyobraża sobie lampy zamocowane do krokwi zadaszenia platformy i wie, że oświetlają skraj wybiegu, ale ten skalisty teren, na którym się ukrywają, wydaje się tonąć w czarnych jak atrament ciemnościach. Porusza palcami ręki i ledwie widzi ich ruch.

Telefon. Co jeśli dostrzegli blask wyświetlacza?

— Tutaj — mówi jakiś głos, cicho i bliżej, niż się spodziewała. Jest to najstraszniejsze słowo, jakie kiedykolwiek słyszała.

— Tam? — pyta drugi głos.

— Nie. Tam.

Nadal nie może ich zobaczyć. Jednak ich głosy zdają się dobiegać tuż zza ogrodzenia wybiegu — może z sześciu metrów? Dziesięciu? Są na tyle blisko, że słyszy każde wypowiedziane słowo, choć musi wyteżać słuch. Sądzi, że stoją nieruchomo. Na coś czekają.

Czy ją widzą? Czy patrzą teraz na nią, celując do niej z broni?

Ćma muska jej policzek grubymi skrzydłami. W górze trzeszczy jakaś gałąź. Kosmyk włosów opada jej na usta, a ona go nie zdmuchuje.

— Nic nie widzę — mówi jeden z nich.

— Cii.

Joan patrzy w stronę telefonu, który wepchnęła pod udo, choć nie może go dostrzec w tych ciemnościach. Jest pewna, że zobaczyli światło ekranu i równie pewna tego, że będą jej szukać, dopóki nie znajdą. To wszystko jej wina. Wiedziała, że ryzykuje, i źle obliczyła szanse.

Cena tego błędu może być bardzo wysoka.

— Mamusiu — mówi prosto do jej ucha Lincoln i Joan nie wie, czy ten szept jest tak głośny, jak jej się wydaje.

Czasem całują jedno drugie w ucho, cmokając jak najgłośniej. Lincoln mówi: „Zrobię ci mniam do ucha”, po czym przyciska wargi do jej małżowiny. A ona czuje ten słodki, bolesny impet jego pocałunku i lekki podmuch, tak jak teraz. Wilgotne ciepło oddechu natychmiast rozwiewającego się w powietrzu, wydobywającego się z jego ust i zwilżającego jej skórę.

— Znikaj — szepcze, tak cicho, że nie wie, czy on ją słyszy. Ale chyba tak, bo on składa głowę na jej ramieniu.

Joan uświadamia sobie, że klęczy na jednym kolanie, mocno oparta drugą nogą o ziemię, gotowa zerwać się i pobiec. Chce uciec. Jednak nic nie widzi i nie wie, dokąd mogłaby się udać, nawet gdyby widziała. Usłyszeliby ją. Musiałaby przejść przez barierkę, niosąc przytulonego do siebie Lincolna, a ogrodzenie wybiegu jest dobrze oświetlone.

Musi tu zostać i się nie ruszać.

Nie wie, czy potrafi to zrobić. Nie wie, czy zdoła czekać tu, aż po nią przyjdą.

— Jesteś pewny? — pyta głos.

Joan zakłada, że to ci sami dwaj mężczyźni, którzy przeszli przez pawilon naczelnych, ale nie jest tego pewna. Już nie odróżnia ich głosów. Oba są ściszone.

— Ktoś tu jest — mówi drugi głos.

— Ukrywa się, tak?

Ten drugi nie odpowiada. Przez chwilę słychać tylko szum wiatru, liści i jakieś wycie w oddali. Ona się nie porusza, tylko raz po raz głaszcze główkę Lincolna.

Słychać brzęk i szmery przy ogrodzeniu. Może ktoś oparł o siatkę but lub rękę albo stracił równowagę. Wydaje się jej, że dostrzega zarysy głów i ramion, płaskie i bezkształtne w ciemności, jak sylwetki wycięte z papieru.

— „Zbłądziłeś, lecz odnalezion zostałeś” — mówi jeden z nich śpiewnie, choć tak naprawdę nie śpiewa. Raczej nuci, fałszując, raz głośniej, raz ciszej. — „Bezdomnym wygnańcem byłeś, lecz teraz moim żeś”.

Mężczyzna nie przestaje. Nuci coraz głośniej. Joan wyobraża sobie jego uśmiech i niemal spodziewa się, że facet zaraz zacznie klaskać w rytmie tej melodii.

— „Wiodłeś mnie, wiedząc, że za tobą pójdę. Wystarczy teraz, że skłonisz głowę, boś moim jest”.

Nuci już tak głośno, że Joan wyraźnie słyszy jego głos. Wydaje się jej, że to ten mężczyzna, który przedtem był cichy. Jego głos jest cieńszy, piskliwy. Jak na kogoś, kto uważa się za eksperta od polowań, najwyraźniej nie przejmuje się już tym, że robi tyle hałasu.

A może po prostu jest bardzo pewny siebie.

— „Boś moim jest” — powtarza ten człowiek i chyba przeciąga ręką po czymś metalowym, po ogrodzeniu, czemu towarzyszy niemal melodyjny brzęk.

Joan usiłuje się uspokoić, bo niemal słyszy swój oddech. Trzęsie się, nabierając powietrza do płuc.

— Jeden pisklak powiedział mi, że walczy o pokój — mówi drugi z nich, z tym udawanym zachodnim akcentem, co wcześniej, uciszając w ten sposób nucącego. Teraz rozmawiają tak głośno, że Joan pojmuje, iż nie są niczym odurzeni ani nazbyt pewni siebie, a przynajmniej nie tylko. Po prostu chcą, żeby ten ktoś, kto się tutaj ukrywa, ich usłyszał.

Znów ten brzęk siatki ogrodzenia. Miarowy i metaliczny. Słysząc cichy trzask spadającego z dębu żołędzia.

— I co ty na to? — pyta drugi.

— Co ja na to, cukierczku? — zaciąga pierwszy. — Zapewniłem mu spokój. Wieczny.

Obaj się śmieją i w tym swobodnym, porozumiewawczym śmiechu jest coś ze starego dowcipu, co uświadamia jej, że to może być cytat z jakiegoś filmu.

Nie rozpoznaje słów, ale jest pewna, że ma rację. Kiedyś miała chłopaka, który potrafił recytować całe dialogi ze „Szczęk”. A kiedy jej brat jeszcze z nią mieszkał — ledwie pamięta te czasy, zanim została sama z matką — wplatał do zwyczajnej rozmowy teksty z „Gwiezdných wojen”. I dokładnie tak to brzmiało. Jej chłopak i brat mówili innymi językami, wypowiadali niezrozumiałe słowa, których sensu nie pojmowała, ale wyczuwała w nich ten sam nabożny podziw, co w głosach tych dwóch mężczyzn.

„Tysiąc sto osób wpadło do wody, a trzysta szesnaście z niej wyłowiono — resztę pożarły rekiny”.

„Nie szukacie droidów”.

Ogrodzenie brzęczy, jakby ci ludzie nim kołysali. Oczywiście nie są w stanie go wywrócić — widocznie chcą tylko narobić hałasu.

Przeszli po ścieżce, bliżej bambusowego gaju. Joan dostrzega ruch, zmianę gęstości mroku. Tam też trzęsą ogrodzeniem.

— Patrzę moim małym oczkiem — woła jeden.

Jednak niczego nie widzą. Teraz jest tego pewna. Tylko udają. W nadziei, że wypłoszą ofiarę, tak jak labrador ojca wypłaszał mu gołębie, zanim ojciec opuścił rodzinę. Gołębie podrywały się do lotu, a ojciec strzelał. Potem pies przynosił mu jednego i jeśli ten nie był martwy, ojciec urywał mu łepkę i rzucał na ziemię, ponieważ twierdził, że w ten sposób gołąb mniej cierpi. Jednak krew ciekła z szyjki i leżącej w trawie głowy. O ile pamięta, tylko raz zabrał ją na polowanie.

— I co widzisz? — pyta jeden z nich normalnym -głosem.

— Widzę ciemność — odpowiada drugi.

Znów się śmieją. Joan zastanawia się, czy nie są pijani.

Przytulony do niej Lincoln wydaje dźwięk przypominający pisk Mętlika, kiedy ktoś nadepnie mu na łapę.

Tamci się śmieją, a jej strach zmienia się w coś zimnego i twardego. Z dreszczem emocji uświadamia sobie, że to wściekłość. Ci durnie wymachują bronią i podśpiewują

sobie idiotyczne rymowanki. Przez nich Lincoln jęczy ze strachu w jej ramionach. Przypomina sobie, jak będąc w szkole średniej, poszła do gabinetu strachu i przed nią szedł jakiś postawny mężczyzna — miał prawie dwa metry wzrostu i był zbudowany jak futbolista — tak blisko, że wciąż na niego wpadała, gdy nagle przystawał. Była tam z chłopakiem, ale ten wielkolud stanowił lepszą osłonę. Nagle rozbłysło stroboskopowe światło i zamaskowany zombi pojawił się tuż przed nią, z piłą spalinową bez łańcucha. Joan wrzasnęła zawstydzająco głośno i widocznie przestraszyła tym wielkoluda, bo ten — w rozbłysku białego światła — rąbnął zombi pięścią w twarz. Potem się okazało, że zamiast zombi na ziemi leży jakiś nastolatek, jęcząc i ściągając maskę z broczącej krwią twarzy. A ona wcale mu nie współczuła i nawet była zadowolona z tego, co zrobił wielkolud.

Joan myśli, że ci ludzie z karabinami to nastolatki. Nie są mężczyznami, a w każdym razie nie dojrzałymi ludźmi. To idioci. Nie pozwoli, by jej syna zabili jacyś nastoletni, podśpiewujący idioci.

Jeśli chcą odgrywać jakieś role, to ona też oglądała filmy i naprawdę czuje się jak w jednym z nich. A skoro jest postacią filmową, to łatwiej jej działać. Jedną ręką puszcza Lincolna, drugą nadal trzymając na jego zmierzwionych kędziorach, i szuka w zielsku tego kawałka cementu, który wcześniej odrzuciła. Niemal natychmiast wyczuwa go pod palcami. Kanciasty i ciężki, dobrze leży w dłoni, jak piłka bejsbolowa. Kładzie go przy udzie i znów wodzi palcami po ziemi, zataczając dłonią kręgi. Drugi kamień jest większy od pierwszego; nie mieści się w jej dłoni.

Powoli zmienia pozycję, przytrzymując Lincolna tak, żeby mogła się zamachnąć. Sama nie wie, czy to mądre, czy też bardzo głupie, ale już zaciska palce i napina mięśnie, by rzucić kamień za ogrodzenie wybiegu. Ma nadzieję, że ten przeleci przez gałęzie drzewa i spadnie na tor kolejki lub w zarośla przy strzelcach.

Specjalnie nie zastanawia się zbyt długo, gdzie go -rzucić.

„Raz. Dwa”. Odlicza sekundy z ręką wciąż wyciągniętą przed siebie, aż słyszy uderzenie kamienia o gałęzie lub liście, głośniejsze niż oczekiwała i nie tak daleko jakby chciała, ale zdecydowanie za ogrodzeniem wybiegu i w pobliżu toru kolejki. Upadł spory kawałek za tymi mężczyznami, jeśli nadal stoją przy ogrodzeniu.

Zastanawia się, czy się zorientowali, że ktoś rzucił kamieniem, by ich odciągnąć.

Najwyraźniej nie, bo z podekscytowanym pomrukiem posłusznie podążają tam, skąd doleciał ten dźwięk, łamią krzaki i chwasty rosnące między ścieżkami, a ich kroki są niezdarne, niepewne i niecierpliwe.

Zapewne zbyt wiele by oczekiwała, licząc na to, że któryś z nich skręci sobie nogę w kostce.

Oni wciąż tratuja zarośla, a tymczasem Joan wyciąga wciśnięty pod udo telefon. Teraz aparat jest zimnym kawałkiem plastiku, niczym więcej. Ale nie, nie tylko. To z jego powodu tkwią tutaj, ukrywając się przed ludźmi, którzy ledwie potrafią poruszać się w ciemnościach.

Rozlega się inny dźwięk — kilka strzałów. Tym razem zdumiewająco przypominających stukanie maszyny do pisania, na której ktoś pisze powoli i stanowczo. Joan nawet nie drgnęła, choć sama nie wie dlaczego. Może już przywykła i nie sądzi, żeby

celowali w jej stronę. Poza tym chce w końcu coś zrobić, a nie tylko się bać.

Oddycha powoli i głęboko. Przestała się trząść. Jest nieruchoma, spokojna i gotowa jak przedmiot wycięty i oszlifowany w jakimś celu. Przesuwa kciukiem po telefonie, znów zapalając ekran, a potem z całej siły rzuca nim za ogrodzenie z siatki, w kierunku bambusów, które — jak wie — mają ściółkę z sosnowych szpilek. Na prawo od miejsca, gdzie stali ci mężczyźni, zanim pobiegli za rzuconym przez nią kamieniem. Oczywiście istnieje niebezpieczeństwo, że zauważą lecący w powietrzu, świecący telefon i że aparat spadnie na beton, i się rozbije, zdradzając, że został rzucony — co wszystko by zepsuło. Jednak nie zamierza znów kulić się bezradnie, więc patrzy, jak telefon koziółkuje w powietrzu, leci szybko i pewnie, aerodynamicznie, jakby do tego został stworzony. I nie upada z trzaskiem, ale z głuchym stuknięciem. Ciekawe, czy to usłyszeli.

— Co to? — pyta jeden z nich, zaskoczony, i to głupie traktowanie głupich krzaków wreszcie cichnie. Usłyszeli stuknięcie, co może być dobre lub złe, ale jest czymś, co zrobiła Joan. Teraz to ona pociąga za sznurki. I nagle czuje się o wiele lepiej.

Gdy na to patrzy, doświadcza w sobie siły.

Widzi ekran telefonu świecący w oddali, jasny punkt za pajęczyną drucianej siatki. Wycelowała nieźle, ale nie idealnie. Jednak komórka leży klawiaturą do góry — na co liczyła — w gąszczu bambusów. W blasku wyświetlacza widać kępkę gładkich drewnianych pni i wciąż drżących liści.

— Tam — mówi jeden z mężczyzn i Joan dostrzega ich cienie przemykające w ciemności, gdy wbiegają po betonie w plamę światła padającego spod okapu pawilonu naczelnych i zaraz znikają z tego kręgu, a potem pochylają się nad jej telefonem i przez moment widać ich widmowe twarze i ręce.

Patrzy, jak jeden z nich podnosi aparat i trzyma go tuż przy twarzy. Tak jak przypuszczała, jest gładko ogolony, jasnowłosy i biały. Twarz ma wąską i nijaką. Joan zastanawia się, czy to ten o piskliwym głosie, pasującym do takiej twarzy.

Jeszcze nie skończyła.

Kiedy on spogląda na ekran, Joan bierze zamach i rzuca drugi kamień, celując za tych ludzi, dalej od ścieżki, w przeciwną stronę niż jej kryjówka i tor kolejki. W głąb ogrodu zoologicznego, w kierunku innych wybiegów i wszystkiego. Ma nadzieję, że miejsca upadku obu rzuconych kamieni wytyczą linię prostą skierowaną ku alejkom, toaletom, ławkom i stołom, oczywistym kryjówkom, tablicom i wywieszkom, prowadzącą gdziekolwiek, byle nie tutaj.

Lincoln cicho stęka, zaskoczony gwałtownym ruchem jej ręki, a ona wypuszcza z dłoni kamień, który po chwili uderza o coś stałego i miękkiego zarazem. Zapewne o -ziemię.

— Uciekają — mówi ten cichy, z piskliwym głosem. Ten, który trzyma jej telefon.

Widocznie wyłączył go albo wsunął do kieszeni, ponieważ światło zniknęło i Joan słyszy, jak obaj biegną w dół ścieżki. Podążają tam, gdzie upadł kamień, oddalając się od niej i Lincolna. Ale niezbyt szybko, ponieważ nie są zaniepokojeni. Widocznie nieźle się bawią.

To, co zrobiła, to żadna sztuka. Zapewne widziała coś takiego w którymś odcinku „Stracha na wróble i pani King” albo może „Predatora” lub w jakimś innym filmie akcji.

(Dziwnie się poczuła, gdy pomyślała o sobie leżącej na kanapie przed telewizorem, z przytulonym do niej Lincolnem, popijającym z niekapka i nieustannie zadającym pytania, ponieważ nie potrafił nawet przez minutę oglądać programu, nie pytając o coś). Jest pewna, że ci strzelcy też widzieli milion takich filmów, a jednak ma nadzieję, że są zbyt zadufani w sobie i głupi, by wszystko dokładnie rozważyć.

Nadal słyszy ich kroki na betonie alejki, ale cichnące. Miarowe i swobodne.

Uświadamia sobie, że Lincoln był bardzo cicho. Gdyby nie boląca ręka i ciężar jego ciała na biodrze, niemal zapomniaby, że tu jest.

— Skarbie? — mówi pytająco.

On tylko mocniej się przytula, nawet nie podnosząc głowy.

III

Biegną z Markiem niemal ramię w ramię, a ich oddechy łączą się w jeden dźwięk. Choć nie widzieli tego kogoś, kto upuścił telefon, szybki bieg sprawia, że wszystko wydaje się toczyć gładko i doskonale. Robby nigdy wcześniej nie czuł się taki szybki jak dzisiaj. Jeszcze nigdy nie miał takiej pewności, że jego ciało jest niczym potężne narzędzie, zdolne do robienia wszystkiego. Przed nimi wyrosła żelazna ławka bez oparcia i z łatwością mógłby ją ominąć, ale on przeskakuje przez nią, z łoskotem odbijając się jedną nogą od metalu. Kiedy biegnie, już nie jest Robbym. Czasami czuje się tak samo, kiedy ma broń w ręku, ale nie zawsze. Otaczająca go ciemność, błyski światła w oddali i wielkie liście, które falują na wietrze — to wszystko jest takie, jakie być powinno. Właśnie tego zawsze pragnął: poczucia, że wszystko jest w porządku.

Nie czuł tego przy dzikach, bo wtedy nie pamiętał, że już nie jest Robbym. Tylko Robby może czuć się taki zagubiony, niezdarny i bezmózgi jak pień.

— Tędy — szepcze Mark, skręcając w lewo, w kierunku żyraf. Nawet nie próbuje czekać i sprawdzać, czy Robby biegnie za nim. Robby jest zawsze niczym cień.

Mark zwalnia do truchtu. Grdyka sterczy mu z chudej szyi, na której kołysze się głowa; jeszcze nigdy nie przypominał tak bardzo dyniogłowej kukły. Od szkoły średniej nie przytył więcej niż pięć kilo. „Chuderlak” — mówiła o nim z uśmiechem matka Robby’ego, ale Robby wiedział, że skoro się z tego śmieje, to nic nie rozumie. I to wtedy po raz pierwszy zaprosił Marka do siebie. Mark zobaczył na półce płytę DVD, złapał ją i zawołał „Ukryci?!” takim tonem, jakiego inni faceci używają wtedy, kiedy znajdują pornosa. Nawet nie pytając o pozwolenie, sięgnął po pilota. Potem zaczęli oglądać początek. Tę scenę, którą Robby widział już kilkanaście razy, kiedy ciemność wypełnia ekran i nagle, bardzo powoli, rozbłyskują w tej czerni maleńkie punkciki światła.

Jakbyś patrzył w kosmos, ale potem kamera odjeżdża i okazuje się, że zaglądasz do dziupli w pniu drzewa. Te świetlne punkciki są czymś w rodzaju owadów, jak czerwie lub termyty, tyle że świecą. I nagle patrzysz na całe drzewo, olbrzymie, a potem dostrzegasz inne i zdajesz sobie sprawę, że to dżungla, ale niepodobna do żadnej z tych, o których kiedykolwiek słyszałeś. Nie widać nieba. Drzewa rosną tak gęsto, że wszystko spowija mrok, a ich liście są wielkości dorosłego człowieka. Te gigantyczne liście uderzają w hełmy i owijają się wokół karabinów. Robby zawsze uważał, że w takim gąszczu trudno byłoby oddychać, choć drzewa powinny produkować tlen, przynajmniej na Ziemi. I tak naprawdę właśnie to jest najfajniejsze w tym filmie, że nie wiadomo, czy akcja dzieje się na Ziemi, czy na jakiejś obcej planecie. Bohaterowie są ludźmi, ale liście drzew świecą nocą jak guma do żucia Wrigleya, a stwory, na które polują, są całkowicie zakryte pióropuszcami z piór i dredów.

— Wiesz, że ją zgubiliśmy, prawda? — pyta Mark, robiąc przerwy między poszczególnymi słowami na złapanie oddechu. Nigdy nie był atletą. — Nie wiadomo, gdzie ona jest.

Robby wciąż jest myślami w filmie i potrzebuje chwili, by wrócić do rzeczywistości.

— Ona? — pyta.

— Kobieta, która upuściła telefon.

— Skąd wiesz, że to kobieta?

Mark pokazuje mu komórkę, obracając ją ekranem do światła. Robby dostrzega jakiś niewyraźny obraz.

— Zdjęcie jej dzieciaka — stwierdza Mark. — To na pewno kobieta.

Robby nie jest przekonany, ale nie chce się sprzeczać.

— To dlaczego wciąż uciekamy? — pyta.

Mark podnosi rękę i rozlega się trzask telefonu uderzającego o beton — to piękny dźwięk. W następnej chwili obaj skaczą po kawałkach rozbitego wyświetlacza, obudowy i podzespołów.

— Polowanie trwa dalej — mówi Mark. — Jesteśmy ładem. Jesteśmy nadzieją.

Robby już wie, że jego towarzysz też to czuje. Pozostawili całą resztę za bramą ogrodu, na parkingu. Tu przeszłość już nie ma znaczenia.

Starbucks — osiem miesięcy. Applebee's — cztery miesiące. Bud's Burgers — pięć miesięcy, i Boże, sam chciał już odejść, bo naprawdę roilo się tam od otyłych, okropnych dziwolągów, tak jakby wpuszczali tam tylko grubasów z brzuchami wylewającymi się jak ciasto z foremki. Aż chciałoby się wziąć nóż i oderznąć to wszystko, by zobaczyć, jak taki nieszczęśnik wyglądałby bez swojego kałduna.

Potem był antykwariat z książkami, Chick-fil-A i dom towarowy Searsa — przez dwa miesiące. A ostatnio CVS — krócej nawet niż miesiąc.

Jego głupi szef, strasznie ważny, uważajcie, ma czterdzieści lat i kieruje drugstorem. Sami widzicie, co za kariera. Robby był pewny, że Louisa Brunson dobrze się z nim bawiła w kręgielni, ale następnego wieczoru, kiedy do niej zadzwonił, podczas rozmowy z nim nie przestała nawet oglądać telewizji. Powiedziała, że jej matka każe jej się skupić na nauce, zamiast chodzić na randki. Ale on wiedział, że jej matka po prostu nie chce, by Louisa z nim chodziła. Bo dorośli tak właśnie go traktują, a szczególnie matka Louisy, która ma wylupiaste oczy i przez całe życie nie przepracowała ani jednego dnia. To jedna z tych kobiet, które są okropne zapewne już od urodzenia, i rodzice powinni ją utopić jak kocię. Przed Louisą była Angela Willard. Ta na początku była miła, słodka i nieśmiała, ale potem okazała się głupią zdzirą. Robby powinien to przewidzieć.

„Zdzira”, „słodka” i „nieśmiała” to dźwięki wybijane przez jego stopy na bruku.

Ośmioletnia kuzynka Robby'ego dopytywała go, czy płaci swojej matce czynsz. Ciekawe, jakie rozmowy rodziców podsłuchiwała, że zadała mu takie pytanie. Ta część ich rodziny podaje się za chrześcijan, ale uwielbia dołować innych. Są paskudni i małostkowi. Tylu paskudnych ludzi — świat jest ich pełen — i nikt z nich nie widzi własnych wad. Nie, skądże znowu, wszyscy są zbyt zajęci myśleniem o Robbym jako o popaprańcu i leniu. Są ślepi i żałośni, a nawet o tym nie wiedzą.

Oni wszyscy są wymazani. Wszystko to jest wymazane.

„Jesteśmy ładem — jesteście nadzieją”.

„Jesteśmy ładem — jesteście nadzieją”.

Te słowa są coraz głośniejsze, kiedy kamera odjeżdża, a ich rytm przypomina marszowe skandowanie oddziałów, głośniejsze przy słowie „nadzieją”. Przez kilka

sekund na ekranie są tylko drzewa, a potem pojawia się uciekająca postać. Ściga ją ciemnowłosy żołnierz w eleganckim, dopasowanym mundurze i prawie żal ci tego stworzenia, niemal nagiego, nie licząc pióropusza. Jednak potem, kiedy żołnierz chwytą je za rękę — to ręka czy może coś innego? — stwór drugą ręką dotyka jego twarzy, a żołnierz zastyga, pręży się w konwulsjach i upada na ziemię.

Nadchodzą inni żołnierze — równym rzędem, tyralierą — i stwór daje nura w krzaki. Wtedy pojawia się po raz pierwszy porucznik Harding, który bez słowa unosi dłoń. Potem podchodzi do krzaków i sięga między gałęzie. Wyciąga za nogę pisklaka, wierzgającego i skrzeczącego. Dłonią osłoniętą rękawiczką ścisną jego nadgarstki, trzymając ociekające jadem pazury z daleka od swojej twarzy. Z uśmiechem nuci mu: „Zbłądziłeś, lecz odnalezion zostałeś”. Od tego momentu, kiedy widzisz minę Hardinga zacis-kającego palce na szyi pisklaka — wiesz, że to ona, ponieważ ma piersi. Choć wszystkie te stwory mają ciała pokryte jakimś fioletowym metalem — wiesz, że one są złe, a żołnierze dobrzy. A gdy porucznik wreszcie łamie jej kark, jesteś zadowolony.

— Z powrotem nad jezioro — mówi Mark, podciągając dzinsy. — Dokończmy obchód.

— W porządku — odpowiada Robby.

— Cii — ucisza go Mark.

Jesteś zadowolony, gdy Harding pojmuje, że próba zatrzymania inwazji pisklaków jest pomyłką. Nie wystarczy ich powstrzymać. Pisklaki zaczęły wychodzić z dżungli i zakradać się do miasta, które nie ma nazwy. Porucznik Harding uświadamia sobie, że stwory mogą z łatwością pozabijać wszystkich mieszkańców. Dlatego należy zgładzić je wcześniej.

Pisklaki twierdzą, że nie chcą nikogo skrzywdzić. Wysyłają do obozu żołnierzy trzech paplających posłów. Jeden z nich występuje naprzód — z piórami i dredami powiewającymi na wietrze — i trzymając ręce w górze, powtarza chyba jedyne znane sobie słowo: „Pokój, pokój, pokój”. Ale te ręce to ich broń, czyż nie? Ich dotyk zabija.

Harding nosi ze sobą długą igłę i wieczorem przy ognisku wyjmuję ją, po czym przekłuwa pęcherze, które porobiły mu się na stopach. Wbiją igłę w taką wydętą skórę, a pęcherz pęka i ropa spływa na ziemię. Wtedy on, nie zmieniając wyrazu twarzy, znów zakłada buty. Później raz po raz wbija tę igłę w chudy kark pisklaka, a ten wrzeszczy i łyzy ciekną mu po twarzy. Te łyzy spływające na ziemię przypominają ropę — nie widać żadnej różnicy.

Pisklaki wyglądają na słabe. I właśnie tego najbardziej nienawidzi w nich Robby. Harding jest mądrzejszy, silniejszy i nie ma żadnych słabych punktów. Trzeba to podziwiać, no nie? Faceta, który nie popełnia żadnych błędów. A jeśli nawet je popełnia, to nikt tego nie zauważa, i to właśnie jest prawdziwy dar, czyż nie?

Kiedy wyrzucali Robby’ego z CVS, tłumaczył, że się spóźnił do pracy, bo znów nie zadzwonił budzik. I co miał zrobić? Jego szef, z tą swoją kozią bródką, wybujałym ego, w przyciasnych dzinsach, mówiący z udawanym brytyjskim akcentem: „Rób tak dalej”, stwierdził, że budzik Robby’ego to nie jego problem. Może miał rację. Może spóźnienia to wyłącznie wina Robby’ego. Tylko co on może na to poradzić? Jak odwrócić coś, co już się stało? Może ma wynaleźć wehikuł czasu, by wrócić w przeszłość i zbudzić

się na czas? Przez całe swoje życie nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego wini się go za rzeczy, nad którymi nie ma żadnej kontroli. Dlaczego wciąż jest za nie karany. Nic na to nie poradzi, że ma taki mocny sen. Nic nie poradzi na to, że czasem zapomni spojrzeć na prędkościomierz i przypadkowo przejedzie obok szkoły dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Nic nie poradzi na to, że źle zapisał zamówienie i stolik dostał burgery z boczkiem zamiast z czarną fasolą. Przecież nie zrobił tego specjalnie. Nawet jeśli ludzie mają rację i jest leniwy, nieuprzejmy i samolubny, to cóż z tego? Taki już jest, no nie? To geny. On ich sobie nie wybrał. Ale to jest bez znaczenia, czyż nie? Nikogo nie obchodzi, że on się stara, nieprawda?

Jednak nie, przecież to Robby się stara. A on już nie jest Robbym. Nie jest tym samym wiecznie psującym wszystko chłopcem, który dziś wyszedł z domu.

„Jesteś ślepy, cukiereczku?”

Czasem wydaje mu się, że pisklaki są najsprytniejszymi złoczyńcami, jakie kiedykolwiek stworzono. Gdy są ranne, ich krew jest jasnoróżowa i nie można stwierdzić, czy to z powodu upiornego oświelenia, czy też po to, by wyglądała nieludzko. Krew pryska i kapie na mech, co przypomina obraz, który kiedyś malował w wakacyjnej szkole biblijnej.

„Ma kolor tego antybiotyku — powiedział Mark tamtego pierwszego popołudnia. — No wiesz, amoksycyliny? Brałeś ją kiedyś?”

A Robby pomyślał, że faktycznie ta krew jest w kolorze amoksycyliny. Pamiętał jej smak, słodkawy, kredowy i cudowny. Powiedział Markowi, że z przyjemnością ją zażywał.

„Lubiłeś ją?” — zapytał Mark i dodał, że nigdy nie spotkał nikogo, kto nie uważałby tego antybiotyku za obrzydliwy w smaku. On sam, kiedy był mały, raz zszedł w nocy do kuchni i wypił całą buteleczkę.

Robby od tak dawna nie czuje się taki sam jak inni.

Matka czasem przynosiła im miskę doritos, nic nie mówiąc i nie nawiązując kontaktu wzrokowego, a Robby czuł się z tym źle. Był pewny, że ona wie, iż wolałby, aby nie przypominała Markowi o swoim istnieniu. Zastanawiał się, czy to nie rani jej uczuć. I czy ona usiłuje wzbudzić w nim poczucie winy. Aż kiedyś zauważył, jak obejrzała się przez ramię, i wciąż widzi ten jej uśmiech. Była taka szczęśliwa, że znalazł przyjaciela. Czowała taką ulgę.

Czasem niemal jej nienawidzi. I nienawidzi za to uczucie sam siebie. A to już coś.

— Pora na odprawę — mówi Mark i zwalnia tempo. Idzie, dysząc i sapiąc.

Robby spogląda na zegarek. Wciąż dziwnie się czuje, mając go na nadgarstku, ale wszyscy potrzebowali zegarka.

— Taak.

— Chyba że odpuścimy — mówi Mark.

Znów są już prawie przy jeziorze. Mężczyzna widzi migoczące światła, te śliczne, mrugające dekoracje na Halloween.

— Nie — oświadcza Robby.

— Musimy tylko — mówi po raz setny Mark — przejść przez mur. Pójdziemy po śladach, znajdziemy jakieś ciemne miejsce i zeskoczymy na Cherry Street albo przy

Havers. Wrócimy do mojego samochodu i już nas nie ma. Nikt nie będzie wiedział.

Oto cały Mark — zawsze wybiera najłatwiejsze wyjście. Nie lubi się wysilać. Kiedy trzeba napisać wypracowanie, to jemu nie chce się napisać nawet strony i wciska nauczycielowi kit o bolącej głowie, a potem narzeka, że dostał jedynkę. Tymczasem Robby siedzi na tyłku w pracowni komputerowej do czwartej rano, a mimo to oddaje tylko parę stron, które zostają słabo ocenione. W efekcie żaden z nich nie zalicza, więc który z nich tak naprawdę jest mądrzejszy?

— I co zrobimy potem? — pyta Robby. — Pojedziemy do Peru i zamieszkamy na plaży?

— W Peru nie ma plaż, głupku — ripostuje Mark. — Zrobimy cokolwiek. Pojedziemy do domu i zjemy pizzę. To nie ma sensu, Robby. Dla niego to bez różnicy. I tak dostaje to, co chce. — A my spełniliśmy naszą obietnicę.

Schodzą z betonowej ścieżki, z chrzęstem krocą po wysuszonej trawie i sosnowych igłach. Robby zauważa, że coś się poruszyło w krzakach, ale to tylko kaczka po drugiej stronie ogrodzenia z drucianej siatki.

— Nie — mówi. — Już ci mówiłem, że nie.

Robby nigdy się nie spiera, więc Mark nie ma wprawy w przekonywaniu go. Byłby kiepskim sprzedawcą, wciąż tylko powtarza swoje.

— Możemy odejść — mówi Mark, podchodząc bliżej. — Możemy obudzić się jutro rano.

Kiedy Robby był mały, oglądał kreskówkę o robocie, myszy, a może o jakimś psie. Na filmach rysunkowych one wszystkie wyglądały prawie tak samo. Jednak gdy ten roboto-myszo-pies pojawiał się na ekranie, jakiś basowy głos wykrzykiwał: „A teraz gwiazda programu!”.

Robby czasem słyszy ten głos w swojej głowie, gdy widzi Destina, tego, który do tego wszystkiego doprowadził. Tego, który dostrzegł w nich coś wyjątkowego. Gwiazdę programu. Robby zamierza doprowadzić sprawę do końca, tak jak obiecał Destinowi.

Tak naprawdę to zakończenie jest najważniejsze.

Robby ogląda się za siebie, na światła migające nad jeziorem. Uśmiecha się.

Jestem głodny — mówi Lincoln.

Joan musi wyteńczyć słuch, żeby go usłyszeć. Odezwał się po raz pierwszy od dłuższego czasu. Siedzą w milczeniu, on wygodnie oparty o jej tors. Jest już o wiele za ciemno na zabawę ludzikami.

Jest za ciemno, żeby robić cokolwiek.

Joan jest absurdalnie zadowolona, że usłyszała jego głos, choć bardzo by chciała, żeby powiedział coś innego — nieważne co.

— Niech sprawdzę — mówi, ale jest pewna, że nie ma niczego do jedzenia. Po omacku grzebie w torebce, najpierw maca w kieszonkach. — A więc — pyta — jak sądzisz, jakie ćwiczenia wykonuje Batman? Po to, żeby był szybszy i silniejszy?

Lincoln nie odpowiada.

— Myślę, że podnosi ciężary — mówi za niego.

Wymacuje kredki. Zastanawia się, dlaczego jeszcze nie wyrzuciła tych wszystkich paragonów.

— I kręci hula-hoop — rozpaczliwie kontynuuje Joan. — Albo ćwicz figury baletowe.

Wreszcie wyjmuje pognieciony batonik snickers, odwija go z papierka i podaje Lincolnowi.

— Masz tu coś słodkiego, skarbie. Snickersa.

Lincoln dotyka palcami jej dłoni, gdy go bierze.

— Masz więcej?

— Sprawdź — obiecuje. Nie ma nic więcej. Mimo to nadal trzyma rękę w torebce. Rozlega się ciche cmoknięcie, z jakim wargi Lincolna zaciskają się na jego palcach, bo zawsze zbyt głęboko wkłada jedzenie do ust, a potem odgłos przeżuwania.

Po kilku sekundach Joan słyszy, jak syn oblizuje palce.

— Znalazłaś więcej? — pyta cicho i sennie.

Joan ledwie widzi jego głowę, gdy obraca ją ku niej. Nie może dostrzec rysów jego twarzy ani nawet oczu i zębów, które chyba powinny błyskać biało w ciemności. Opiera się o skalną ścianę, zimną i twardą, jej włosy zaczepiają o chropowatą powierzchnię.

— Nie mam więcej, skarbie — mówi.

— Wciąż jestem naprawdę głodny. Może masz jakieś krakersy?

— Nie. Hej, a czy ty masz swoje figurki?

— Nie.

— Gdzie one są?

Cisza.

— Przecież nie chcesz ich zgubić, skarbie. Powinniśmy ich poszukać.

Lincoln nie odpowiada. Joan wyciąga rękę, kładzie dłoń na jego udzie i przesuwa wyżej, aż dotknie jego palców. Ujmuje jego dłoń, a on jej nie zabiera, ale też nie zaciska palców, jak to zwykle robi.

— Pomacajmy na ziemi wokół — mówi mu — i sprawdzmy, czy uda nam się je

znaleźć. To tak, jakbyśmy szukali po ciemku wielkanocnego jajka. Tyle że poszukamy superbohaterów.

Lincoln lubi święta wielkanocne.

Zabiera rękę.

— Zacznę ich szukać — szepcze Joan i wie, że jej głos brzmi zbyt radośnie. — No, kogo my tu mamy?

Nie mogła się powstrzymać, by nie zapełnić ciszy, gdy on nie odpowiadał.

— Wiem, że dałam ci Batmana — mówi, przesuwając dłonią po ziemi. Trawa jest tak wyschnięta, że aż kłuje. Niemal natychmiast Joan dotyka gładkiego plastiku i rozpoznaje postać po rogatym hełmie. — I mam Lokiego. Kogo jeszcze mam szukać?

— Thora — odpowiada beznamiętnie Lincoln. — Predatora. Chłopca o jasnych włosach.

Znalazła już wszystkich trzech. Wydaje się jej bardzo ważne, żeby nie zostawić tu żadnej figurki, i zaczyna szybciej wodzić wokół rękami. Czuje bolesne ukłucie — kawałka szkła lub skały? — ale nie zwraca na to uwagi.

— Czy oni sobie poszli? — pyta Lincoln, tak cicho, że ledwie go słyszy.

Joan wyciera dłonie o spódnicę. Starannie zamyka torebkę, żeby przez przypadek nie wypadła z niej żadna figurka.

— Ci źli ludzie? — szepcze.

— Tak.

— Nie wiem. Dopóki się nie dowiem, musimy zostać tutaj i być cicho.

— Jest tu policja?

— Nie wiem.

— Czy oni nas zabiją?

— Kim był jasnowłosy chłopiec z twojej opowieści?

— Ale czy oni nas zabiją?

Joan słyszy jego oddech. Ten dźwięk wydaje się głośniejszy niż wypowiedane przez niego słowa. Żałuje, że nie widzi jego twarzy.

— Mogliby — odpowiada. — Gdyby nas znaleźli. Jednak na pewno nas nie znajdą.

Czuje jego ciepłe ciało, przyciśnięte do niej od biodra do barku. Lincoln mówi coś jeszcze, za cicho — za cicho! — a ona nachyla się, żeby go usłyszeć.

— Co mówisz? — szepcze.

— Gdyby nas zabili — pyta dalej Lincoln — to czy nasze ciała poszłyby do nieba?

— To dusze idą do nieba.

— Ach tak — wzdycha chłopiec. — A nasze ciała zostaną tutaj?

— Tak. Jednak nie będzie nam ich brakowało. To dusze są naprawdę ważne.

— Ale nie możemy zobaczyć naszych dusz. Ani ich dotknąć.

— Nie teraz — odpowiada Joan.

Wiatr znów się wzmacnia. Jest jej zimno, ale nie tak bardzo. Nie chce pytać małego, czy nie przemarzł, bo wówczas mógłby sobie zdać z tego sprawę.

Lincoln wierci się przy niej, ale nie zadaje już żadnych pytań. Nie nuci ani nie wyrzuca z siebie bezsensownych słów. Joan słucha szelestu liści, grania świerszczy i myśli o Paulu — z którym teraz nie może porozmawiać. Zastanawia się też, czy ci

mężczyźni tu wróca. Teraz jeszcze trudniej jest tu siedzieć, w tej pulsującej i pochłaniającej wszystko ciszy.

— To nie potrwa długo — szepcze do Lincolna.

— Nadal jestem głodny — odpowiada syn.

Joan po raz setny zadaje sobie pytanie, gdzie się podziewają policjanci. Może jeszcze przez jakiś czas zdoła go uspokajać, ale stężenie cukru w jego krwi będzie malało i z każdą upływającą minutą będzie się coraz bardziej upodabniał do głodnego zwierzątka. Aż przyjdzie załamanie.

Mogłaby go zostawić tutaj samego i przez pawilon naczelnych, plac zabaw i wybieg dla słońi pójść do dystrybutorów z napojami i przekąskami, które stoją obok baru „Sawanna”. Gdyby wszystko dobrze poszło, kupiłaby paczkę krakersów i wróciła po paru minutach. On mógłby zaczekać tutaj, a jej nie zajęłoby to więcej czasu, niż potrzebuje w domu, żeby skoczyć do łazienki lub na piętro, po jakąś książkę.

To tylko marzenia i Joan o tym wie. Oczywiście Lincoln nie usiedziałyby tu cicho, spokojnie czekając. Nawet przez dwie minuty. Nie zdążyłaby przejść przez barierkę, a już wyciągałby do niej rączki i prosił, żeby zabrała go ze sobą. A gdyby zignorowała tę prośbę, zaczęłby płakać.

Mogłoby się też okazać, że wyprawa po coś do jedzenia wcale nie jest taka łatwa. Bo tamci by na nią czekali. Czy przysłużyłaby się synkowi, gdyby ją zabili, a on siedziałby tutaj, wołając ją, aż wreszcie by go znaleźli?

Nie, nawet gdyby spokojnie tutaj czekał, trudno dostrzec zalety tego planu. Nie wiadomo, dlaczego o wiele straszniejsza jest myśl o tym, że znaleźliby go tu samego, takiego małego i patrzącego z przestachem, jak podnoszą broń. Wątpliwym pocieszeniem jest jednak myśl, że gdyby do tego doszło, będzie trzymała go w ramionach i...

Odpycha od siebie ten obraz. Czasem widzi bardzo wyraźnie jakieś straszne rzeczy, które mogłyby przytrafić się Lincolnowi — na przykład wychodzi nagle na jezdnię i przejeżdża go samochód. I łapie się na tym, że układa sobie w myślach to, co powiedziała by Paulowi, gdyby musiała zadzwonić i go o tym zawiadomić. Z trudem opanowała atak paniki, widząc, jak siostra Paula sadza małego na foteliku samochodowym i odjeżdża, bo przecież tak wyraźnie widziała w myślach wypadek, który mogliby mieć na autostradzie, a wtedy to ona odebrałaby telefon z tą wiadomością i ze szlochem słuchała przez telefon głosu bratowej.

Czasem po północy wchodzi do pokoju Lincolna, by się upewnić, że mały oddycha.

Odwozi go do szkoły i częściej, niż chciałaby to przyznać, tłumi myśli o szkolnych strzelaninach, ludziach wdzierających się do klas, krzyczących nauczycielach i o tym, ile dzieci zdoła uciec przez okna, zanim strzelcy wyważą drzwi. Zastanawia się też, czy nauczyciel wybierze Lincolna do pierwszej grupy uciekających. Te myśli do tej pory wydawały się irracjonalne, ale teraz najwyraźniej widać, że jej obawy nie były bezpodstawne.

Ponure wizje pojawiają się coraz rzadziej, odkąd Lincoln trochę podrosł. Kiedy jeszcze był niemowlęciem, przez pewien czas nie mogła w ogóle patrzeć na okna. Jakiegokolwiek. Zawsze sobie wyobrażała, że jej mały chłopiec wypada przez któreś z nich.

Teraz Joan siedzi na ziemi, a pogrążony w ciemności świat wokół pełen jest odgłosów, które z ledwością może rozpoznać. Nie wolno jej sobie wyobrazać, że Lincoln mógłby zostać zastrzelony. Taki obraz się nie pojawi. Ona na to nie pozwoli.

— Chcesz się położyć? — pyta go. — Na moim podołku będzie ci jak na poduszce. Albo potrzynam cię jak wtedy, kiedy byłeś malutki.

Lincolna fascynuje to, co robiła, kiedy on był malutki. To część jego życia, której on sam nie pamięta. Jest zaintrygowany tym, że pił mleko z jej piersi.

— Nie — odpowiada. — Chcę zjeść kolację.

— Może poczujesz się lepiej, jeśli trochę odpoczniesz — przekonuje go, choć wie, że próby pokierowania nim nic nie dadzą. Jednak nie zamierza porzucić tej słabej nadziei, że mały zaśnie. Tuliłaby go i gładziła po twarzy, aż za-padłby w sen, a wtedy mogliby siedzieć tu bez końca. Teraz zaczyna żałować, że nie ma smoczka, ponieważ dawniej, jak w odruchu Pawłowa, oczy same mu się zamykały, gdy zaczynał ssać. „Smok to przyjaciel, którego trzymasz w buzi” — powiedział jej kiedyś. Ale ochoczo z niego zrezygnował w swoje czwarte urodziny, więc smoczek spoczywa teraz na półce w jego pokoju, w domku zrobionym ze słomek do napojów, razem z łóżeczkiem dla lalek i kocykiem.

— Jestem głodny — powtarza Lincoln. — Wygłodniały.

Wymawia to niewyraźnie, połykając głoski.

— Połóż się na chwilę — prosi go znowu.

— Nie chcę leżeć. Chcę zjeść kolację.

— Zjemy kolację troszeczkę później.

— Ale ja jestem wygłodniały.

— Poleż przez pięć minut — proponuje Joan. — Tylko pięć minut, a potem zobaczymy.

— Dobrze — odpowiada chłopiec, ale krzywi się, opuszcza dolną wargę i marszczy brwi, a słowa już mu więzną w gardle. — D-obre. D-obre.

— Lincoln... — zaczyna Joan.

Jego płacz zawsze zaczyna się od słów. Próbuje mówić przez łyżę, aż wreszcie słowa zmieniają się w szloch. Potem zupełnie cichną i zaczynają tryskać łyżę, a gdy te spływają po jego policzkach, łkanie staje się monotonne i rytmiczne jak morskie fale, tyle że bardziej drażniące.

— Cii — uspokaja go. — Musisz być cicho.

— D-oob-rze — mówi, a raczej jęczy, dzieląc to słowo na trzy sylaby.

Joan czujnie spogląda w ciemność. Lincoln mówi za głośno, za głośno, za głośno. Przesuwa dłoń po jego głowie i przyciąga go do siebie, uciszając i głaszcząc. Ale to wszystko na nic.

Chciałaby zyskać trochę czasu. Lincoln nie może narobić hałasu. Niezależnie od wszystkiego innego, to najważniejszy element tej układanki. Wkrótce łyżę zmienia się w tupanie nogami i wycie, a chłopiec potrafi wydawać z siebie tak nieludzkie dźwięki, że można tylko zatkać uszy rękami. Jakby włączył jakiś dodatkowy bieg i zgubił przy tym -tłumik.

— W porządku — mówi mu. — Chcesz dostać ko-lację?

Łkanie cichnie niemal natychmiast. Lincoln jeszcze z trudem łapie oddech

i pociąga nosem, ale przestaje -szlochać.

Wyciera nos o rękaw koszuli.

— Jest tu jakaś restauracja?

— A może coś specjalnego? — proponuje mu. — Zjadł-byś na kolację krakersy z serem? Albo orzeszki? I batonik na deser?

Choć w ciemności nie widzi jego twarzy, wie, że mały spogląda na nią z dezaprobatą.

— To nie jest pożywne jedzenie — odpowiada.

— Masz rację — przyznaje. — Kupimy coś w automacie. Cokolwiek zechcesz.

— Coś z automatu na kolację?

Teraz w jego głosie słyca nadzieję.

— Tak — potwierdza Joan.

Byłoby inaczej, gdyby była sama. Gdyby sama spacerowała po ogrodzie, kiedy zaczęła się strzelanina. Na pewno by uciekła. Ukryła się. Jednak co potem? Jest dość silna i szybka, więc gdyby była sama, do tej pory zdecydowałaby, że nie chce tu czekać, aż ktoś ją uratuje. Na pewno mogłaby przejść w którymś miejscu przez ogrodzenie zoo, nawet gdyby miała przy tym pokaleczyć się na drucie kolczastym. Wyobraża sobie, jak wymyka się z tej zagrody, zerkając na boki, a potem ucieka, wybiega na otwartą przestrzeń, między drzewa, na niekończące się kręte alejki, tak szybko i cicho, że na pewno by jej nie zauważyli.

Przecież ci mężczyźni nie mogą być doświadczonymi strzelcami, więc gdyby się postarała, mogłaby uniknąć spotkania z nimi i znaleźć jakąś drogę ucieczki. I rozglądałaby się za innymi. Gdyby była tu sama, nie ratowałaby tylko siebie. Znalazłaby tamtą kobietę z dzieckiem i wyciągnęłaby pomocną dłoń do każdej innej ukrywającej się osoby, którą by spotkała. Zaprowadziłaby wszystkich w bezpieczne miejsce. Trzymałaby się zacienionych miejsc i wyszukiwałaby drogę. Nie spieszyłaby się i nie robiła hałasu, aż w końcu znalazłaby jakiś słaby punkt tego liczącego wiele tysięcy metrów ogrodzenia. Albo poszukałaby policjanta.

Widzi siebie przemykającą w mroku.

A gdyby tamci ją znaleźli, z pewnością by uciekła. Uskoczyłaby za róg budynku, a z pewnością potrafi biec dłużej niż oni. Stara się przebiegać dziesięć kilometrów cztery razy w tygodniu — i właśnie dlatego lubi to robić, że przy niskiej wilgotności powietrza i dobrze rozluźnionych mięśniach po pewnym czasie przychodzi wrażenie nieważkości, zaniku grawitacji, a obolałe uda i płuca wypełniają się helem i już nic się nie czuje.

Kiedy biegnie, czasem nie czuje swoich stóp. A całe jej ciało zmienia się w powietrze.

— Mamusiu? — pyta Lincoln.

— Jesteś gotowy? — szepcze Joan. — Musisz mnie słuchać i robić dokładnie to, o co cię poproszę. I nie hałasować.

— Inaczej nas zabiją — kończy za nią.

Joan zastanawia się nad tym.

— Inaczej nas zabiją — potwierdza.

Wydaje jej się, że skinął głową.

Wstaje i bierze go za rękę. Potem go podnosi. Lincoln zaplata nogi na jej talii, a ona przyjmuje jego ciężar, pewniej stając na ziemi. Wszystko wokół spowija gęsty mrok, tak że pierwszy krok stawia na oślep. Jedną rękę trzyma pod jego pośladkami, a drugą opiera o skalną ścianę, na wszelki wypadek.

On przyciska głowę do jej twarzy i przesuwa dłońmi po jej włosach. Joan robi pierwszy krok tak wolno, że czuje każdy poruszający się mięsień. Jej pięta opada, ścięgnięta kostki się rozciągają, a podbicie stopy zgina się, gdy najpierw pięta, a potem palce dotykają ziemi i słyszą cichutki chrzęst suchej trawy.

Ma wrażenie, że robi zaledwie dwa kroki na minutę, przesuując dłoń po skale, mierząc centymetr po centymetrze pokonany dystans do jej ukośnie ściętego końca. Joan natrafia na jakąś gałąź, która pod jej sandałem pęka jak kość. Zbyt głośno, ale może nie głośniej niż gałąź spadająca z drzewa. I nagle już jest przed skałą. Zwrócona twarzą w stronę desek pomostu, patrzy na światelka oświetlające dwoje drzwi: jedne prowadzą z powrotem na alejki ogrodu, a drugie wiodą do stanowiska dla orangutana.

Te drzwi są jasno oświetlone jak w jakimś teleturnieju. Joan mruga oczami, oślepiąca.

Światelka są rozciągnięte aż do barierki i nieco za nią. Joan dostrzega pajęczynę drutów zwisających z drewnianych desek aż do ziemi i przypominających jej strażackie siatki, które amortyzują upadek.

Ćmy w ekstazie krążą wokół lampek. Liście spadają zygzakiem z drzew, których Joan już nie dostrzega — w świetle księżycy widzi jedynie ich najwyższe gałęzie. Jakieś małe skrzydlate owady, niebędące ćmami, cicho stukają w szklane drzwi pawilonu. Wszędzie wokół zalega ciemność, lecz w tej bańce oświetlonej przestrzeni panuje gorączkowy ruch.

Jeszcze przez chwilę Joan stoi w ciemności, a potem podbiega do barierki i stawia Lincolna na jej podmurówce.

— Czeka — prosi, wciąż trzymając dłoń na jego plecach.

Musi całkiem go puścić, żeby przejść na drugą stronę. Mały mocno ściska palcami drewno i milczy, a ona przeskakuje przez barierkę i ląduje na pomoście. Ćmy wciąż krążą, nieostrożne i podekscytowane. Joan wyciąga ręce za barierkę, której ostre kanty wbijają się w jej miednicę, i przenosi synka. Jego tenisówki uderzają z głuchym stukotem — „łup, łup” — o barierkę. Nagle chłopiec przytula się do niej, a ona wchodzi pod okap, w kącie, daleko od drzwi, znów w mroku, i nabiera tchu.

Dobrze jest tak stać z plecami przyciśniętymi do cegieł. Joan zastanawia się, jak długo siedziała. Kładzie dłoń na torebce i dotyka bocznej kieszeni, bo wbrew temu, co podpowiada jej umysł, ciało w jakiś sposób zapamiętało położenie telefonu.

Telefon.

Kiedy wypuszczała go z ręki, poczuła tylko przemożną ulgę. I nie dotarło do niej jeszcze, że ten niebezpieczny przedmiot, który odrzuciła, bo mógł doprowadzić do niej tamtych mężczyzn, jest urządzeniem umożliwiającym jej rozmowę z mężem i łączność ze światem na zewnątrz.

Cokolwiek się dzieje za murami ogrodu, ona teraz nie bierze w tym udziału.

Nie niepokoi jej to tak bardzo, jak być może powinno. Świat zewnętrzny jest nieistotny. Rzeczywiste jest w jakiś sposób jedynie to, że Joan wciąż zaczyna koszulą o szorstkie cegły za plecami, a od ciężaru Lincolna boli ją lewe ramię. Wie, że są tylko we dwoje. I tak było od samego początku. Telefon dawał im tylko złudne wrażenie, że nie są sami.

Zapewne nie inaczej było z tymi nieszczęśnikami w Teksasie, teraz martwymi i unoszonymi przez fale, którzy być może wciągali w płuca wodę w tej samej chwili, kiedy ona słuchała, jak strzelcy trzęsą ogrodzeniem.

Nikt się nie zjawia. Nie ma czegoś takiego jak policja.

Teraz, kiedy to wie, wszystko staje się klarowniejsze.

Oczywiście jest Paul. On na pewno jest przerażony. Jednak Joan nic nie może na to poradzić. Nie ma żadnego wpływu na to, co on robi, ani na niemal nic innego. Może tylko zdecydować, które drzwi otworzyć, gdzie skierować swoje kroki i jak szybko iść. Zastanawia się, co robić dalej. Ten budynek wydaje się jej najniebezpieczniejszym etapem ich wędrówki, bo jeśli strzelcy ukrywają się tam i obserwują, co się dzieje wokół, ona i Lincoln nie będą mieli drogi ucieczki. Z pawilonu naczelnych można się wydostać tylko głównymi drzwiami. Przebiegli przez nie w drodze do kryjówki, która była doskonała, bezpieczna, więc to głupie i nieodpowiedzialne, że ją opuścili. Joan wie, że powinna natychmiast zawrócić, ale mały niemal trzęsie się z głodu, albo nie tylko z głodu. Ona nie może temu zaradzić. Jak długo stoi tutaj, tracąc tylko czas? Ale by dotrzeć do głównych drzwi, będą musieli przejść wąskim korytarzem z przeszklonymi ścianami, bez żadnych bocznych drzwi czy korytarzy. Znajdą się w pułapce.

Jednak nie ma żadnej innej możliwości, a przynajmniej takiej, która wydawałaby się lepsza.

— Mamusiu? — mówi Lincoln, głosem cieńszym niż zwykle.

Czy od tej pory będzie mówił tylko jedno lub dwa słowa na raz? Czy wszystkie te niekończące się pytania, pomysły i opowieści skończą się na dobre?

— Wszystko w porządku — mówi, przytulając go i wychodząc z cienia ze srebrzyście migoczącymi nad jej głową ćmami. Stawia cztery długie, szybkie kroki, a potem jednym pchnięciem otwiera szklane drzwi i pospiesznie wślizguje się do środka, klnąc w duchu te drzwi, które zamykają się za nią z piskiem, choć przytrzymuje je ręką.

W końcu drzwi są zamknięte. Cisza wewnątrz zalega jak duchota. Powietrze jest ciężkie i nieruchome. Przyciśnięta do nierównej ściany Joan — odkrywa, że lubi opierać się o coś plecami — dostrzega ze swojego miejsca tylko imitacje skalnych ścian, jarzeniowe oświetlenie wzdłuż listew przypodłogowych oraz gładkie i lśniące podłogi. Stanowiska zaczynają się za pierwszym zakrętem przejścia i teraz ma wrażenie, jakby stała w jakiejś futurystycznej jaskini lub podziemnym bunkrze. W czymś wyglądającym naturalnie, ale będącym dziełem człowieka. Wzdycha, bo czuje ciepło. W budynku zazwyczaj jest chłodno — przechodząc tędy, zawsze rozcierała ręce — lecz teraz temperatura jest tylko o kilka stopni niższa niż na zewnątrz.

Joan nasłuchuje, ale nie dobiegają do niej żadne hałasy. Ani szum klimatyzacji, ani odgłosy zwierząt. Wiatr nie potrząsa świetlikami. Mogłaby sporządzić długą listę dźwięków, które powinna usłyszeć, a nie słyszy.

Jej synek jest taki milczący.

Zastanawia się, czy pozwolić mu iść, bo może chciałby rozprostować nogi. A ona sama dałaby trochę odpocząć ramionom. Jednak trzymanie go wydaje się bezpieczniejsze. Może ciężko go nieść, ale kiedy tak go trzyma, na pewno się od niej nie odłączy.

Nasłuchuje i wciąż niczego nie słyszy.

— Chodźmy — szepcze.

Lincoln nie odpowiada i Joan powoli rusza naprzód, wsłuchując się w niemal bezszelestny odgłos swoich kroków po czerwono-brązowych płytach posadzki. Po dwóch albo trzech stąpieniach oddała się od ściany na tyle, że już nie może jej dotknąć. Z trudnością utrzymuje równowagę, jakby szła po pokładzie statku. Wokół jest zbyt wiele przestrzeni. Jednak po kilku kolejnych krokach, kiedy dochodzi do pierwszego zakrętu korytarza — są na niej malowidła dawno wymarłych zwierząt, takich jak ptak dodo, gołąb wędrowny, koziorożec pirenejski i alka olbrzymia, ale żadne z nich nie należy do naczelnych i Joan nie rozumie, dlaczego je tu umieszczono — jej dłoń napotyka porołatą powierzchnię drugiej ściany. Opierając się o nią ramieniem i podtrzymując Lincolna splecionymi rękami, wychyla głowę zza załomu korytarza. Lecz natychmiast ją cofa, pojąwszy, co widzi przed sobą.

Na posadzce siedzi małpa.

Joan wychodzi z ukrycia i mija zakręt. Po obu stronach są oszklone stanowiska: po prawej maleńkich sajmiri wiewiórczych, a po lewej to, co powinno być klatką gerez. Tyle że po szybie został tylko prostokątny otwór w ścianie, ukazujący liny i beton. Na posadzce leży rozbite szkło. Pomieszczenie nie jest oświetlone, lecz wpadające z korytarza światło jarzeniówek ukazuje skaliste podłoże i sztuczny strumyk. Joan ledwie to omiata wzrokiem, skupiając całą uwagę na znajdującym się przed nią zwierzęciu.

To oczywiście czarno-biała gereza, ze zwieszoną głową, przesuwaną rękami — łapami? — po pokrytych odłamkami szkła kaflach. Patrząc na nią z boku, Joan dopiero po chwili sobie uświadamia, że druga gereza leży nieruchomo na posadzce. Widzi tylko jej czarne stopy i zad. Resztę skrywa mrok.

Uważnie obserwuje te stopy i nie dostrzega najmniejszego skurczu czy drżenia — zabijane przez ojca gołębie dygotały jeszcze kilkanaście sekund po urwaniu im łebków — jest więc niemal pewna, że małpa nie żyje. Druga gereza, ta żywa, stoi tak blisko, że

jej białe futro stapia się z futrem zabitej. Joan nie byłaby w stanie powiedzieć, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie.

Mocniej obejmuje Lincolna, żałując, że wie tak mało o naczelnym.

Żywa gereza nie patrzy w jej stronę. Stoi skulona, a jej sierść jest tak gładka, jedwabista i miękka, że Joan zastanawia się, czy kiedyś ludzie robili z niej futra.

Tylko palce mały poruszają się, zaciskają i prostują, kilka milimetrów nad posadzką. Zwierzę wydaje się nie mieć kciuków.

Joan przypomina sobie, jak pewnego razu w Missisipi na chodniku przed nią pojawił się opos. Woląła przejść na drugą stronę ulicy, bo przestraszyła się jego ostrych zębów. A w Hondurasie, gdzie była na tym ciągnącym się w nieskończoność kontrakcie z firmą importującą kawę, zbudziła się i zobaczyła w swojej sypialni krowę, pochylającą szeroki łeb nad jej materacem i poruszającą jęzorem. Kiedy była mała, wuj złapał dla niej małe wiewiórki — ojciec, gdyby wcześniej nie odszedł, oczywiście by je zastrzelił — ale tak naprawdę to były zwierzątka wuja, a nie jej. Nie pozwalał jej ich dotykać, ponieważ gryzły, a on miał zawsze poranione kciuki. Ale one go uwielbiały, siadały mu na ramieniu i swoimi maleńkimi łapkami dotykały jego uszu.

Gereza lekko kołysze głową na boki, wyciągając szyję, a Joan przypomina sobie Steviego Wondera i o mało nie wybucha śmiechem. To ją przeraża. Jej usta zaczynają rozciągać się w uśmiechu, tak że musi wziąć w karby mięśnie policzków.

Zastanawia się, czy żywa gereza przyciągnęła tu martwą. Czy one mają jakieś zwyczaje pogrzebowe? Żałobę? Czy postrzelone zwierzę żyło jeszcze przez chwilę i dowlokło się tutaj, próbując uciec, a żywe podążyło za nim? I dlaczego te wszystkie mały nie rzuciły się do ucieczki, kiedy padły pierwsze strzały? Dlaczego ta nadal tu jest? Uwięziły ją samozamykające się drzwi i wróciła w to miejsce, czy może była tu przez cały czas, czuwając nad ciałem?

Joan i mała stoją bez ruchu, ignorując się wzajemnie. Gereza jednym palcem gładzi w zadumie białą brodę, ale nie podnosi łba.

Szyba całkowicie zmienia sytuację. Z psem lub kotem, udomowionymi stworzeniami, jest zupełnie inaczej. Kiedy widzisz przed sobą jakieś dzikie zwierzę, wszystkie te myśli przychodzą ci do głowy jednocześnie. Wierzysz, że ono jest miłe i przyjaźnie nastawione, co może być prawdą, ale równie dobrze może cię ugryźć. Strupy na kciukach i tarmoszenie za uszy. Z dzikim zwierzęciem nigdy nic nie wiadomo.

Joan nie może tak bez końca stać nieruchomo. Mogłaby zawrócić, ale przejście obok wybiegu dla orangutanów, wielkich wydr i kilku innych zwierząt, których nazw nie pamięta, trwałoby zbyt długo. Musiałaby znów przejść przez oświetlony pomost. Woli więc iść naprzód.

— Mamusiu? — mówi Lincoln, z główką wciąż przyciśniętą do niej.

— Mhm?

— Co robi ta małpka?

— Chyba po prostu myśli.

— Czy małpki myślą? — pyta chłopiec, a jej się wydaje, że tak. To dobrze, że wyszli z kryjówki, bo zmieniła się sceneria. I dzikie zwierzęta siedzące na korytarzu wyrwały Lincolna z apatii.

— Tak — odpowiada.

— Czy one gryzą?

Joan przyznaje w duchu, że to ważne pytanie.

— Nie sędzę — kłamie. — Chyba że je przestraszysz.

— Tak jak trzmielce?

— Coś w tym rodzaju.

Kiedy to mówi, gereza unosi jedną łapę nad głowę. I ten nagły ruch sprawia, że Joan pospiesznie się cofa. Małpa ziewa, szeroko otwierając pysk, a jej kły są długie i ostre jak brzytwy. Jednak tylko skubie swoje futro.

Joan postanawia odejść wolnym i miarowym krokiem, by nie przestraszyć zwierzęcia. Najpierw jednak zerka na odłamki szkła pod nogami, po czym kuca i ostrożnie podnosi największy kawałek, w kształcie trójkąta. Czuje ukłucie i wie, że rozcięła sobie dłoń. Wstaje, nie zważając na ból mięśni ud, i mocniej zaciska w rękę kawałek szkła. To dobrze, że jest taki ostry.

Patrzy na małpę, na jej zamknięty pysk pełen ostrych zębów. Kiedyś oglądała z wujem jakieś okropne wiadomości i on się jej zwierzył, że gdyby zaskoczył włamywacza trzymającego broń wycelowaną w jego ukochaną — i sam miałby broń w rękę — nie jest pewny, czy byłby w stanie nacisnąć spust. Zastanawiał się, czy to, że mógłby pozwolić ją skrzywdzić tylko dlatego, że nie może znieść myśli o zabiciu innej osoby, świadczy o tym, że jest złym człowiekiem.

Gdyby ktoś próbował skrzywdzić Lincolna, ona bez wahania rozsmarowałaby jego mózg na betonie.

Jeśli ta małpa ich zaatakuje, Joan przeciągnie szkłem po jej ślepiach. A potem poderżnie jej gardło.

Przesuwa się w prawo, bliżej stanowiska sajmiri wiewiórczych. Przez cały czas obserwuje gerezę i w pewnej chwili wydaje się, że ta niemal na nią spogląda. Obraca łeb w sposób świadczący, że zdaje sobie sprawę z jej obecności, ale nadal na nią nie patrzy. Z dłonią wilgotną od krwi, Joan przesuwają się bokiem, centymetr po centymetrze, aż w końcu udaje jej się ominąć obie małpy. Kiedy ogląda się za siebie, żywa gereza wciąż tam siedzi, przyciśnięta do martwej.

Ścieżka zakręca. Joan mija gibbony i tamaryny, widzi ciemną, mokrą plamę na posadzce jak po rozlanym napoju. Potem na wprost są lemury. Szyby wszystkich pozostałych stanowisk są nietknięte. Klatki za nimi toną w mroku, choć w każdej pod sufitem pali się słaba okrągła lampa niczym księżyc.

Joan dociera do drzwi szybciej, niż się spodziewała, przystaje obok nich i uważnie bada teren na zewnątrz. Za drzwiami po obu stronach znajdują się klatki czepiaków. Widzi więc tylko wąski tunel biegnącej między nimi ścieżki, niebo, ledwie widoczny skraj placu zabaw i dwie puste zielone ławki.

Pochyla się i kładzie na podłodze ten ostry kawałek szkła. Nie chciałaby się jeszcze bardziej pokaleczyć, a szkło nie byłoby żadną ochroną przed ludźmi z bronią palną.

— Jesteśmy już przy automatach? — pyta przy jej ramieniu Lincoln.

— Prawie — odpowiada i pchnięciem otwiera drzwi.

Powietrze na zewnątrz jest nieco chłodniejsze niż -jeszcze kilka minut temu.

Przyjemnie chłodzi skórę. Joan woli otwartą przestrzeń, brak murów, choć jest świadoma tego, że niedawno myślała inaczej. Jednak gdy spogląda w niebo — zasnute przez rzadkie i puszyste jak wata chmury — ogrom przestrzeni sprawia, że oddycha swobodniej.

Drzwi zamykają się, o mało nie uderzając jej w biodro, ale ona się nie spieszy, bo wie, że kiedy ruszy, wejdą w krąg światła — kolejny cholerny krąg światła. Pomimo to poprawia utrzymanego na biodrze Lincolna, a potem pędem pokonuje oświetlone przejście. Minąwszy klatki czepiaków, zwalnia, znów bezpieczna w mroku. Choć przy ścieżkach stoją latarnie i wiszą sznury światełek, na razie oboje skrywa ciemność na skraju placu zabaw.

Skryty za chmurą księżyc jest zamglony. W wierszu, który dawno temu czytał jej wuj, były słowa: „Księżyc to widmowy galeon rzucony na wzburzone wody”. I jeszcze: „Dobranoc domu dobranoc księżycu dobranoc nikomu”. Kiedyś, zaraz po ślubie, stali we dwoje z Paulem na ganku i zobaczyli pomarańczowy księżyc, wiszący nisko i tak ogromny, jak jakiś wybuch nuklearny lub dzieło Salvadora Dalego. Poszli w tamtą stronę, nie zamykając nawet drzwi, po czym przez kilka mil podążali za tym księżycem, coraz dalej i dalej, trzymając się za ręce i chwilami biegnąc, jakby za następnym rogiem miał się znaleźć na wyciągnięcie ręki. Lecz księżyc nagle wrócił na dawne miejsce na niebie, do swoich normalnych rozmiarów i koloru. A oni jak we śnie wrócili do domu.

Niedaleko znajduje się latarnia, która rzuca na beton stożki światła tworzące mozaikę świateł i cieni. Tutaj, na skraju placu zabaw, te cienie są tropikalne. To kępy trawy pampasowej. Płatki z drewnianych palików i lin. Falujące liście bananowców.

Joan mierzy wzrokiem budowlę placu zabaw, wykonane z włókna szklanego i metalu. Jest tam sztuczna góra, na którą Lincoln lubi się wspinać — jej zarys przypomina ogromnego kaktusa. Afrykańskie tam-tamy stoją rzędem, wydrążone i ciche. Nieco demoniczne drewniane maski wiszą na palach, czarne i złociste, z otwartymi ustami. Język jednej z nich wygląda niczym penis, choć z tej odległości nie widać go wyraźnie. Nie ma tu nic, czego nie widziałyby już niezliczoną ilość razy, ale rzadko wieczorem i bez tłumów zwiedzających. Nie ma tu leżących zwłok ani kałuż krwi. Gdyby nie pogrążona w żałobie małpa i potrzaskane szkło, które wciąż tkwi w podeszwach sandałów i cicho chrupie pod stopami, Joan mogłaby sobie wmawiać, że wszystkie wydarzenia tych kilku ostatnich godzin tylko sobie -wyobrazila.

Stoi nieruchomo, nasłuchując, nieustannie nasłuchując. Patrzy, czy z mroku nie wyłonią się cienie, które zmieniają się w ludzi. Gdzieś w pobliżu wiatr porusza dzwoneczkami, które grają tak, jakby w każdej chwili miała się tu pojawić wróżka. Wiatr chwyta echa, obraca je i ta słodka muzyka płynie ku nim ze wszystkich stron.

Joan o mało nie zaczyna się kołysać w rytm tej melodii. I uświadamia sobie, że choć wciąż jest spięta, to od kiedy usłyszała, jak ci mężczyźni sobie podśpiewują, już się nie boi. Podziwia swoje opanowanie. Nie, niezupełnie tak. Nie jest opanowana, lecz skupiona. I nie oddycha tak spazmatycznie, jak w pierwszych chwilach, gdy miała wrażenie, że się rozpada na kawałki. Może po prostu człowiek nie jest w stanie zbyt długo tak się bać.

Przy jej stopach leży kamień pokryty zielonym mchem, niemal świecący. Rana na dłoni przestała krwawić.

Nagle Joan zamiera, słysząc, że coś się porusza po jej lewej stronie. To dźwięk głośniejszy niż szmer rozkołysanej gałęzi lub jakiegoś trzepoczącego skrzydłami owada. Kiedy się jednak obraca, dostrzega tylko samotnego afrykańskiego likaona, kręcącego się w półmroku swojego smętnego wybiegu. Pies, który jest zbyt chudy — sama skóra i kości — przechadza się tam i z powrotem wzdłuż ogrodzenia swojej klatki. Zazwyczaj są tutaj dwa takie okazy, ale teraz widzi tylko jeden. Zwierzę wygląda na głodne i zdesperowane, jakby planowało ucieczkę.

Joan wyobraża sobie, że likaon znajduje drzwiczki w tym ogrodzeniu.

Księżyc wychodzi zza chmur. Krajobraz wokół niej jest wybielony, upiorny. Joan przechodzi obok placu zabaw, trzymając się cienia na skraju ścieżki. Tyle tu drzew, że może iść pod ich gałęziami, blisko pni, często przystając. Mijają z Lincolnem wysoki płot skrywający nosorożca i wtedy biegnący pies znika im z oczu. Przed nimi jest -wybieg dla słoni. W polu widzenia pojawia się strzecha baru „Sawanna”, a po drugiej stronie tego budynku -znajdują się dystrybutory z napojami i przekąskami. Są blisko.

Joan patrzy czujnie na znajdującą się przed nimi alejkę. Kubeczek. Leży na betonie w wilgotnej kałuży. Obchodzi go, pospiesznie przemierzając kawałek oświetlonego terenu i chroniąc się pod bambusowym ogrodzeniem wybiegu dla słoni. Znów w ciemności.

Nie chce patrzeć na porzucony kubeczek.

Nie chce znów myśleć o tej matce i jej dziecku, o tamtej kobiecie, która dziś przeskanowała ich wejściówkę i powiedziała Lincolnowi, że podobają jej się jego loki, ani o babci z dwiema dziewczynkami, która zmierzała do wyjścia i wyprzedziła ich zaledwie o minutę lub dwie. Czyżby Joan widziała ciało tej kobiety ubranej w granatową sukienkę? Czy nóżki, które zauważyła, były w różowych rajstopach? Nie chce też pamiętać o starszym chłopcu w okularach, który podniósł z chodnika upuszczonego przez Lincolna Thora.

Nie pozwala sobie na takie rozmyślania.

Ma wrażenie, że z kubka leżącego za jej plecami wciąż coś kapie.

Joan spogląda na zagrodę dla słoni, ale nie widzi tam zwierząt. Tylko trawę i rozbieloną światłem księżyca ziemię. Jej wzrok przyciąga miejsce znajdujące się za tym terenem — może jakieś trzysta metrów dalej. Kiedy obserwowała wolno poruszające się słonie, ich stanowisko sprawiało wrażenie bardzo rozległego, ale teraz, gdy wodzi po nim wzrokiem, już takie się nie wydaje. Iluzja Afryki utrzymuje się tylko do grubej bariery sosnowych pni, a za ich bożonarodzeniowym szpalerem błyszczą w blasku księżyca żelazne szyny kolejki. Za torem widać poprzez drzewa migotanie ulicznych latarni, podświetlony szyld Walgreens i sznur samochodów, które znikają za zakrętem.

Widok tych samochodów ją szokuje. Przejeżdżają powoli, niespiesznie, z zapalonymi światłami. Czy ktoś nie powinien zatrzymać tych ludzi jadących kupić papier toaletowy albo butelkę martini? Czy nie powinny tam stać pomarańczowe słupki, policyjne radiowozy, a może nawet opancerzone transportery i furgonetki?

Obojętnie przejeżdżające samochody są trudne do zniesienia.

Joan wraca spojrzeniem do zakręcającego toru kolejki, tu i ówdzie lśniącego srebrzyście w blasku księżyca. Koncentruje się na tym lśnieniu. Wuj zabierał ją na wieś na pikniki i na ryby. To było dobre, bo gdyby to zależało od jej matki, Joan nie chodziłaby nigdzie, tylko siedziała w domu, szkole lub w centrum handlowym. Na wsi były jedynie krowy, pola uprawne i ziemia usiana kawałkami miki, którą można było rozłupywać na grube srebrzyste płytki. Joan myślała, że muszą mieć jakąś wartość, ale według wuja one tylko ładnie błyszczały. Więc wyobrażała sobie, że to kawałki meteoru. Ta mika była taka piękna, rewelacja. Raz napełniła nią woreczek ze strunowym zamknięciem jak naukowiec zbierający cenne okazy, po czym zabrała do domu, by ją pokazać matce, która nigdy nie jeździła na wieś. Matka i wuj Joan, tak kompletnie niepodobni do siebie, byli żywymi dowodami przeczącymi istnieniu genów i dziedziczności. Tamtego dnia matka regulowała sobie brwi, a wyskubane włoski jak czarne apostrofy lądowały na szafce w łazience. Kiedy Joan wyciągnęła z torebki mikę, matka powiedziała: „Nie przynoś kamieni do domu”. Joan była jeszcze na tyle młoda, że nie zrezygnowała. Próbowła wyjaśnić: „Trzeba zeszkrobać wierzchnią warstwę, a wtedy bardziej błyszczy, jak skarb, kiedy się usunie tę patynę”. Matka jeszcze tylko stwierdziła coś w rodzaju: „To naprawdę nie jest nic warte, Joan”. Ona oczywiście o tym wiedziała, jednak nie znalazła odpowiednich słów, by wytłumaczyć, jakie to cudowne i śliczne. Zresztą matka i tak jej nie słuchała i nie zajrzała do torebki. Nawet nie zerknęła. Stała tylko, skubiąc jedną ręką brwi i gapiąc się w lustro, gdy włoski spadały na blat szafki.

Joan odrywa wzrok od toru kolejki i pociera policzkiem o czoło Lincolna. On jeszcze nigdy nie widział miki. Chciałaby mu pokazać, jak ją rozłupać paznokciem.

Nagle słyszy jakiś trzask. Coś pęka i Joan niemal przypada do ziemi — klękając na jednym kolanie i osłaniając własnym ciałem Lincolna — zanim uświadomi sobie, że to zapewne gałąź lub orzech. Rozgląda się na wszystkie strony, ale nie widzi nic oprócz plam światła i mroku, a także roślin i rzucanych przez nie cieni.

Nie podnosi się i nie porusza. Obserwuje.

W końcu postanawia się wyprostować. Nie może znieść myśli o tym, co mogło się stać na tym betonie, trzy metry od nich. Albo sześć metrów dalej, w cieniu wielkiego słomianego dachu.

Powoli stawia stopę za stopą.

Znów spogląda na tworzące zamknięty krąg tory. Ta kolejka wiele razy przewoziła Lincolna i ją tak blisko zewnętrznego ogrodzenia zoo, że mogliby wyskoczyć — bo pociąg jedzie tak wolno — przycisnąć dłonie do prętów lub cegieł i zbliżyć się w ten sposób do zewnętrznego świata.

Rozmyślając o tych torach, Joan idzie dalej. Razem z Lincolnem podąża wzdłuż stanowiska słoni i zbliża się do krytego strzechą pawilonu baru. Z głośników płynie *I Put a Spell on You*. Głos piosenkarza zdumiewa w tym miejscu. Joan rozgląda się, usiłując zlokalizować głośniki, ale jeszcze nie podeszli dostatecznie blisko.

— Mogę iść sam? — prosi Lincoln, a dźwięk jego głosu zaskakuje ją tak samo jak muzyka.

— Mam cię postawić?

Na palcach jednej ręki mogłaby policzyć, ile razy chciał, żeby pozwoliła mu iść samemu, kiedy go niosła.

— Tak — potwierdza chłopiec.

Stawia go więc na ziemi i bierze za rączkę swoją nieskaleczoną dłonią. Ulgę wywołaną uwolnieniem się od jego ciężaru — nagłe poczucie lekkości — równowazy wrażenie pustki. Zaciska dłoń na palcach syna. On podchodzi do bambusowego płotka, ciągnąc ją za sobą.

— Co to jest? — pyta.

Joan próbuje dostrzec coś w miejscu, które on wskazuje palcem. Nie można zaprzeczyć, że wybieg dla słoni wygląda w nocy zdumiewająco. Niskie drzewa i kępy traw zdają się lewitować nad pagórkami, a piasek jarzy się złotą poświatą. I wszystko to wygląda jak krajobraz jakiejś innej planety, może Księżyca albo Marsa.

— Tamta roślina? — pyta, zauważając jakiś krzak z gałęziami niczym macki.

— Nie — mówi Lincoln. — To coś na ziemi.

Joan spogląda ponownie i dopiero po kilku sekundach dostrzega leżący na ziemi atramentowoczarny kształt, i jeszcze więcej czasu minie, zanim pojmie, co to takiego.

Ci mężczyźni zabili słonia.

Jego cielsko jest szerokie, czarne i masywne, ale wyciągnięta na ziemi długa trąba sprawia wrażenie oddzielonej od reszty ciała i wciąż żywej, usiłującej popęznąć przed siebie i uciec. A jednak się nie porusza.

— Co to jest, mamusiu? — docieka Lincoln.

— Słoń — szepcze Joan. Kiedy chmury przesuwają się po niebie, wydaje jej się, że widzi, jak cienkie włoski na grubej skórze zwierzęcia poruszają się na wietrze.

— On leży? — pyta Lincoln.

— Tak.

— Dlaczego on leży?

Mogłaby odpowiedzieć, że słoń śpi. Zapewne byłoby to delikatniejsze wyjaśnienie, ale nie chce tego mówić Lincolnowi. Ma wrażenie, że obraziłaby go, kłamiąc mu w żywe

oczy po tym, jak przez tyle godzin był z nią tutaj, tuląc się lub trzymając ją za rękę. A poza tym chce to komuś powiedzieć, a tylko on tu jest.

— Bo nie żyje — mówi.

— Och. Czy ci ludzie go zabili? — pyta chłopiec.

— Tak.

Chłopiec nie może oderwać oczu od słonia. Jego ogon jest cienki i żałosny.

— Znasz jego imię?

— Nie znam — przyznaje. — A jak myślisz, jak miał na imię?

Lincoln mruczy, zastanawiając się.

Joan rusza przed siebie. Idzie teraz szybciej i ciągnie go za sobą, niezadowolona, że straciła energię i czas na oglądanie słonia, zamiast skupić uwagę na zakrętach, płotach i ewentualnych kryjówkach. Lincoln podąża za nią, ale wciąż zerka za siebie, na słonia. Lubi nadawać imiona. Ma całą rodzinę pluszowych króliczków w ubrankach. Ona nazywa się Piłeczka, a on Kulka. I mają dwoje dzieci: Króliczka Bezuchego — bo Mętlik zżarł mu uszy — i Koteczkę Suzie. Było jeszcze maleństwo nazywane Wrózką Suzie, ale Mętlik pożarł je w całości. Lincoln ma całą kolekcję plastikowych piłkarzy i planszę z boiskiem. Wciąż zmienia imiona zawodników. Jednego gracza pierwszej linii nazywa Przeżutym Garbusiem. Jest też odbierająca o imieniu Susan.

— Miał?

Zgubiła wątek tej rozmowy.

— Co?

— Czy on już nie ma imienia? Czy nie masz imienia, kiedy umierasz?

— Chciałam powiedzieć „ma” — poprawia się Joan. — Jak myślisz? Jak ma na imię?

— Muchomorek — odpowiada chłopiec.

Joan mocniej ściska jego dłoń.

Kiedy syn bawi się swoimi piłkarzami, jego rozgrywający zagrzewają drużynę do boju: „Gramy ostro! Gramy szybko! Czy gramy nieczysto? Nie! Czy gramy ładnie? Tak!”.

Jest nadzwyczaj słodkim dzieciakiem. Tak łatwo byłoby go zranić.

Znów przystanął. Odwrócił się i patrzy na słonia. A może zainteresowała go jakaś ćma lub opadły liść.

— Lincoln — szepcze mu na ucho, pochyliwszy się nad nim. — Musimy iść dalej. Nie możemy przyglądać się rzeczom, które nie są ważne.

Ten teren jest tak rozległy. Tyle tu możliwych kryjówek, że mogłaby nie zauważyć strzelca, dopóki by nie wyszedł i nie wycelował w nią broni. Joan nieustannie się rozgląda, ale wie, że nie jest w stanie dostrzec wszystkiego.

Kiedy o tym myśli — o tym, czego nie może zobaczyć — zapiera jej dech.

„Idź szybciej. Uważaj, ale idź szybciej”.

Słoń został daleko za nimi. Są już prawie przy restauracji, z jej pawilonem i głośnikami. Jeden z nich jest przymocowany do ogrodzenia, co Joan uświadamia sobie, kiedy coraz głośniejsza muzyka zagłusza już wszystkie inne dźwięki. Pomimo to trzymają się blisko bambusowego płotu i ciemnego pasa trawy poza kręgiem światła. Joan ciągnie Lincolna za rękę. Nie chce pozostać tu ani chwili dłużej. Nie tylko nic nie widzi, ale też

nic nie słyszy przez ryk głośnika, z którego płynie melodia *Werewolves of London*.

Restauracja — długi, kryty strzechą pawilon — jest po jej prawej stronie. Jednak pomiędzy Joan a tym budynkiem znajduje się oświetlony betonowy plac, na którym dzieci zwykle biegają, upadają i piją soczki z kartoników. Na tej przerażająco rozległej, otwartej przestrzeni zbiegają się ścieżki prowadzące do wszystkich stanowisk. Jeśli postawi stopę na tym pustym betonie, będą odsłonięci, a ona nie usłyszy niczego poza wilczym wyciem i elektronicznym łoskotem.

Od tej muzyki zaczyna ją boleć głowa.

Postanawia, że pójdą nieco dalej, do stanowiska żółwi, gdzie olbrzymie drzewo skrywa w swoim cieniu całą betonową alejkę. Tam będą mogli się schronić. Podjąwszy tę decyzję, skupia się na jej wykonaniu. Nisko pochyleni, przesuwiają się, centymetr po centymetrze, wzdłuż ogrodzenia. I nic nie rozproszyłoby uwagi Joan, gdyby nie to, że muzyka zamilkła na kilka sekund, zanim zaczął się następny utwór.

W tej krótkiej chwili ciszy Joan słyszy płacz dziecka. Najpierw wydaje jej się, że to wrzask mały, ale odgłos spazmatycznie wciąganego powietrza świadczy, że to nie zwierzę. Krzyk jest bulgoczący, wściekły i rozlega się w pobliżu. Dostatecznie blisko, by przypomniała sobie, jak leżała w łóżku w panującej nad ranem w domu ciszy — łóżeczko Lincolna było w sąsiednim pokoju, trzy metry dalej — i to, jak budziła się w ułamku sekundy przy najcichszym jego kwileniu, zrywając się z jeszcze zamkniętymi oczami.

Gwałtownie obraca głowę ku znajdującej się parę metrów przed nimi ławce — z której można sobie patrzeć na słońce — spodziewając się, że zobaczy skuloną długowłosą matkę, wciąż uciszającą dziecko. A jednak ławka jest pusta.

W następnej chwili muzyka znów gra. Dyskotekowy utwór zagłusza wszystkie inne dźwięki, tak że Joan niemal mogłaby sobie wmówić, że się przesłyszała i że wyobraźnia płata jej figle. Jednak wie, że tak nie jest. Nie musi podejmować żadnych nowych decyzji. Po prostu trzyma się wytyczonego kursu i podchodzi do ławki umieszczonej w jednym z licznych naroży ogrodzenia. Nic tam nie ma, tylko żelazny szkielet ławy, a z boku — ciemny kształt metalowego kosza na śmieci.

Przystaje, skulona, wciąż w cieniu. Nikogo tu nie ma. Niewątpliwie nikogo tu nie ma — ani dziecka, ani matki. Lincoln porusza palcami w jej dłoni, nie dlatego że próbuje się wyrwać, ale ze zniecierpliwienia. Joan czuje, że syn -pochyla się, by sprawdzić, czy zdoła pociągnąć ją naprzód.

Z pewnością nikogo tu nie ma.

Pomimo to przyciąga Lincolna do siebie, tak że chłopiec opiera się plecami o jej nogi, po czym razem z nim przesuwa się naprzód, aż dotknie rękami zimnego metalu nieco lepkiej pokrywy kosza. Ujmuje ją w dłonie i podnosi jednym ruchem. Wie, co tam znajdzie. Choć wmawia sobie, że to niemożliwe, dobrze wie, że tak właśnie będzie. I rzeczywiście, gdy podnosi pokrywę, widzi wrzeszczące dziecko.

Ledwie może je usłyszeć przez ryk muzyki, ale dostrzega jego poruszające się wargi. Światło księżyca jest słabe, a mimo to dostatecznie jasne. Umieszczone we wnętrzu kosza dziecko leży na kocyku, który zakrywa większość śmieci. Jest małe i delikatne, wstrząsa nim łkanie. Jest niczym Mojżesz w koszyku.

Joan kładzie pokrywę kosza na betonie, a potem pochyła się, wydając uspokajające

pomruki, których nawet sama nie słyszy. Spogląda na paluszki wyciągających się ku niej i wymachujących rączek. Na główkę pokrytą meszkiem czarnych włosów, nie noworodka, lecz kilkumiesięcznego niemowlęcia, luźno owiniętego drugim kocykiem w jakimś pastelowym kolorze — zielonym, żółtym albo białym — rozkopanego tak, że widzi śpioszki, również pastelowe, oraz pulchne uda. Jest zahipnotyzowana jego wściekłością, zaciśniętymi powiekami, pomarszczonym czołem i szeroko otwartymi ustami, które pomimo największych starań nie mogą rywalizować z kolumnami zestawu nagłaśniającego.

Ta kobieta — albo jakaś inna — zostawiła swoje dziecko w koszu na śmieci. W śmieciach.

To niepojęte.

Lincoln ciągnie ją za rękę, coś mówiąc. Joan nie wie co. Pochyla się jeszcze bliżej. — Powiedz mi to do ucha — prosi go.

— Co to jest, mamusiu? — krzyczy chłopiec, lecz ona i tak ledwie go słyszy.

Uświadamia sobie, że on nie widzi dziecka. Jest za niski, by zajrzeć do kosza na śmieci, i nie słyszy niczego poza muzyką, a ona tak stoi, jak zastygła.

— Nic — mówi Joan i sama nie wie, dlaczego go okłamuje.

— No to na co patrzysz?

Prostuje się, spoglądając na dziecko. Nagle zauważa, że trzyma ręce w koszu i wyciąga je do niego. Cofa się.

— Wydawało mi się, że coś słyszę — mówi.

Widocznie matka dziecka spanikowała. Może dostrzegła nadchodzących mężczyzn z bronią. Albo po prostu była słaba lub samolubna i nie mogła uciszyć dziecka, więc się poddała. Uratowała siebie. Zostawiła dziecko wijące się na puszkach po napojach i opakowaniach po hamburgerach, a sama zapewne schowała się w jakimś bezpiecznym miejscu. Joan nienawidzi jej. Znow trzyma ręce nad koszem. Ale dlaczego nie bierze dziecka na ręce?

Lincoln wciąż ciągnie ją za spódnicę.

Joan nie może oderwać oczu od dziecka. Opanowawszy instynktowną reakcję na pozostawienie go w koszu, myśli, że nie jest to wcale taka zła kryjówka. Niezależnie od faktu, że kobieta dosłownie wyrzuciła dziecko na śmietnik, to było dobrze wybrane miejsce. Przy samych głośnikach dziecko może krzyczeć co sił w płucach... To dziewczynka czy chłopczyk? Nieważne, może sobie krzyczeć do woli i nikt go nie usłyszy. Rzecz jasna, dziecko będzie krzyczało, ponieważ jest samo, przestraszone i zapewne głodne, pozbawione ciepła i miękkości matczynego ciała. Poza tym niemowlęta w znacznej mierze poznają świat za pomocą węchu, więc ono wyczuwa obcość, brud i zgniliznę kosza na śmieci. Jednak muzyka zagłusza jego płacz, a ten śmietnik jest jak kojec, z którego niemowlę nie może się wydostać.

Mogą tam być szczury lub karaluchy, wciskające się do jego oczu i ust. Karaluchy. To nie jest bezpieczne miejsce. To kosz na śmieci. Lincoln może iść, a to dziecko nic nie waży. Przez krótki czas ona może nawet ponieść ich oboje.

Dyskotekowa muzyka dudni jej pod czaszką.

Joan wyciąga rękę i przesuwa dłoń po twarzy niemowlęcia, która w blasku księżyca

wydaje się sinoczerwona. Dziecko ma skórę tak gładką, jak się spodziewała. Nie przestaje płakać. Jednak obraca buzię ku niej i chwytą jej kciuk, a ona przez chwilę pozwala mu go ssać. Odsuwa na bok opakowanie po batoniku, leżące tuż przy jego główce. Niemowlę wierzga nóżką i Joan zauważa coś pod bladym, miękkim udem. Wsunąwszy tam dłoń, znajduje smoczek.

Ociera go o przedramię, a potem podaje dziecku. Wtedy znów może zobaczyć coś, co tak dobrze pamięta — usteczka, wciągając smoczek, układają się w idealnie okrągłe „o” i cmokają z zadowoleniem.

Dziecko ssie go przez chwilę, a potem wypluwa. Wrzeszczy. Joan już czuje jego ciężar wtulony w zgięcie łokcia.

Lincoln nie przestał ciągnąć za jej spódnicę. Joan spogląda w dół, a on przyciąga ją do siebie.

— Mówiłaś — krzyczy jej do ucha — że nie patrzymy na rzeczy nieważne.

Joan pospiesznie prostuje się i rozgląda. Uświadamia sobie, że jej ramiona oświetla ta sama smuga światła, która pada na dziecko. Nie trzyma już Lincolna za rękę. Od kiedy opuścili zagrodę dla jeżozwierza, po raz pierwszy puściła jego dłoń. I w ogóle na niego nie patrzyła. Gdyby się oddalił, ona by tego nie zauważyła. Gdyby zjawili się tutaj ci ludzie z wycelowaną bronią, pewnie by ich nie dostrzegła.

Nie uważała.

Dziecko wciąż wrzeszczy.

Joan kuca, kryjąc się w cieniu i obejmując syna.

— Tak — mówi mu. — Masz rację.

Musi to zrobić szybko, bo inaczej nie będzie do tego zdolna. Podnosi się, skulona, i znów przesuwą dłonią po główce niemowlęcia. Dotyka kciukiem jego warg i pozwala, by się na nim zacisnęły — dziecko jeszcze nie ma zębów — a potem znów wkłada mu smoczek do ust. Pospiesznie się odwraca, z nadzieją, że tym razem niemowlę go nie wypluje. Wyciąga ręce i podnosi z ziemi pokrywę kosza.

Kładzie ją na miejsce. Nie robi tego tak szybko, jakby chciała, bo musi dopasować brzegi. Przez cały czas wbija wzrok w ciemność. Dziecko jest już tylko niewyraźnym, bladym i poruszającym się kształtem na granicy jej pola widzenia, a potem znika pod ciemną kopułą pokrywy śmietnika.

— Chodźmy — mówi do Lincolna.

Nisko pochylona, znów przechodzi kilka kroków; muzyka już ucichła, nie dudni tak w jej głowie. Joan musi po prostu wyprowadzić stąd syna, krok za krokiem. Nie musi niczego czuć.

Najważniejsze jest jego bezpieczeństwo.

— Co tam było? — pyta Lincoln, przyciskając twarz do jej włosów.

— Nic — odpowiada.

Joan zdaje sobie sprawę, że Lincoln wciąż coś mówi i nie chce odpuścić, ale ona ciągnie go za sobą, oddalając się od kosza na śmieci. Muzyka rozbrzmiewa coraz natarczywiej. Elektryczna gitara pobrzękuje ekstatycznie, a chmura poderwanych wiatrem liści, żółtych nawet w tym półmroku, opada na trawę pod ich stopami. Kiedy już udało im się dotrzeć do ogromnego drzewa przy stanowisku żółwi, trzymając się za ręce,

przebiegają po skrytym w ciemnościach betonie, a potem ona klęka przy niskim ogrodzeniu. Krótki postój i ocena sytuacji. Znajdują się zaledwie kilka kroków od dystrybutorów, niemal całkiem zasłoniętych przez przegrodę z bambusów. Jednak przez szpary między żerdkami Joan widzi czerwone i białe lampki palących się światełek.

Jeszcze kilka kroków. Wsuwa dłoń do torebki i szuka czegoś w bocznej przegrodce. Wymacuje prostokąt karty kredytowej. Zaciska na niej palce.

— Jakie mają tutaj krakersy? — zaciekawiał się Lincoln.

— Na pewno serowe — odpowiada Joan. Jest irracjonalnie rozgniewana tym, że znów zapytał o krakersy. — Mów szeptem.

— Chcę serowe.

Joan czuje teraz, że on zwalnia, i musi go ciągnąć jak żyłkę zaczepioną o coś pod wodą. Biodrem ociera się o bambusowy płot otaczający dystrybutory.

Jeszcze dziesięć, dwanaście kroków i wreszcie będzie mogła go nakarmić.

— Nie chcę z masłem orzechowym — mówi chłopiec podniesionym głosem. — Wolę serowe. Chyba że mają te herbatniki z masłem orzechowym, które lubi tatuś.

— Cii — ucisza go.

To niepojęte, ale po tym wszystkim on może ściągnąć na nich ogień z powodu masła orzechowego. Czy nie rozumie, co ona dla niego robi? Oczywiście nie rozumie, dzięki Bogu. Jednak ona nie może się z nim kłócić o krakersy.

Opanowuje wzburzenie.

— Pewnie będą mieli serowe — mówi.

— Obiecuj — prosi Lincoln.

Łzy napływają do jego oczu. Joan się myliła. To nie gniew próbowała stłumić. Jej dłoń lekko się klei do jego dłoni, gdy przyciąga go bliżej; nie zamierza myśleć o tej lepkiej mazi na pokrywie kosza. Chwiejnie przysuwając się do niej, Lincoln wydaje przeciągły pomruk, jak wtedy, kiedy próbowała go zbudzić zbyt wcześnie rano. Ale już są za ogrodzeniem.

Joan zastyga.

Potem pospiesznie się cofa za płot, przyciągając Lincolna do swoich nóg. Znów czuje strach. To dobrze, bo on tłumi wszystkie inne uczucia. Całkowicie.

Pomiędzy bambusowym płotkiem, za którym stoją, a ceglana ścianą baru „Sawanna” jest jasno jak w dzień. Pod ścianą stoi rząd świecących dystrybutorów: z colą i pepsą oraz wodą dasani, a na samym końcu metalowe pudło pełne paczuszek. Nigdy nie widziała ich w nocy. Te wesołe światełka wydają się agresywnie mechaniczne. Maszyny są kompletnie nieświadome jej sytuacji i nienawidzi ich za to rzęsiste oświetlenie.

Musi osłonić oczy przed rażącym światłem.

Na lewo od automatów bambusowy płot zakręca, aby w końcu zetknąć się ze ścianą baru. W tym miejscu rosną gęste i wysokie bananowce, więc przynajmniej po tej stronie jest jakaś osłona.

Jednak od miejsca, w którym stoi Joan, do czytnika kart kredytowych przy dystrybutorach — „Boże, niech ten czytnik działa, ponieważ czasem się psuje, a ja nigdy nie mam przy sobie monet” — nie ma się gdzie ukryć. Jest tylko wybetonowany plac. A wszystko jest oświetlone nie tylko lampkami dystrybutorów, ale i umieszczonymi pod

okapem i obejmującymi cały teren reflektorkami w podtynkowych oprawach.

Joan czujnie spogląda na gąszcz bananowców za automatami. Ich rozłożyste liście tworzą parasole, pod którymi grube pnie zapadają w ściółkowane podłoże. W jednym rogu ogrodzenia upchnięto trzy kosze na śmieci, ale ten przy budynku jest ciemny i pusty. Bananowce zapewnią osłonę. Joan sądzi, że razem z Lincolnem mogą schronić się w ich gąszczu, przy samym płocie.

Nie ma sensu stać tu w nieskończoność. Tutaj też nie są bezpieczni.

Przygląda się wszystkiemu, co jest w zasięgu wzroku, i temu, czego nie może dostrzec. Znów podnosi Lincolna i czeka, aż ten obejmie ją rękami i nogami.

— Tędy — mówi mu, przemykając przez smugę światła i rzucając długi, niekształtny cień obok automatów z napojami, dystrybutora z przekąskami i na prawo od bananowców. Z bliska może zobaczyć dekoracyjne kamienie osadzone w podłożu, tworzące czarno-białą mozaikę. Stawia Lincolna w suchych liściach i przyciska się do ceglanej ściany restauracji. Dystrybutor z przekąskami jest tak blisko, że mogłaby go dotknąć. Zaslania ich — w pewnym stopniu. Joan delikatnie odrywa dłoń Lincolna od swojej i przytrzymując, przesuwając go w tył, krok za krokiem, pod drzewo.

— Stań na tym kamieniu — szepcze. — Właśnie tutaj, a ja pójdę po jedzenie.

Jest zadowolona z wyniku tych przygotowań. Ledwie widzi synka, nawet z tak bliska.

Stojąc z tej strony maszyny, może pozostać w ukryciu i wystawić tylko rękę, w której trzyma kartę kredytową. Trochę niezdarnie, zbyt suchymi palcami, wpycha ją w szczelinę. Maszyna akceptuje kartę, a Joan wybiera krakersy zbożowe z serem. Wygina przegub w stronę otworu wylotowego i chwytając krakersy, zanim spadną na jego dno. Zabiera je i nasłuchuje. Potem kupuje drugą paczkę, bo niewiele ryzykuje, jeśli straci jeszcze pięć sekund. Tyle że naciska niewłaściwy guzik, A6 zamiast B6, i z automatu wypada batonik zero. Jednak zabiera i ten.

Wraca w ciemny gąszcz bananowców i znów czuje na karku wilgotny dotyk ich liści.

Koszula podjeżdża Lincolnowi w górę, kiedy siada na podołku Joan, a ona myśli o jego prostym kręgosłupie i wąskich biodrach. Był dużym niemowlęciem — ponad pięciokilogramowym — i choć przez jakiś czas miał kilka podbródków, wydawał się ładnym grubaskiem. Obce kobiety zatrzymywały ją na ulicy, żeby dotknąć jego pulchnych nóżek. Dość długo był taki okrągły, ale nie wiadomo kiedy podrośł i wyszczupłał.

Joan otwiera paczkę krakersów i daje mu jeden. Opakowanie szeleści głośniejsze, niżby chciała, ale rozdziera je w połowie i krakersy rozsypują się na plastik, a ona przesuwa się tak, aby siedzieć na kamieniu, a nie na ściółce. Szerokie, płaskie i zimne liście dotykają jej głowy i ramion. Z głośników płynie teraz utwór instrumentalny, który zawsze zwiastował nadejście Złej Czarownicy w „Czarnoksiężniku z Krainy Oz”. Instrumenty dęte drewniane grają głośno i szybko. To irytująca muzyka, ale Joan nie chce, by ucichła. Nie chce słyszeć niczego innego.

Zanim się zorientowała, Lincoln zjadł dwa krakersy. Wyciąga teraz jego napój z torebki, potrząsa butelką, która na szczęście jest w połowie pełna. Wyjmuje korek i wkłada mu butelkę między kolana, ściśnięte jej własnymi kolanami.

— Dziękuję — mówi Lincoln. Lekko przy tym podryguje, niemal odrywając pupę od ziemi. Te krakersy podziały na niego w sposób graniczący z magią.

— Masz batonik? — pyta. — Jaki? Czy mógłbym zjeść trochę?

Joan odłamuje kawałek i podaje mu. Z opóźnieniem odpowiada na pytanie.

— To batonik zero — mówi. — Biała czekolada z karmelem.

— Ale ty nie lubisz białej czekolady. Masz po niej mdłości.

Zwykle tak jest. To pamiątka po pobycie w Tajlandii. Przed wyjazdem do Bangkoku pracowała z zakonnicami w Irlandii i akurat był Wielki Post, więc przestała jeść słodczyce, bo mając styczność z zakonnicami, sama zaczynasz się umartwiać. A potem była Wielkanoc w Tajlandii i kupiła dużego króliczka z białej czekolady — jak to możliwe, że mają tam wielkanocne słodkości? — po czym zjadła go całego i w końcu rzygała jak kot. Od tej pory nie znosi białej czekolady.

— Dawno temu lubiłam białą czekoladę — odpowiada. Ostra krawędź głazu wbija się jej w uda, a kiedy usiłuje usiąść wygodniej, ociera ręką o kamień. Czuje ukłucie, a potem wilgoć — znów otworzyła się rana na dłoni.

— Zanim się urodziłem? — pyta Lincoln.

— Tak — potwierdza, zaciskając i otwierając dłoń. Czuje lepłą krew. — Na długo przed tym, zanim się urodziłeś.

— Kiedy jeździłaś do różnych krajów?

— Właśnie wtedy.

On ostrożnie próbuje batonik, po czym mruczy z zadowoleniem i cały kawałek znika w jego ustach.

— Jadłaś takie cały czas, zanim się urodziłem — mówi. — Kiedyś lubiłaś białą czekoladę. Jednak zanim się urodziłem, nie było białej czekolady, więc to się nie zgadza.

— Nie? — pyta zdziwiona.

Automat z napojami jest zepsuty — widocznie doszło do spięcia. Przycisk Sprite łagodnie miga, zapala się i gaśnie.

— Zanim się urodziłem — mówi Lincoln — nie było żadnej czekolady. Ani domów. Tylko zamki. Nie było mebli. Żadnych talerzy, kapeluszy ani ziemi. Były dinozaury. Nie było świata. Nie było niczego. Jednak był jeden szpital, w którym się urodziłem.

Ona patrzy na niego.

Raz się rozplakał w sklepie spożywczym, słysząc głos płynący z głośnika. Uważa, że potwory z filmu „Scooby Doo” są przerażające. A w tym momencie zdaje się nie pamiętać wydarzeń minionej godziny. Wróciła jego zwykła osobowość.

— Tego nie wiedziałam — szepcze mu.

— Wiem, że nie wiedziałas.

Powinni szybko stąd odejść. Są tuż przy budynku, niedaleko głównej alejki. Joan kuli się pod ceglana ścianą i sprawdza, czy oboje są skryci w cieniu. W słabym świetle sączącym się przez liście patrzy, jak on je.

— Dobrze, kochanie? — pyta szeptem.

— Mniam — odpowiada Lincoln, z ustami pełnymi wilgotnych okruchów. Znów je krakersy. — Mniam. Tak dobre, że dwukrotnie powiedziałem „mniam”.

— Cii — prosi Joan. — Ciszej. Pamiętaj, żeby ich nie wżerać. Ciesz się nimi.

Kolejne jego określenie — „wżerać”, zamiast „pożerać”. Kiedyś spytał ją: „Dlaczego mówisz wielkie nieba? Czy nie powinno się mówić wielkie niebo?”.

— Cieszę się nimi — szepcze, na dowód gryząc tak maleńki kęs, że krakersa prawie nie ubywa.

Często go prosi, żeby się delektował jedzeniem, ale teraz naprawdę zależy jej na tym, by jadł powoli. Patrzy, jak z przyjemnością pochłania ten serowy przysmak. Chłopiec żuje głośno, wprawdzie z zamkniętą buzią, ale przesadnie poruszając szczękami i wargami. Oblizuje nadgarstek, na który zapewne opadły jakieś okruszki.

Joan chce, żeby myślał tylko o krakersach.

Lincoln przysuwa się do niej, trąca biodrem o jej biodro, a ona wspomina wuja w jego starym fotelu w kolorze mosiądzu, przesuwającego się, żeby zrobić dla niej miejsce — była wtedy mała — i mówiącego: „Jedno z nas chyba rośnie”. Wuj zawsze przyjemnie pachniał skoszoną trawą. A kiedy już wcisnęła się w fotel tuż przy nim, przyciskał -policzek do jej głowy tak, że czuła bicie jego serca przy swojej skroni. Była zadowolona i bezpieczna, mając go przy -sobie.

Z filmów, książek i rozmów z przyjaciółmi dowiedziała się, że ludzie na ogół nie są zadowoleni z życia. Marzą o innych karierach i partnerach. Ona też powinna przeżywać już jakiś potworny kryzys egzystencjalny, żałować dokonanych wyborów i pragnąć rozpocząć wszystko od nowa. W jej przypadku to byłoby jeszcze gorsze, bo jest kobietą, ma dziecko i pracuje, a przecież powinna daremnie pożądać tego wszystkiego, miotana pragnieniem znalezienia sobie miejsca w świecie i niespełnionymi macierzyńskimi uczuciami.

Nie czuje niczego takiego.

Kiedy była mała i interesowało ją wszystko, co jest związane z samospalaniem

i voodoo, czytała opowiadanie, prawdopodobnie w jednej z tych grubych książek o duchach. Mówiło o człowieku, któremu diabeł dał zegarek, by mógł zatrzymać czas. Wystarczyło dotknąć przycisk na zegarku, żeby życie stanęło w miejscu i nigdy się nie zmieniło. Właściciel nigdy by nie umarł. Nigdy by się nie zestarzał. Każdy kolejny dzień byłby dokładnie taki sam jak poprzedni. Wystarczyło wybrać odpowiedni moment i nacisnąć guzik. Jednak ten człowiek nie był w stanie tego zrobić, bo wciąż myślał, że chciałby spotkać odpowiednią kobietę, a potem, kiedy już ją spotkał, doszedł do wniosku, że dobrze byłoby zostać ojcem. Gdy dziecko przyszło na świat, nie był już pewny, czy ta kobieta jest tą właściwą. Później chciał zarobić więcej pieniędzy, aż w końcu się zestarzał i diabeł przyszedł po jego duszę. Powiedział mu, że przez całą wieczność stosuje tę sztuczkę i najlepsze jest to, że nikt nigdy nie nacisnął przycisku. Nikt nigdy nie jest w stanie stwierdzić, że ta chwila — ta właśnie chwila — jest idealna.

Ona mogłaby zatrzymać czas. Każdego dnia. W każdym momencie.

Możliwe, że zadowolenie to największy dar, jaki otrzymała. Docenia to, co ma. Czuje ciepłe ciało przytulonego do niej synka i to niemal wystarczy, żeby wszystko inne przestało się liczyć.

Tyle że jej dłoń jest znów wilgotna od krwi wypływającej z rany.

Unosi ją, by ucisnąć skaleczenie, ale teraz zaczynają krwawić rana na przedramieniu i obtarcie tuż nad przegubem. Patrząc na nie, uświadamia sobie, że raz po raz pocierała ręką o poszarpaną krawędź kamienia, na którym siedzi. To bolało, a mimo to — czerwona kropla upadła na jej udo, zbyt blisko Lincolna, więc pospiesznie cofnęła rękę — chciałaby nadal trzeć nią o kamień.

Przyciska obtarte miejsce do spódnicy.

Pragnie zatrzymać czas. Niedługo spojrzy na swoje odbicie w lustrze, ubrana w koronkową nocną koszulę, może tę z przezroczystym stanikiem i rozcięciami na biodrach, tę, w której Paul lubi ją oglądać, kiedy w czwartkowe popołudnia wraca z pracy, i pomyśli: „Pewnego dnia nie będę już takich nosić. Pewnego dnia moja skóra zwiędnie i porobią mi się fałdy. Stanę się staruszką, która nie nosi seksownej bielizny. Zresztą Paul umrze, więc i tak nie będę miała dla kogo jej wkładać”. Albo będzie robiła gwiazdę, popisując się przed Lincolnem, dumna z siebie i roześmiana, jednocześnie myśląc: „Pewnego dnia nie będę już w stanie zrobić gwiazdy i mam nadzieję, że on przynajmniej będzie pamiętał czasy, kiedy to potrafiłam. A gdybym jutro zginęła w wypadku samochodowym, czy pamiętałby mnie taką i to, jak wypowiadaliśmy zaklęcia, żeby światła zmieniły się na zielone, albo zamienialiśmy stół w jadalni w fort?”.

Nie wie, kiedy zaczęła sobie wyobrażać kres wszystkiego. Być może stało się to po jej czterdziestych urodzinach albo wtedy, gdy Lincoln z niemowlęcia zmienił się w chłopca i uświadomiła sobie, że on, taki, jaki jest teraz, będzie powolutku znikał, aż w końcu stanie się dorosły i odejdzie, a ona być może snuje takie ponure myśli, bo nie pragnie niczego bardziej, niż żeby czas zatrzymał się teraz i przestał płynąć. Być może jeszcze bardziej kocha to wszystko, ponieważ wie, że to nie może trwać wiecznie. Zadaje sobie pytanie, czy każdy miewa myśli o wypadkach samochodowych i martwych małżonkach. I czy może ona sama nie jest okropną ponuraczką.

„Co się stało z moim transylwańskim twistem?” — pyta basowy głos z głośników.

Lincolnowi został w opakowaniu tylko jeden krakers. Powinna wstać. Muszą sobie znaleźć jakieś spokojniejsze miejsce.

Nie. Musi pomyśleć, co dalej. Nie powinna znów wchodzić w krąg światła, dopóki nie jest pewna, dokąd pójdą. A Lincoln jest taki spokojny. Taki nieruchomy. Kiedy siedzi cichutko, są prawie niewidzialni. Poza tym, gdy się ruszą, będzie musiała wybrać kierunek marszu, a więc zdecydować, czy przejść ponownie obok kosza na śmieci.

Otarta skóra nad nadgarstkiem piecze i Joan myśli, że gdyby jeszcze kilka razy potarła zakrwawioną ręką o krawędź kamienia, uwolniłaby się od bólu, jak od swędzenia.

Ta myśl ją przeraża. Nie jest osobą z takimi skłonnościami.

— Chcesz zjeść resztę batonika? — pyta Lincoln.

On jedną ręką wyjmuje ostatniego krakersa, a drugą wyciąga po batonik.

— Tak, proszę — szepcze.

Joan wręcza mu go. Jakieś stworzenie przemyka po jej stopie, leciutkie i szybkie, a ona z rozmysłem nie patrzy, co to takiego. Nauczyła się tego w domu matki. Jeśli czegoś nie widzisz, możesz udawać, że tego nie ma.

Mimo to wyobraża sobie różne rzeczy. Szkliste czarne pancerze i drgające czułki.

Jest taka scena w serialu „Strach na wróble i pani King”, w której Lee i Amanda ukrywają się na bagnach, kuląc się w gąszczu tak jak ona teraz. Amanda drży i Lee ją obejmuje. Oto sekret Joan: obejrzała więcej odcinków „Stracha na wróble i pani King”, niż się przyznaje. Czasem myśli, że spędzanie tak wielu godzin na oglądaniu tego serialu przypomina uzależnienie od alkoholu lub pornografii. Bywa, że w porze lunchu wychodzi z gabinetu i ogląda jakiś odcinek. Niekiedy wymyka się w nocy z łóżka, całując Paula w ramię, po czym do trzeciej nad ranem ogląda powtórkę całego sezonu.

Teraz nie powinna myśleć o telewizji. A może powinna. Są gorsze rzeczy.

Zwykła uważać Bruce’a Boxleitnera za przystojnego i nadal myśli, że taki jest, a przynajmniej jego wersja z lat osiemdziesiątych. I właśnie ta wersja pojawia się teraz przed nią, ilekroć Joan zechce ją widzieć, ponieważ te osoby — nie, nie osoby, ale filmowe postacie — wcale się nie zmieniły. Kiedyś myślała o Lee i Amandzie jako o dorosłych, a teraz jest starsza od nich. Są cudownie zamrożeni w czasie.

Kiedy była małą dziewczynką, siadała na zbyt błyszczącym parkiecie salonu, obok stolika do kawy, który był nieprzyjemnie mokry, ponieważ matka zawsze używała za dużo środka czyszczącego. Jeszcze gorsza była śliska podłoga, a to z powodu karaluchów, które przebiegały po niej bezgłośnie, jak po lodzie, zawsze obecne, bo matka uważała, że facet od dezynsekcji może niechcący otruć psa. Joan włączała telewizor zaraz po powrocie ze szkoły. Może była jedyną uczennicą, która nie chciała wychodzić ze szkoły? Która najwolniej jak mogła przechodziła przez podwójne drzwi po ostatnim dzwonku? Która zaglądała do klas, sprawdzając, czy nie ma tam jakichś nauczycieli, bo mogłaby z nimi nawiązać rozmowę i usiąść na stoliku, by cieszyć się chwilowym zainteresowaniem? Nauczyciele ją lubili. W szóstej klasie był pokaz tańców ludowych, do którego wybrano tylko dwanaście dziewcząt, i ona była jedną z nich. Oznaczało to długie godziny ćwiczeń po lekcjach — i cudownie późny powrót do domu, już po zmroku.

Jednak nie pozwalają ci przebywać w szkole w nieskończoność. Włączała więc telewizor i oglądała seriale, dopóki matka nie wróciła do domu i nie zaanektowała

odbiornika — miała swoje ulubione filmy. Joan czekała do późnej nocy, a kiedy matka szła spać, ona wracała przed telewizor, siadała blisko i wyciągała szyję, ponieważ gdzieś zapodziały pilota. I nie, nie tylko dlatego. Lubiła być tak blisko, żeby być bardziej w telewizji niż w salonie. To jej odpowiadało. Czasem jednak, gdy siedziała tam po zmroku, ze skrzyżowanymi, bosymi nogami, na tej okropnie śliskiej podłodze, a jakiś karaluch przebiegał po jej kostce, udzie lub palcu, uciekała na kanapę, tłumiąc okrzyk. Ale zawsze wracała do telewizora, nawet jeśli nie wiedziała, w którym kierunku pobiegł karaluch, i musiała wciąż zaglądać pod krzesła. Najgorszy był zawsze pierwszy moment, kiedy kątem oka dostrzegła skradający się ciemny kształt. Nigdy nie zdołała żadnego dopaść i zabić. Najlepsze, co mogła zrobić, to rzucać w nie butami i mieć nadzieję, że trafi, a czasem spryskiwać je lakierem do włosów. Lubiła patrzeć, jak tak zdychają. Jednak wracała przed telewizor, nawet jeśli groziło to spotkaniem z karaluchami. Nie mogła się powstrzymać.

Światelko przycisku Sprite'a na dystrybutorze pulsuje jak sygnał nadawany alfabetem Morse'a. Lincoln wciąż przeżuwa. Z głośników płynie: *It was a graveyard smash. It -caught on in a flash...*

Oglądała odcinek „Stracha na wróble i pani King”, a potem przewijała kasetę — bo zawsze je nagrywała — i ponownie delektowała się najlepszymi scenami. Przewinąć, zatrzymać, odtworzyć. Pamięta odcinek, w którym Lee i Amanda wchodzi do hotelu i on trzyma ją za rękę, gdy wsiadają do windy. A kiedy puszcza jej dłoń, żeby nacisnąć guzik, Amanda sięga po nią i chwyta powietrze. I ta jego cudowna mina, gdy uświadamia sobie, że Amanda chce go trzymać za rękę. Joan oglądała ten fragment setki razy. Oni byli wtedy zakochani, ale nie przyznawali się do tego, dlatego każdy taki moment był ważny. Joan zastanawiała się, czy ktoś kiedyś popatrzy na nią w taki właśnie sposób.

Jedynym fragmentem jej dzieciństwa, który tak dobrze pamięta, jest ten kawałek podłogi przed telewizorem. Regał z książkami pod ścianą, pomalowany beżową farbą, z koronkowymi falbankami przy każdej półce, błyszczący stolik kawowy po prawej stronie, ze sztucznymi kwiatami w mosiężnym flaconie i stertą kolorowych gazet. Telewizor i magnetowid, srebrne gałki i czarne przyciski, uspokajający szum przewijanej taśmy.

Nie lubiła innych pomieszczeń. Kuchnia najbardziej przyciągała karaluchy. Raz włożyła rękę do torebki z chipsami i namacała twarde, śliski pancrzyk, poruszający się pod jej palcami. Korytarz był długi, wyłożony dywanem. Przemierzała go pędem — tyle pustej przestrzeni do pokonania, wyrzucenia bladozielonej wełny pod podszewkami jej biegnących stóp — a jej pokój znajdował się na samym końcu. Od progu rzucała się na swoje niebieskie łóżko, z nadzieją, że nic nie łązi po pościeli.

Nie było nocy, żeby nie zobaczyła pięciu, sześciu czy dziesięciu karaluchów. Czasem długo leżała z otwartymi oczami, nasłuchując szmeru ich odnóży. Bywało, że wcale nie spała.

Matka nigdy nie dostrzegła karaluchów. Joan mogłaby postawić pomnik temu, kogo jej matka nigdy nie chciała zauważyć — na przykład wnukowi, bo od momentu jego narodzin odwiedziła go zaledwie dwa razy. Ale wciąż trzęsie się ze złości na wspomnienie tego, że jej matka nigdy nie zwracała uwagi na karaluchy.

Joan wielokrotnie prosiła ją o truczkę. „Przesadzasz — odpowiadała matka. — Wiesz, że Daisy mogłaby się otruć. A poza tym nie ma ich tak wiele”.

Pamięta, jak chciała użyć dywanu w salonie jako sceny, i poprosiła, by matka popatrzyła, jak tańczy. „Zatańcz, a ja dam odpocząć oczom” — odrzekła leżąca na kanapie matka, z zamkniętymi już oczami.

Pamięta, jak matka uparła się, żeby ją zabrać do manikiurzystki. „Będzie fajnie” — powiedziała. „Nie — odparła starsza już wtedy i szybciej wpadająca w złość Joan. — Nie będzie. Nienawidzę manikiuru. Nie znoszę tego zapachu i bólu, kiedy to robią. Zawsze tego nienawidziłam. To ty to lubisz”.

Matka uderzyła szczotką do włosów o blat toaletki, aż zadrżało lustro, ale następnego dnia poszły do salonu „Śliczne Paznokcie”. I matka z pewnością do dziś wierzy, że Joan uwielbia robić manikiur.

Matka nigdy niczego nie widziała.

Nigdy nie chciało jej się patrzeć.

Powinno się być bardziej tolerancyjnym wobec swoich rodziców, zwłaszcza kiedy ma się już własne dzieci. Kiedy się rozumie, co naprawdę oznacza bycie rodzicem. Jednak w przypadku Joan było wprost przeciwnie. Po dwudziestce zawarła z rodzicami swojego rodzaju układ pokojowy. Lecz gdy na świat przyszedł Lincoln, gniew powrócił. W najlepszym razie może go ignorować, by pozostał tylko niewyraźnym kształtem, czającym się na granicy pola widzenia.

Lee Stetson wypowiadał zdania jak to, że „za takie bordeaux można umrzeć”, jeździł srebrnymi samochodami sportowymi i całował Amandę w rękę. A Joan uważała, że na tym właśnie polega dorosłość. Świat wypełniony pięknymi i dowcipnymi ludźmi, przyjęcia, egzotyczne lokale i koláže. Jej matka sypiała obok psa rasy lhasa apso i nie przejmowała się psią kupą na pościeli, ale nie chciała dotknąć złościście błyszczących kamyków. Ojciec polował całymi dniami na małe zwierzęta, jednak nigdy nie umiał znaleźć drogi powrotnej do swojej dużej już córki.

Światelko Sprite’a mruga coraz szybciej, natrętnie.

Joan uświadamia sobie, że Lincoln się nie porusza, może śpi. Rozluźnione i skierowane ku górze palce ma umazane białą czekoladą. Głowa opadła mu na jej biceps. Joan patrzy na miękkie łuki policzków syna, na długie rzęsy i zakończony idealnie równą kulką nosek. Wczoraj użył w zdaniu słowa „arsenał”. Ma w głowie całe światy.

A ona na niego patrzy.

Palcami tej niezakrwawionej dłoni łagodnie obejmuje, jak bransoletką, jego nadgarstek. Wyczuwa kości pod skórą.

Widzi go.

Tylko jego.

To pomaga jej się skupić.

— Chciałbym, żeby był tu Sierżant — mamrocze chłopiec, zaskakując ją tym, że nie śpi, a także dlatego, że Sierżant zwykle jest dopiero drugi w kolejce po jego najukochańszym pluszaku, wymemłanej żyrafie. Sierżant był jej pluszową maskotką ponad trzydzieści lat temu. W lewym uchu ma dziurę tak dużą, że można w nią wetknąć palec, i po części starty nos. Wuj kazał Sierżantowi wpełzać przy śniadaniu pod stół

i zebrać o kawałeczek jajka. Joan nagle też odczuwa tęsknotę za Sierżantem, z ciałem owczarka niemieckiego i wytartą sierścią. On zna wszystkich, których kiedykolwiek kochała.

— Dlaczego chciałbyś, żeby był tu Sierżant? — pyta.

— Bo to pies policyjny. — Lincoln nieco unosi głowę. — On broni ludzi.

Już ma mu powiedzieć, że ona go obroni, ale nagle coś słyszy i widzi w samym środku oświetlonej przestrzeni.

Po sekundzie, która minęła, zanim dotarło do niej, że otwierają się drzwi, te po drugiej stronie dystrybutora z napojami, Joan słyszy głos, a potem widzi twarz, zabarwioną na różowo przez czerwono-białe światelka automatu.

Twarz. Włosy do ramion. Czarne, wpatrzone w nich oczy.

Mija parę sekund — bo czas klei się i ciągnie jak odnóża karalucha w lakierze do włosów — i Joan uświadamia sobie, że głos należy do dziewczyny. Ledwie powstrzymuje okrzyk przerażenia.

Dziewczyna wyciąga rękę, poruszając palcami i pokazując im się na moment, po czym znów znika za dystrybutorem. To czarnoskóra nastolatka z włosami zaplecionymi w liczne warkoczyki, zabarwione jaskrawoczerwonym światłem niczym kredką. Pod strzechą włosów jej twarz wydaje się bardzo drobna.

— Wejdźcie — proponuje. — Szybko.

19.23

Joan stoi zupełnie nieruchomo, próbując wyczytać z jej twarzy, czy nie jest może dziewczyną któregoś ze strzelców, przysłaną po to, by zwabić ofiarę. Jednak ta wygląda na bardzo młodą i zdenerwowaną. Trudno ją podejrzewać o cokolwiek.

— Jeśli chcecie — dodaje. I widać tylko tył jej głowy, gdy się odwraca i spogląda w ciemność.

W jej głosie słychać jednocześnie niepewność i irytację.

To ta irytacja przekonuje Joan. Kobieta jedną ręką obejmuje Lincolna, podnosi go i czeka, aż chłopiec stanie na nogi, a potem kuca, odgarniając z twarzy liście bananowca. Prowadzi syna przed sobą, za automat z napojami. Popycha go i pogania, a on trzyma się mocno jej koszuli. Joan porusza się niezdarnie, bołą ją mięśnie ud. Po chwili oboje wchodzi do restauracji i szklane drzwi zamykają się za nimi, zbyt głośno.

Wciąż przykucnięta Joan obejmuje ręką talię Lincolna. Dostrzega długie pęknięcie szklanych drzwi — srebrzyste linie przypominające pajęczynę.

Dziewczyna przed nią się nie porusza i też jest nisko pochylona. Znajdują się obok lady chłodniczej, po lewej stronie mają kasę. Ściana po prawej jest w całości przeszklona. Lampy pod sufitem są zgaszone, ale świecą gabloty umieszczone we wnętrzu restauracji, tak więc salę wypełnia poświata jarzeniówek. Stoły i krzesła wykonane z białego plastiku — chyba białego, teraz są bladozielone niczym stworzenia z morskich głębin.

Nastolatka obraca się ku Joan i Lincolnowi. Wyciąga rękę nad ich głowami, odsłaniając przed nimi swoją pachę. Pachnie przyjemnie, jak chleb.

— Przez drzwi — mówi, odciągając zasuwkę.

Potem znów się pochyla i rusza naprzód, za ladę chłodniczą. Oni podążają za nią. Na kilku stolikach równo ustawiono krzesła, nogami do góry, ale inne krzesła, a nawet stoły, leżą rozrzucone na podłodze. Między dwoma słupkami rozciągnięty jest czerwony sznur, taki do ustawiania ludzi w kolejce, a same słupki są odwrócone okrągłymi podstawami do góry.

— Tędy, na zaplecze — mówi dziewczyna, machnięciem ręki wskazując kierunek, jakby nie byli już tak blisko niej, że mogliby deptać jej po piętach.

— Kto to? — pyta Lincoln, owiewając ciepłym i wilgotnym oddechem policzek matki.

Jego dłoń jest wciąż mocno zaciśnięta na rąbku jej koszuli.

— Nie wiem — odpowiada Joan i uświadamia sobie, że nie wie wielu rzeczy. Na przykład tego, dlaczego postanowiła zamknąć się w tym budynku z obcą osobą. Otworzyły się drzwi i pojawiła się w nich inna ludzka istota, co wydawało się darem bożym — choć gdyby Bóg miał kogoś przysłać, to dlaczego nastolatkę? A może to był straszny błąd. Mimo wszystko Joan nie myśli o odwrocie. Czuje się w obowiązku iść naprzód. Ale dlaczego?

W głowie ma kompletny zamęt, lecz jej nogi poruszają się same. Zgarbieni, mijają puste gabloty z metalu i szkła, w których zwykle były ciastka — chyba mufinki i szarlotka. Starają się nie wychylać nad parapety okien w ścianie restauracji. Zerkając

przez te okna, Joan widzi spód krytego strzechą dachu i ciemność za kręgiem światła. Mrok wydaje się głębszy niż wtedy, kiedy była na zewnątrz — nie widzi już wybiegu dla słońca, sosen w oddali, ani oświetlonych alejek. Słomiany dach zdaje się ciągnąć bez końca, a świat na zewnątrz równie dobrze mógłby być Afryką.

Zastanawia się, jak to wygląda z zewnątrz — dla kogoś patrzącego na restaurację. Czy są dobrze widoczni w tym świetle? Czy taki ktoś mógłby pomyśleć, że jej skóra jest bladozielona niczym u jakiegoś morskiego stworzenia?

Znów spogląda przed siebie. W tym świetle włosy dziewczyny wydają się ciemnoczerwone. Pasemka czarne i rdzawe.

Muzyka na zewnątrz jest teraz monotonnym pomrukiem.

Na podłodze leży martwa biedronka. Lincoln jej nie zauważył i pancerzyk chrzęści pod jego butem.

Dziewczyna przyspiesza kroku. Joan podąża za nią, z Lincolnem przy boku, ale idącym samodzielnie. Jej uda boleśnie protestują po wędrownce w kucki.

Okrażają ladę i wchodzą do kuchni. Mijają szafki z nierdzewnej stali, potężny piec z licznymi gałkami o rozmaitej wielkości. Kafelki posadzki są śliskie, więc Joan stara się ostrożnie stawiać kroki i mocno trzymać małego za rękę.

— Jesteśmy prawie na miejscu — szepcze dziewczyna.

Kuchnia się kończy — nie ma innych kuchennych sprzętów. Wykafelkowana posadzka skręca do krótkiego korytarza, zakończonego drzwiami z nierdzewnej stali. Nastolatka otwiera je pchnięciem i wchodzą do pomieszczenia, w którym po obu stronach stoją stalowe stoły, a pod nimi znajdują się kartonowe pudła. Światła są oczywiście zgaszone, lecz przez jedno kwadratowe okno umieszczone wysoko w ścianie wpada blask księżycy zmieszany z poświatą punktowych reflektorów.

Na podłodze siedzi oparta o stertę pudeł kobieta. Starsza, siwowłosa pani, o bladej cerze. Ubrana jest w dżinsy i sportową bluzę. Kiwa głową na powitanie. Jej twarz jest skryta w mroku.

— Wejdźcie — zachęca.

— Tędy, Lincoln — mówi Joan, wprowadzając syna do pokoju i odpowiadając kobiecie skinieniem -głowy.

Kartonowe pudła wypełniają każdy centymetr podłogi, poza wąskim przejściem na środku pomieszczenia. W jednym z nich Joan dostrzega plastikowe widelce i łyżki, w innym filtry do kawy, ale większość jest zaklejona taśmą. Na pasku magnetycznym nad stołami wisi co najmniej tuzin chochli. Jest też drewniany blok z nożami. Przeszywa ją dreszcz na widok lśniącej czerwonej kałuży nieco dalej, ale zaraz dostrzega butelki z keczupem, siedem — nie, osiem — szklanych butelek ustawionych w równym rzędzie. Mają zdjęte zakrętki. Zawartość jednej z butelek wypłynęła na blat i utworzyła kałużę na podłodze.

— Miałam je wymieszać — mówi dziewczyna, zamykając stalowe drzwi na zasuwkę.

Joan ogląda się za siebie. Te drzwi są tak wypolerowane, że nawet w słabym świetle widać w nich odbicie nastolatki, zjawę naśladującą ruchy jej ramion. Postać z drzwi zwinnie opada na podłogę tak samo jak praw-dziwa, pochylając się i siadając ze

skrzyżowanymi nogami.

Ta prawdziwa nosi bordowy beret, w takim samym kolorze co warkoczyki, oraz luźne džinsy. Jest bardzo drobna.

— Mówię o keczupie — wyjaśnia. Opiera się łokciem o karton z etykietą ŚMIETANKA BEZMLECZNA. — Miałam wymieszać ten keczup, kiedy usłyszałam, jak wchodzi, i trochę mi się wylało, a potem pomyślałam, że głupio byłoby to wycierać, wiecie?

— Keczup? — powtarza Lincoln, przyciskając się i płacząc pod nogami Joan, która odsuwa jakieś pudło, by zrobić więcej miejsca.

Joan siada i rozgląda się po pomieszczeniu. Tylko jedne drzwi. A okno niewątpliwie znajduje się zbyt wysoko, żeby ktoś mógł zajrzeć przez nie do środka. Łatwiej jej się skupić na otoczeniu — silnych i słabych punktach tej kryjówki — niż zrozumieć, co dziewczyna opowiada o dodatkach do potraw.

Ciszę w pomieszczeniu przerywa tylko głos nastolatki. Joan już nie słyszy tej upiornej muzyki. Sama nie wie, czy podoba jej się ten spokój.

Uświadamia sobie, że stopami niemal dotyka starszej pani. Ta milczy, badając wszystko wzrokiem. Joan podkula nogi i sadza sobie Lincolna na udzie. Jego nogi mieszczą się w wąskiej przestrzeni między jej kolanami.

— A więc byliście tutaj, kiedy strzelcy weszli do restauracji? — Joan szepcze do kobiety.

— Ja nie — odpowiada starsza pani ściszonego głosem. — Byłam przy słoniach. Miałam słuchawki na uszach, więc z początku nie słyszałam strzałów. Jednak ona mnie znalazła. Tak jak znalazła was.

— Oni nie wiedzieli... — mówi dziewczyna, normalnym głosem. Jakby siedziała gdzieś na kanapie, plotkując przy pizzy i „Tańcu z gwiazdami”. — Ci mężczyźni. Nie wiedzieli, że ja tu jestem. Nawet nie szukali. To właśnie jest najdziwniejsze. Chyba można byłoby się spodziewać, że sprawdzą dokładniej? No wiecie, gdyby traktowali to poważnie? Chyba powinno się mieć jakiś plan, kiedy robi się takie rzeczy?

Dziewczyna wypowiada zbyt wiele słów.

— Czy nie powinniśmy mówić ciszej? — szepcze Joan.

— Dlaczego? — Nastolatka lekko wzrusza ramionami. — Przez te drzwi nic nie słyhać. Wiercie mi. Próbowalam, bo kiedy kierowniczka chce kogoś rozszarpać, to zabiera go tutaj i zamyka się z nim. Była taka jedna dziewczyna, która zawsze podjadała ciasteczka kawowe, jakby była od nich uzależniona, i wszystkie zastanawialiśmy się... No, w każdym razie chciałam powiedzieć, że byłam tu, na zapleczu, kiedy ci mężczyźni weszli do restauracji. Nie mieliśmy żadnych klientów, i dobrze, bo wiecie... Gdy jednak ci mężczyźni już sobie poszli, otworzyłam drzwi i patrzyłam, jak się oddalają. Przez okno zobaczyłam parę idącą w dół alejką i usłyszałam strzały. Oboje upadli na ziemię. Może jednak później wstali.

Joan musi się koncentrować na każdym słowie wypowiedzanym przez dziewczynę. Czuje się tak, jakby znalazła się w jakimś kraju, sądząc, że zna tamtejszy język. Lecz gdy tylko taksówkarz lub konsjerż zaczyna coś do niej mówić, ona uświadamia sobie, że kurs i słuchanie rozmówek z płyt kompaktowych nie przygotowały jej na to. Choć zna

słownictwo, wyłapuje zaledwie co trzecie słowo.

— Może... — mówi do dziewczyny i przechwytuje spojrzenie siwowłosej kobiety.

Przyglądają się sobie przez chwilę i Joan zauważa, że co prawda kobieta ubrana jest w sportową bluzę, ale ma też srebrne kolczyki i naszyjnik oraz starannie uczesane włosy, wyglądające tak, jakby natychmiast same się układały, gdyby je zmierzwić. Jej paznokcie są wymanikiowane. Żadnych krzykliwych akcentów — wszystko w pastelowych kolorach. Gustownych. Stonowanych.

Joan podejrzewa, że to jedna z tych kobiet, które nigdy nie wychodzą z domu bez makijażu.

Żałuje, że poszła za dziewczyną. Nie chce tu być.

Nastolatka odchyła do tyłu ciężką od włosów głowę i spogląda w górę. Kołysze nią lekko, odrzucając włosy na ramiona.

— Słyszeliście o tym, że jeśli ktoś wyceluje w was broń i spróbuje zmusić, żebyście wsiedli do samochodu — mówi — to najlepiej jest uciekać, bo prawdopodobieństwo tego, że was zabije, strzelając z około dwóch metrów, wynosi zaledwie około sześćdziesięciu procent? A jeśli oddalicie się na trzy metry, spada do trzydziestu? Tak więc może was postrzeli, ale zapewne nie zabije. A z dziesięciu, dwunastu czy piętnastu pewnie wcale nie trafi.

Joan spogląda na Lincolna, który zmienił pozycję na jej udzie. Wydaje się zafascynowany czymś, co wygląda jak tłuczek do ziemniaków — Joan nie wie, jak to się znalazło w jego ręce. Chłopiec często słucha uważniej, niż jej się zdaje. Ona nie chce rozmawiać przy nim o prawdopodobieństwie odniesienia ran postrzałowych.

— Ile masz lat? — pyta dziewczynę.

— Szesnaście.

W głosie dziewczyny słychać dumę. Joan niemal zapomniała, jakie to uczucie — być zadowolonym ze swojego wieku.

— I co się stało, kiedy ci mężczyźni tu weszli? — pyta znowu, bo im więcej dowie się o strzelcach, tym lepiej.

Dziewczyna opiera się wygodniej o kartonowe pudło. Lekko porusza szczękami, jakby ssała cukierek przeciwkaszlowy albo żuła gumę.

— Najpierw? — mówi. — Najpierw usłyszałam krzyk na zewnątrz. Jednak tu czasem słychać krzyki, no nie? Wokół biegają dzieci. Wiecie, że z tamtej statuetki w kształcie słonia tryska woda? Dzieciaki mogą tu karmić żyrafy i czasem aż wrzeszczą z radości. W dodatku gra muzyka, a ja jestem zajęta podliczaniem. Nagle krzyki ucichły i przez chwilę było całkiem spokojnie. Słyszeliście wystrzały?

Wciąż mówi tak głośno, że Joan miałyby ochotę nią potrząsnąć. „Wszyscy zginiemy, jeśli nie przestaniesz tak hałasować” — chce jej powiedzieć. Oczywiście rozumie, że drzwi są dźwiękoszczelne, ale jej umysł nie ogarnia logiki tego argumentu.

— Słyszeliśmy je z daleka — spokojnie i logicznie opowiada Joan. — Oboje byliśmy w lasku, na placu -zabaw dla dzieci. Nie wiedziałam, że to odgłos wystrzałów.

Lincoln upuszcza tłuczek do ziemniaków i wstaje, żeby go podnieść. Starsza pani podaje mu go. On bierze go ostrożnie.

Dziewczyna energicznie kiwa głową.

— Ja też nie. Z początku padały daleko. Restauracja była już nieczynna, zamknięte drzwi i wszystko. A ja znajdowałam się tu, na zapleczu, kiedy usłyszałam, że ktoś jest przy wejściu.

— Cii — mówi Joan, nie mogąc się powstrzymać. — trochę ciszej.

— Nie usłyszą nas — ponownie zapewnia nastolatka.

Siwowłosa kobieta wyciąga rękę i dotyka jej ramienia. Nie lekko, lecz stanowczo chwyta ją wypielegnowaną dłonią za ramię.

— Cii — mówi, zaskakująco autorytatywnym tonem. — Ona ma rację. Nie mów tak głośno.

Dziewczyna wygląda na zaskoczoną, ale kiwa głową. Kobieta klepie ją po ramieniu i zabiera rękę.

— Bardzo dobrze — mówi.

Joan ponownie mierzy ją wzrokiem i zmienia o niej zdanie.

— W każdym razie — opowiada dalej nastolatka, w końcu szepcząc — mieszałam keczup, a on zawsze mi się wylewa i choćbym nie wiem, jak uważała, zawsze usmaruję się nim po łokcie, a zauważam to dopiero wtedy, kiedy wyschnie. Usłyszałam pukanie i w pierwszej chwili pomyślałam, że ktoś chce skorzystać z toalety.

Prostuje swoje chude nogi, a potem zakłada jedną na drugą, jak origami. Ani na chwilę nie przestaje się kręcić.

Teraz Lincoln uważnie ją obserwuje, szeroko otwartymi oczami. Zapomniał o tłuczku do ziemniaków.

— Wiecie, co naprawdę pomyślałam? — pyta dziewczyna, znów poruszając szczękami. — Czy już mówiłam, że kiedyś pracowałam w lodziarni „Hawajski Lód”? Jej właścicielka chodzi do naszego kościoła. No cóż, była taka staruszka, która przychodziła tam co sobotę...

Urywa, ale wcale nie wydaje się czekać na ich reakcję. Te pauzy to jej rytm.

— Zawsze chciała dotknąć moich włosów — ciągnie. — Panie czasem to robią, białe panie, bez urazy, ale ona nie wyszła, jeśli nie pomacała mojej fryzury. Czasem spóźniała się i ja zamykałam okienko, ponieważ lokal kończył pracę, a ona tłuła w nie, dopóki nie otworzyłam.

Kolejna przerwa wydaje się dobrą okazją. Joan nie jest już pewna, czy dziewczyna sama potrafi przestać paplać.

— Ale opowiadałaś o strzelcach? — przypomina jej.

— Taak. No więc uchyliłam te drzwi. — Ruchem głowy wskazuje solidne drzwi za plecami. — I zobaczyłam, jak ci mężczyźni kopniakami otwierają boczne drzwi. Zauważyłam też broń. Jakby karabin czy coś takiego. Weszli do środka i zaczęli wywracać stoły. To było głupie, nie sądzicie? No wiecie, nie zorientowałabym się, że tam są, gdyby byli cicho. Kiedy jednak ci dwaj weszli i zaczęli wszystko rozwalać, zamknęłam te drzwi. Mają zamek po wewnętrznej stronie. Pewnie ktoś kiedyś przypadkowo tu utknął. Od zewnątrz też można je otworzyć, ale potrzebny jest klucz, a jedyny mam ja. Tak więc tutaj jest bezpiecznie.

Przelyka to coś, co żuła.

— Ona nosi czapkę — oznajmia Lincoln.

— Lubisz czapki? — pyta dziewczyna, dotykając beretu.

Chłopiec kiwa głową. Minęło sporo czasu, od kiedy lubił obserwować tłumy przechodniów na chodnikach i rowerzystów, pokazując palcem i nazywając nakrycia głowy. „Czapka. Kapelusz. Czapka. Czapka. Kapelusz” — wołał.

— Ja nie widziałam tych mężczyzn — mówi starsza pani, rozprostowując nogę i krzywiąc się przy tym. — Wpadłabym na nich, gdyby Kailynn mnie nie złapała. A wy?

— My byliśmy prawie przy wyjściu, kiedy ich zobaczyłam — mówi Joan. — Potem pobiegłam do wybiegu dla jeźźowierza.

Starsza pani uśmiecha się do Lincolna. To miły uśmiech, całkowicie oderwany od wszystkiego, co się wokół nich dzieje.

— Udawałeś, że jesteś jeźźowierzem? Takim z ostrymi kolcami? — Kobieta stuka zgiętym palcem w głowę Lincolna i gwałtownie podrywa rękę. — Auu!

Lincoln się śmieje. To zaskakujący, bulgoczący dźwięk. Wpadający przez okno blask oświetla twarz kobiety, tak wesołą i skupioną, że Joan zaczyna coś podejrzewać.

— Jest pani nauczycielką? — pyta.

Kobieta pochyla głowę, a jej wargi wyginają się w słabym uśmiechu.

— Uczyłam trzecie klasy. Przez trzydzieści sześć lat. W zeszłym roku przeszłam na emeryturę.

— W której szkole?

— W szkole podstawowej Hamiltona.

Gdyby to było na koktajlu lub innym przyjęciu, Joan powiedziałaby: „Och, mam znajomą, która posłała dwójkę swoich dzieci do Hamiltona”, i obie zaczęłyby ogólnikową i niezobowiązującą rozmowę. Ale w tych okolicznościach wydaje się to niewłaściwe. Joan nie zamierza udawać, że nic się nie stało. I nie chce nic więcej wiedzieć o swoich towarzyszkach. Nie ma ochoty na pogawędkę.

„Kailynn” — powiedziała kobieta. Dziewczyna ma na imię Kailynn.

— Kiedy widziałas tych mężczyzn — Joan zwraca się do Kailynn — czy widziałas także zakładników?

— Zakładników? — powtarza dziewczyna. — Po co mieliby strzelać do ludzi, gdyby potrzebowali zakładników?

Joan kręci głowę. To nie ma sensu. Może próba wspólnego dopasowania fragmentów tej łamigłówki jest stratą czasu i energii?

— Chcesz przymierzyć moją czapkę? — pyta Kailynn Lincoln.

— Nie, dziękuję — odpowiada mały.

Dziewczyna obraca się i otwiera pudło stojące po jej lewej stronie. Szeleszcząc celofanem, wyjmuje jakąś torebkę.

— Wiesz, co tu mam? — pyta. — Trochę krakersów w kształcie zwierząt.

Nawet w tak słabym świetle Joan widzi, jak Lincoln błyska zębami w uśmiechu.

Lincoln zjadł prawie wszystkie krakersy w kształcie zwierząt. Dla Joan jego apetyt to dobry znak. Tymczasem ona na myśl o zjedzeniu czegokolwiek czuje tylko ściskanie w gardle.

Może nie tylko ona. Nauczycielka w końcu skorzystała z ponawianych przez Kailynn propozycji, ale nawet nie próbowała zjeść ciasteczka, które wyjęła z torebki. Trzyma je kciukiem i palcem wskazującym, postukując w nie pomalowanym paznokciem.

Kailynn najwyraźniej nie narzeka na brak apetytu. Właśnie otworzyła następną torebkę. W dodatku kołysze się na boki, a włosy opadają jej na lewe lub prawe ramię.

Ta dziewczyna powoli doprowadza Joan do pasji.

— Wiecie, na co mam naprawdę ochotę? — pyta z pełnymi ustami. — Na krążki cebulowe. Może z tłuczonymi batatami i gotowaną kolbą kukurydzy, ale nie mrożoną. Macie frytkownicę?

Joan przecząco kręci głową. Nauczycielka również.

— Prosiłam rodziców... — ciągnie Kailynn. — Prosiłam, żeby ją kupili, ponieważ zazwyczaj to ja gotuję obiad, a rondel to nie to samo. We frytkownicy mogłabym robić krążki cebulowe albo paluszki z mozzarelli. Smażyć ryby. Wiecie co? Po całej tej masakrze mama może poczuje się tak okropnie, że kupi mi frytkownicę.

Nikt jej nie odpowiada. Dziewczyna ociera dłonie o dżinsy i spogląda na Lincoln.

— No to jak masz na imię?

— Lincoln — przedstawia się chłopiec, wciąż żując.

— Jak Abraham Lincoln?

— Tak — mówi.

Joan wcale nie dziwi to, że dziewczyna nie pyta, jak jej na imię. Nikogo już nie obchodzi, jak się nazywa.

— Wiesz, kim był Abraham Lincoln? — pyta Kailynn.

— Tak — odpowiada Lincoln. — Prezydentem. Zginął w zamachu.

Joan mimo woli uśmiecha się do niego, mając świadomość, że to dziwne, iż cieszy ją słowo „zamach”. Ale w końcu ilu czterolatek je zna? To wiedza z okresu fascynacji prezydentami — jeszcze jednej minionej epoki — kiedy ekscytowało go to, że Reagan lubił żelki, Nixon kręgle, a Obama koszykówkę. Podobała mu się peruka George’a Washingtona. I wózek inwalidzki Franklina Roosevelta. Kiedy bawili się w doktora, Joan go badała i mówiła, że ma zapalenie ucha albo kolkę. Lincoln z kolei stwierdzał, że ona ma polio.

Grał w piłkę na frontowym ganku: chciał być Geraldem Fordem, a ona miała być Ronaldem Reaganem. „Gerald Ford przejmuje podanie! — krzyczał, przytrzymując piłkę nogą. — Gerald Ford strzela i... Gerald Ford zdobywa bramkę! Ronald Reagan usuje odebrać piłkę Geraldowi Fordowi! Ronald Reagan wybija piłkę poza boisko!”.

— On trzymał dokumenty w swoim kapeluszu — mówi Lincoln.

— Skąd wiedziałaś, że jesteśmy na zewnątrz, Kailynn? — pyta Joan.

Zastanawia się, jak dobrze byli widoczni, gdy skradali się w ciemnościach, a ona sama próbowała zbadać każdy centymetr otoczenia i nie nadebrać na żaden suchy liść. Pamięta też ciemne okna kawiarenki „Koala”, którą mijali po drodze z zagajnika i placu zabaw, krzesła ustawione na stołach i żadnych oznak życia. Oczywiście mogli tam być jacyś pracownicy ogrodu. Mogli chować się w kuchni lub za kasami, kilka kroków od drzwi, które usiłowała otworzyć. Może minęła kilkanaście osób schowanych w różnych kryjówkach, patrzących przez ciemne szyby i bez słowa pozwalających jej odejść.

Wyciągające się rączki, poruszające się paluszki.

Mogłaby im powiedzieć... — ta myśl wciąż powraca. Mogłaby im powiedzieć o dziecku, a nawet pójść i przynieść je tutaj, odpokutować za swój grzech. Powtarza sobie, że tego nie zrobiła, bo nie wie, co by się stało z Lincolnem, gdyby ją zastrzelili. A co jeśli to pomieszczenie nie jest dźwiękoszczelne i płaczące dziecko przyciągnęłoby tu morderców? Jednak nie dlatego milczy.

Nie wyobraża sobie, że mogłaby im o tym powiedzieć. Nie wyobraża sobie, że mogłaby powiedzieć o tym komukolwiek.

Kailynn mówi dalej:

— I nagle usłyszałam szum dystrybutora. Słyszać nawet przez ścianę, jak wibruje. Czasem podczas przerwy idę tam w dni wypłaty i słyszę ten dźwięk. Tak więc wyjrzałam i zobaczyłam, jak wchodzić w zarośla. Zaczekałam chwilę, bo chciałam was zawołać, kiedy znów będziecie przechodzić koło drzwi, ale nie wychodziliście. No to otworzyłam drzwi, wyjrzałam i was zawołałam. Na zewnątrz nie jest bezpiecznie.

Joan wciąż nie może wyczuć tej dziewczyny. Zajadająca się krakersami i bezmyślnie trajkocząca, nie wygląda na bohaterkę. Nie można jednak zaprzeczyć, że wiele ryzykowała, by ich zaprowadzić w bezpieczne miejsce.

Kailynn strząsa z dzinsów okruchy krakersów.

— Obiecuję wam, że nie dostaną się tutaj. Nie ma powodu do obaw.

Może nie jest ani bohaterska, ani bezmyślna. Może po prostu jest pewna siebie w sposób typowy dla nastolatków. Znów kołysze włosami, przerzucając je z jednego ramienia na drugie. Tam i z powrotem, tam i z powrotem.

Joan odwraca wzrok. Czuje się lepiej, kiedy na nią nie patrzy. Nauczycielka miała dobry pomysł: siedzi z zamkniętymi oczami. Milcząca i daleka. Wciąż trzyma w ręku nietknięte ciasteczko i przesuwają je w palcach niczym jakiś talizman.

Nagle, jakby wyczuwając, że Joan na nią patrzy, kobieta otwiera oczy.

— Wszystko będzie dobrze — mówi spokojnie i lekko protekcyjnie, tak że Joan się zastanawia, dlaczego odezwała się właśnie teraz i wybrała te akurat -słowa.

— Czyżby? — pyta Joan, zapewne ostrzej, niż powinna.

— Bóg nie przywiódłby nas tak daleko, żeby pozwolić nam zginąć — odpowiada nauczycielka.

Joan zmusza się do uśmiechu. Nie zamierza przekonywać tej kobiety, że to nie Bóg ich tutaj przywiódł. I co właściwie miałyby to oznaczać? Czy przywiódł tutaj również tych strzelców? A co z zabitymi, którzy leżą na betonie — czy On ich tu przyprowadził?

— Dotychczas mieliśmy szczęście — mówi nauczycielka, masując kolano. — Ktoś nad nami czuwa.

— Miło tak myśleć — mówi Joan i teraz to jej głos brzmi protekcyjnie. Prawda jest taka, że spogląda z wyższością i niechęcią na zbyt doskonałą fryzurę tej kobiety i jej naiwne teksty. Ale to przecież nie jej wina, że wierzy w takie głupoty.

Joan próbuje ponownie.

— Miło, że pani tak mówi — poprawia się. Docenia powściągliwość tamtej, która tylko kiwa głową i znów zamyka oczy.

Lincoln upuszcza pustą torebkę i wstaje. Widocznie czuje się swobodnie, bo oddala się na ugiętych kolanach, nie odrywając stóp od podłogi. Idzie do przeciwległej ściany, gdzie z pewnością zaraz się potknie o otwarte pudło z tekturowymi talerzykami. Jednak to dobrze, że na chwilę puścił Joan.

— Wpadniesz na to pudło — ostrzega go.

— Nie, nie wpadnę — odpowiada chłopiec.

Joan obserwuje go, a siedząca obok niej dziewczyna wciąż kołysze włosami.

— Czy wiecie, co zawsze robił mój tato? — pyta Kailynn. — Bawiliśmy się w chowanego i...

— Możesz się zamknąć? — przerywa jej Joan. — Na miłość boską! Zechcesz się zamknąć choć na krótką chwilę?

Żałuje tych słów już wtedy, kiedy wychodzą z jej ust, a potem widzi wyraz twarzy Lincolna i jest jeszcze gorzej.

— Mamusiu — mówi chłopiec, robiąc wielkie oczy.

Joan nabiera tchu. Nie jest pewna, czy kiedykolwiek był nią tak rozczarowany. Nauczycielka też patrzy z dezaprobatą. Ale mina Kailynn jest jeszcze gorsza. Urażona.

— Wiem, że za dużo mówię — przyznaje dziewczyna. — Przepraszam.

— Nie, to ja przepraszam — odpowiada Joan. — Nie powinnam tak reagować. Nie przerywaj sobie, opowiedz mi o swoim ojcu.

Tak naprawdę nie spodziewa się, że dziewczyna będzie kontynuowała opowieść. W głębi duszy ma nadzieję, że Kai-lynn jest jedną z tych przewrażliwionych, ponurych nastolatków, które zamykają się w sobie. Jednak nie, najwyraźniej ona jest odporna.

— No cóż — dziewczyna mówi ostrożnie, z nadzieją w głosie, jakby w obawie, że Joan zmieni zdanie. — Bawiliśmy się w chowanego. Z tatą. Ja i moja siostra zawsze się chowałyśmy, a on szukał. Przeważnie robił to głośno, przerażająco tupał i sapał, żebyśmy drżały, słysząc, że nadchodzi. Potem zapadała głucha cisza i wiedziałyśmy, że jest blisko. Wtedy nagle chwycił którąś z nas schowaną pod łóżkiem albo w stercie prania, a my krzyczałyśmy jak opętane. Uwielbiał nas straszyć. Zawsze się wtedy śmiał.

Joan myśli, że ojciec tych dziewczyn to kutas, chociaż to bez znaczenia.

— Pewnego razu — ciągnie dziewczyna — schowałam się w szafie i on gwałtownie otworzył drzwi, a ja byłam tak zaskoczona, że upadłam do tyłu, rozciąłam sobie rękę o półkę i krwawiłam. Wypłynęło ze mnie więcej krwi, niż kiedykolwiek widziałam. Nie mogłam przestać płakać.

— A on się śmiał? — pyta Joan, żeby coś powiedzieć.

— Nie. Wziął mnie na ręce i widziałam, że jest mu przykro. Wciąż mnie przepraszal. Potem owinał mi rękę papierowym ręcznikiem i posadził sobie na kolanach. Ja nadal płakałam, a on kazał mi być dzielną. Powiedziałam mu, że nie mogę, bo krwawię.

Wtedy wyjął z szafki nóż i skaleczył się nim, po prostu rozciął sobie rękę na moich oczach. Też zaczął krwawić, pokazał mi ranę i powiedział: „Oddychaj ze mną, maleńka, wdech i wydech. Ty i ja razem”. Tak zrobiłam. A potem zabandażowaliśmy sobie te rany.

Joan widzi to oczami duszy. Wyraźniej, niżby chciała. Widzi łyzy spływające po twarzy Kailynn, która pewnie nosiła kucyki, kiedy była mała, może z kokardkami. I zakrwawioną rączkę oraz raniącego się ojca.

Uśmiecha się do dziewczyny. Do tej dziewczyny, która widziała wymachujących bronią mężczyzn i upadających na ziemię zabitych ludzi. A potem wyszła ze swojej kryjówki, by pomóc tym, których nawet nie знаła.

— Czasem takie oddychanie pomaga — mówi.

Kailynn pochyla głowę, jej włosy kołyszą się z boku na bok i w tym momencie ich ruch już nie drażni Joan. „Dziecinny nawyk” — myśli. Może to ją uspokaja.

— Chciałabym, żeby tu był — zwierza się cicho Kai-lynn.

Joan nachyla się ku niej. Od kiedy znalazły się razem w tym pomieszczeniu, to pierwsza oznaka tego, że dziewczyna naprawdę rozumie, iż jest tutaj, w tej rzeczywistości, i zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji.

— Taak — mówi Joan.

— A ty chciałabyś, żeby twój ojciec tu był?

Joan wybiera jedną z kilku możliwych odpowiedzi.

— No cóż — mówi — mój tato ma mnóstwo różnej broni.

Kailynn cicho chichocze. Joan czuje, że się odpręża, i właściwie nie jest pewna, czy to dobrze, czy źle.

— Dlaczego to ty gotujesz obiady? — pyta.

— Mama i tato pracują do późna — wyjaśnia dziewczyna. — A ja lubię gotować.

— Moja córka, kiedy jeszcze była mała, robiła torty — mówi nauczycielka z zamkniętymi oczami. — Pięcio- lub sześciowarstwowe. Takie, jakie można kupić w cukierni.

Joan przygląda się tej kobiecie, która wydaje się tak rozluźniona, jakby miała lada chwila zasnąć. Jej włosy są nienagannie ułożone, a wisiorek eleganckiego naszyjnika znajduje się dokładnie na środku szyi. Jest taka spokojna. Może się modli. Joan gotowa byłaby przyznać, że myśl o Bogu, który jest przy nich i nad nimi czuwa, wydaje się bardzo kusząca. Chciałaby w to wierzyć. Zastanawia się nad tym, gdy podskakujący i miotający się jak szalony derwisz Lincoln wpada plecami na ścianę, potknąwszy się o pudło, przed którym go ostrzegęła.

Pokój wypełnia się światłem. Przez moment Joan jest oszołomiona i oślepiąca, ale potem patrzy na syna i tuż nad jego zlepiionymi kędziorami dostrzega włącznik. Dopada do chłopca, odciąga go od ściany i uderza dłonią we włącznik, gasząc lampę pod sufitem.

Zapada cisza i ciemność.

Joan słyszy swój oddech. Zamyka usta, ale ten dźwięk brzmi jeszcze gorzej, kiedy oddycha przez nos. Odnajduje dłoń Lincolna, a on zaciska palce na jej ręce.

Siedzi bez ruchu na jej kolanach. Wszyscy czworo siedzą. Czekają.

— Paliło się tylko przez sekundę — mówi Kailynn, która zamilkła na dłuższą chwilę, po raz pierwszy, od kiedy weszli do tego pomieszczenia. Joan z zadowoleniem

słyszysz jej głos.

— To nieważne — stwierdza nauczycielka. — Jesteśmy bezpieczni.

Joan docenia te ich wysiłki.

— Mamusiu? — odzywa się Lincoln niepewnym głosem. Powstrzymała się i nie zgańiła go za nieuwagę. Jednak on dostrzegł coś w jej zachowaniu albo tamtych dwóch. Słyszała kiedyś, że dzieci są jak psy: wyczuwają strach.

— W porządku — mówi mu. — Wszystko w porządku. Nic nam nie będzie.

Jasne światło w ciemnym pomieszczeniu, zapalone i zgaszone. Jak jakiś cholerny sygnał przywołujący wszystkich.

— W porządku — powtarza, ściskając jego rączkę.

Jego paluszki są drobne.

On sam jest taki mały.

Dotyk jego miękkich knykci — żadna część ciała Lincolna nie jest jeszcze szorstka ani twarda, nawet pięty i łokcie. Czasem po kąpielu Joan wodzi po nich czubkiem palca tylko po to, by sprawdzić, czy nie robią się twardsze, z nadzieją i poczuciem winy, bo oczywiście powinny. Dotyk tych knykci i twardych, gładkich paznokci, które są jak muszelki, otwiera w niej coś, co pękło parę godzin temu, ale do tej pory udawało jej się to utrzymać w całości.

Nie chce myśleć o tym, że on mógłby umrzeć.

Nie może myśleć o takich rzeczach i jednocześnie działać. A przecież musi coś robić. Nigdy nie chciała być jedną z tych kobiet, które nie pozwalają swoim dzieciom jeść surowego ciasta ani przejść choćby jednego kwartału ulic bez opieki. Wiadomo, że musisz opanować ten lęk, inaczej nigdy nie będziesz w stanie spokojnie patrzeć, jak twoje dziecko wychodzi z domu. Teraz są tutaj, gdzie śmierć szczerzy do nich swój zakrwawiony pysk, a ona tak naprawdę nie bierze tego pod uwagę, bo ma niejasne wrażenie, że to mogłoby otworzyć ogromną, bezdenną przepaść. Tak właśnie robisz, kiedy masz dziecko, czyż nie? Stajesz w obliczu niewyobrażalnego cierpienia i próbujesz udawać, że niebezpieczeństwo nie istnieje.

Joan koncentruje się na dłoni synka, myśląc o tym, jak on się śmieje, kiedy udaje złoczyńcę — „bua-cha-cha” — i jak się cieszy po przebudzeniu, widząc ją pochyloną nad nim. Strach słabnie.

Wszystkie trzy zastanawiają się zapewne, co powiedzieć, by wypełnić ciszę. Na zewnątrz padają strzały, na tyle daleko, że przypominają fajerwerki.

Słychać wycie syren i wybuchy, czyjś głos, niewyraźny, lecz tak donośny, że zapewne płynie przez megafon. I kiedy Joan porządkuje sobie te dźwięki, dobiega do niej jakiś łoskot, którego nie może zidentyfikować. Przypomina to odgłos stosu foremek do pieczenia spadających na podłogę. Kakofonia jest wielotonowa i coraz głośniejsza. Joan wie, co to oznacza: ta strzelanina, wybuchy i krzyki.

W końcu coś się dzieje. Ktoś po nich przychodzi. Z pewnością powinna czuć ulgę lub podniecenie, ale nie jest w stanie wzbudzić w sobie żadnych uczuć.

— Widzicie? — mówi Kailynn, gwałtownie odwracając głowę do okna. — Policja.

— Taak — odpowiada Joan.

— Wkrótce tu będą — dodaje dziewczyna.

— Taak — powtarza Joan, krzyżując nogi. Chce wstać. Ruszyć się.

Jej dłoń natrafia na coś lepkiego na podłodze. Podnosi ją, pewna, że gdzieś w pobliżu widziała papierowy ręcznik. Kailynn chwytą ją za łokieć.

— Zraniłaś się w rękę — stwierdza, a z miejsca, gdzie siedzi, widzi tylko otartą skórę na przegubie Joan, a nie rozciętą dłoń.

— To tylko skaleczenie — uspokaja ją Joan.

— Chyba nie chcesz dostać zakażenia — mówi Kailynn. — Nie mamy tu apteczki. Jednak powinnaś przynajmniej czymś to owinąć.

Zanim Joan zdążyła zaprotestować, dziewczyna rzuca się w stronę szafki i wyciąga szufladę. Znow opada na podłogę, trzymając w ręku cienką białą ścierkę do naczyń, którą zaczyna owijać nadgarstek Joan.

— Jest czysta — oznajmia.

Jej ruchy są zaskakująco sprawne, więc Joan nie protestuje. Patrzy tylko, jak Kailynn mocno zaciska ścierkę i zawiązuje ją dwoma szybkimi szarpnięciami.

— Widzisz? — pyta, znow opierając się na łokciach i omiatając włosami posadzkę. — Lepiej?

— Tak — potwierdza Joan. Zaciśnięta tkaniną rana faktycznie już tak nie boli.

Wciąż ogląda swój nadgarstek, gdy pomieszczeniem wstrząsa huk wystrzałów tak głośny, że jest to coś zupełnie nowego. Joan podskakuje i uderza głową o krawędź stołu. Tak mocno przyciska do siebie Lincolna, że ten próbuje się jej wyrwać. Huk wystrzałów zdaje się ją otaczać. Odbija się echem w jej głowie, niczym dźwięk cymbałów.

Słyszy krzyk Kailynn, a Lincoln wrzeszczy do jej ucha coś, czego ona nie może zrozumieć.

Ta kanonada jest tak głośna, że aż boli, i przez chwilę Joan powstrzymuje chęć zatkania uszu rękami albo przyciśnięcia ich do uszu Lincolna. Obraca się plecami do drzwi, by go osłonić własnym ciałem.

Z zamętu wyłania się jedna sensowna myśl: ktoś jest w restauracji. Ktoś, kto znajduje się za stalowymi drzwiami ich pomieszczenia, usiłuje dostać się do środka. Od tego huku cierpienie jej skóra. Przy każdym pojedynczym strzale jest pewna, że kula przebije drzwi.

Strzały na moment cichną. Dotychczas padło ich kilkanaście. Jednak niemal natychmiast ten ktoś znow zaczyna strzelać.

Kailynn zrywa się z podłogi i wycofuje w kąt pomieszczenia, przewracając kartonowe pudła, z których wysypują się na podłogę filtry do kawy i papierowe kubki. Nauczycielka wstaje. Przytrzymuje się rękami blatu stołu.

Strzały znow milkną i ta cisza jest jeszcze bardziej przerażająca od ich huku.

— Nie dostaną się do środka — mówi Kailynn. Płacze, choć zdradzają to jedynie jej mokre policzki. Jej głos brzmi zdecydowanie. — Nie mogą.

Joan nie jest tego taka pewna. Te drzwi to tylko stal. Nie są zaczarowane. Z pewnością jest jakaś granica ich wytrzymałości. Dotyka swoich policzków, zastanawiając się, czy sama też płacze. Ale nie, płacz to strata czasu i energii. Tego wieczoru nauczyła się nie zaciskać zębów. Oddychać miarowo.

Takie oddychanie pomaga.

W jej uszach wciąż dzwoni echo wystrzałów.

— Okno — szepcze i wstaje, umieszczając Lincolna na blacie stołu. Wspina się za nim i otwiera okno, które — dzięki Bogu — nie stawia oporu. Wystarcza jeden ruch ręki i klamka się obraca, po czym okno odchyła się na zewnątrz, jednak blokuje się po kilkunastu centymetrach. Szpara między ramą a framugą jest dostatecznie szeroka dla Lincolna, ale za wąska dla niej. Strzały znów milkną. Może tamci opracowują jakiś plan? I dlaczego nic nie mówili? Czy nie powinni śpiewać kupletów? Stoją przy drzwiach, czy też może jeden z nich czeka pod tym oknem? Nagle słyhać nowy dźwięk, głośniejsze walenie w drzwi. Joan każe Lincolnowi stać spokojnie i zaczyna się wspinać.

Przy oknie jest jasno. Zdecydowanie bardziej od blasku latarń niż księżyc. Joan spogląda w górę i widzi biedronki, maleńkie ciemne kropki, którymi usiany jest sufit.

— Chodźcie — mówi do pozostałych, niemal bezgłośnie. Nie zamierza przekrzykiwać łoskotu.

Kailynn rusza ku niej, podnosząc nogę. W mgnieniu oka wspina się na kolanach i łokciach na stół.

Łoskot — czy to uderzenia jakiegoś tarana? — wibruje pod czaszką Joan. Nauczycielka kręci głową.

Joan jedną ręką przytrzymuje Lincolna, a drugą gwałtownie ją przywołuje. Jednak kobieta wciąż kręci głową.

— Ja nie... — zaczyna i reszta zdania niknie w hałasie.

Ten nagle się zmienia — w kolejnym uderzeniu pojawia się nowy ton. Coś inaczej wali w drzwi. Słyhać brzęk i trzask.

Na moment zapada cudowna cisza, a potem drzwi się uchylają. Zaledwie na kilka centymetrów. Tak nieznacznie, że w pierwszej chwili Joan może sobie wmawiać, iż tego nie widzi. Jednak zaraz znów się poruszają, powoli, i już wie, że ktoś je otwiera. Patrzy na syna i widzi okruszek na jego policzku. Kailynn przyciska się do jej pleców, ciepła i drżąca. Nauczycielka, cofając się, staje najbliżej drzwi. Światło pada na jej lśniące włosy. Ta chwila ciągnie się w nieskończoność, a potem drzwi otwierają się na oścież, uderzając z hukiem o zawieszony na ścianie półki.

Stoi w nich mężczyzna.

Joan mimo woli myśli, że miała rację: to wyrostek. Może nawet jeszcze nie zaczął się golić. Nie nosi butów, jakie sobie wyobrażała. Na nogach ma tenisówki.

Jedna sekunda.

Dwie.

Joan przesuwa się przed Lincolna, którego nogi zwisają ze stołu. Chyba całkiem go zasłania i może jest choć mała szansa, że strzelec nie zauważy jej chłopca. A może nawet zdołałaby niepostrzeżenie wypchnąć go przez okno? Tuż za nią, najwyżej pół metra dalej, jest komplet noży, choć nie chce patrzeć w ich stronę.

Zamiast na nie, spogląda na mężczyznę. Trzeba sporego wysiłku, żeby nie patrzeć na długą broń, którą wycelował w nich wszystkich — w nauczycielkę — ale to jej się udaje.

Napastnik w drugiej ręce trzyma topór, ale zaraz odrzuca go za siebie. Ma za dużą kurtkę i zbyt obcisłe dzinsy, z których wylewa się brzuch. Jest masywny, ale nie

muskularny. Joan maca ręką po stole za plecami. Zastanawia się, jak go dopaść, zanim w nią trafi — jeśli tylko zdoła złapać nóż tak, by tego nie zauważył. I czy jeśli on do niej strzeli, zdoła go zadźgać, umierając. Mija kilka sekund, zanim ciało zorientuje się, że umiera. Joan rozmyśla, ile potrzebowałaby siły, by wbić napastnikowi nóż w serce. A może szyja byłaby łatwiejszym celem, miękka, bez przeszkadzających żeber. Zastanawiając się nad tym i przebierając palcami, usiłuje zobaczyć jego twarz.

Trzy sekundy.

Cztery.

Strzelec jej nie widzi. Stoi ze spuszczoną głową. Joan dostrzega jedynie grube, czarne brwi. Półmrok ją irytuje, bo nie pozwala rozpoznać wszystkich szczegółów. Chciałaby, żeby na nią spojrział. Mężczyzna trzyma broń wycelowaną w pierś nauczycielki, ale wciąż wbija wzrok w podłogę.

Joan musi zobaczyć jego twarz.

Jej palce zaciskają się na bloku z nożami i przesuwiają do rękojęści jednego z nich. Powinna wyjąć nóż czy spróbować przepchnąć Lincolna przez okno? Jednak jeśli to zrobi, jeśli gwałtownie się poruszy, on z pewnością skieruje ku nim broń. I może już jest za późno, gdyż strzelec w końcu podnosi głowę.

Mężczyzna patrzy na nauczycielkę. Nie odwracając się, wyciąga rękę za siebie, maca ścianę i odnalazłszy włącznik, zapala światło. W pomieszczeniu znów robi się jasno. Joan mruży oczy, by oswoić je z blaskiem.

Napastnik nie odrywa wzroku od nauczycielki. Ona też na niego patrzy, mrugając i oddychając głęboko.

Pięć sekund.

Sześć.

Mężczyzna opuszcza broń.

— Pani Powell? — pyta.

Nauczycielka tylko go obserwuje, nie poruszając się ani nic nie mówiąc. Jedna nogawka jej spodni podwinęła się i odsłoniła bladą łydkę. Kobieta stoi oparta plecami o stół, odchylona do tyłu w taki sposób, że spod sportowej bluzy widać kilkucentymetrowej szerokości pasek brzucha.

Lincoln się wierci. Jego stopa uderza matkę w bok.

„Powiedz coś — w myślach zachęca nauczycielkę Joan. — Zrób coś. Kimkolwiek jesteś, powiedz mu, że jesteś panią Powell”.

Nauczycielka się prostuje.

— Tak — mówi w końcu, spokojnie, jakby czytała listę obecności. Obciąga sportową bluzę.

Nauczycielka jest jedyną osobą spośród nich, która się poruszyła. Joan zaciska dłoń na rękojęści noża, ale jeszcze nie próbuje wyjąć go z bloku. Kieruje wzrok na Kailynn i spostrzega jej błyszczące od łez policzki. Widzi, że dziewczyna drży, ze strachu lub wysiłku, jakiego wymaga tak długie stanie na palcach.

Biedronka spada z sufitu na podłogę.

— Tak — powtarza nauczycielka, równie spokojnie jak poprzednio. — Jestem Margaret Powell.

Strzelec opuszcza lewą ręką broń, otwierając i zaciskając palce. Raz po raz. Chwyta powietrze.

— Jestem Rob — mówi, tak głośno, że Joan go rozpoznaje. To on zabił gerezę. — Robby...

Mężczyzna urywa, marszcząc brwi, być może stropiony tym, że podał swoje imię. Joan myśli, że może zaraz zastrzeli ich wszystkich, aby naprawić ten błąd, ale on tylko zerka na swoje stopy, jeszcze niżej opuszcza lufę i znów zaczyna mówić.

— Uczyła mnie pani w trzeciej klasie. Jestem Robby Montgomery.

Nauczycielka znów milczy. Powinna go oczarować, ale najwidoczniej nie ma pojęcia o strategii. Może sparaliżował ją strach, a może nie chce przyznać, że go nie pamięta. Tylko na niego patrzy, na jego zachodzące na kołnierz włosy, luźną kurtkę i broń: karabin w rękę, pistolet pod kurtką i jeszcze coś dużego, przymocowanego na plecach.

Dłonie nauczycielki wciąż są zaciśnięte na sportowej bluzie.

— Robby — mówi pani Powell.

On kiwa głową.

— Robby Montgomery — powtarza nauczycielka.

Napastnik spogląda na nich wszystkich, ale tylko przelotnie. Zerka na Kailynn, wciąż skuloną na stole. I na Joan. A gdy przechyla głowę w bok, ona już wie, że zauważył stojącego za nią Lincolna.

Potem on się cofa i przyciska do futryny drzwi.

— Tędy — mówi głosem wypełniającym całe pomieszczenie. — Do wyjścia.

Znów spogląda na panią Powell i nie wiadomo, czy ten rozkaz obejmuje ich wszystkich. Może wypuści nauczycielkę i wróci po nich. A może wyprowadza panią Powell, żeby zastrzelić ją jako pierwszą, a dopiero potem ich.

Jednak kiedy pani Powell rusza do drzwi, Robby Montgomery macha ręką do pozostałych. Joan zsuwa się na podłogę i bierze Lincolna w ramiona, poruszając się wolno i zastanawiając, czy powinna spróbować wziąć ze sobą jeden z noży. Odwraca się, wciąż nie znając odpowiedzi na to pytanie, i traci okazję. Słyszy, jak stopy Kailynn uderzają o posadzkę. Sadowi sobie Lincolna na biodrze.

Przechodzi po papierowych kubkach. Przygląda się posadzce. Kiedy znów podnosi wzrok, widzi, że Robby Montgomery kładzie dłoń na ramieniu przechodzącej przez próg nauczycielki.

— Pani mnie nie pamięta, prawda? — pyta.

Kobieta spogląda na jego dłoń, a on puszcza jej ramię. Nauczycielka, jak zwykle, nie spieszy się z odpowiedzią. Gdy jednak Robby zabiera rękę, ona kładzie dwa palce na jego nadgarstku.

— Siedziałeś obok tego małego chłopca, który wlał sobie klej do ucha — mówi. — Harrison... nie pamiętam jego imienia. I lubiłeś pomagać mi rozwieszać gazetkę. I te wszystkie zszywacze. Lubieś przyrząd do usuwania zszywek. Mówiłeś, że wygląda jak...

— Kły wampira — dopowiada Robby i uśmiecha się.

— Mamusiu? — mówi cicho Lincoln, a jego ciepły oddech pachnie serem. Joan orientuje się, że zainteresowała go wzmianka o wampirach. Ona sama obserwuje uśmiech

strzelca; to dziwny widok. Być może nie różni się bardzo od Lincolna, bo uważa, że niegodziwcy nie powinni być -szczęśliwi.

Nagle Robby Montgomery ruchem głowy każe im ruszać. Joan przechodzi za panią Powell przez drzwi, starając się nie otrzeć o napastnika ani o jego broń. Kailynn idzie za nią. Trzyma się blisko. Joan czuje dłoń dziewczyny zaciskającą się na jej rękę, tuż nad opatrunkiem.

Znów są w korytarzu. Przed sobą widzą lśniąca w półmroku kuchnię.

— Słuchajcie — mówi Robby Montgomery — musicie iść gdzie indziej. Nie tutaj. Policja wchodzi przez bramę, ale nie idźcie tam. Oni wciąż strzelają.

— Jacy „oni”? — pyta pani Powell.

— Policja — odpowiada beztrąsko. — I Destin. Chyba że nie żyje. Ale jest dobrze przygotowany i policja nie strzelałaby, gdyby nie żył.

— Kim jest Destin? — pyta pani Powell. Robi to z niemal zabawną pedanterią, jakby się zastanawiała, czy zgodzić się na proponowaną randkę.

— Destin jest gwiazdą programu — odpowiada Robby Montgomery nieswoim głosem. To głos spikera z telewizji, przesadnie dramatyczny.

Joan odsuwa się od niego. Nie podoba się jej to, że on kogoś udaje.

Pani Powell marszczy brwi i wygląda na to, że Robby Montgomery to zauważa. Kiedy znów się odzywa, mówi już normalnym głosem.

— Jeśli zobaczycie czołg na dwóch nogach, będzie to Destin — mówi. — Załatwił sobie porządny sprzęt: kamizelkę kuloodporną, hełm Blackhawk i wszystko. Nie chcecie się z nim spotkać. A ze mną jest jeszcze Mark, ale znów mnie zostawił. Na szczęście dla was. Chodźcie. Musicie się ruszać.

— Mamusiu? — znów szepcze Lincoln.

— Nie teraz — odpowiada szeptem Joan, tak cicho, że ledwie sama się słyszy.

Wypuści ich.

Wypuści.

Ta myśl jest tak dominująca, że w pierwszej chwili Joan nie jest w stanie zastanawiać się nad czymkolwiek -innym. Nawet kiedy próbuje, trudno jej zrozumieć, o czym on mówi. Jest ich trzech, razem z tym chłopakiem, który rzuca imionami, jakby to nie miało żadnego znaczenia. Z pewnością nie powinien ujawniać takich szczegółów. Joan zastanawia się, czy on naprawdę rozumie, co się dzieje, co się stało i co się stanie. A może dobrze wie, co się stanie, i dlatego nie ma znaczenia to, czy wyjawi im jakieś imiona.

Przerażona tą ostatnią myślą Joan ogląda się za siebie. Patrzy przez ramię na porzucane papierowe kubki, sterczące jak wieżyczki zamków z piasku. Na noże, które teraz są już za daleko. Ten trzeci mężczyzna, Destin, na podstawie opisu wydaje się jakąś nieludzką postacią. Joan wyobraża go sobie jako potwora z filmu z Arnoldem Schwarzeneggerem. Potwory nie słuchają starych nauczycielek.

— Policja... — zaczyna Joan, ale najwyraźniej Robby Montgomery nie chce rozmawiać z nikim poza panią Powell. Przerzywa jej, ledwie na nią spojrzawszy.

— Tędy — mówi, kierując lufę ku bocznym drzwiom restauracji. — Na zewnątrz i z powrotem w kierunku lwów morskich. Znacie lwy morskie?

Tak więc wszyscy wloką się do bocznych drzwi — Kai-lynn na przedzie, Lincoln i Joan w środku, a pani Powell z napastnikiem na końcu. Teraz drzwi ledwie wiszą na zawiasach — widocznie Robby je wyważył. Joan dziwi się, że tego nie słyszeli.

Po półmroku restauracji światelka stojącego na zewnątrz automatu z napojami mrugają wyjątkowo psychodelicznie. Za drzewami wciąż słychać strzały i krzyki. Liście bananowców łopoczą, gdy Joan zaczyna iść alejką.

— Szybciej — woła Robby Montgomery i Joan przyspiesza kroku.

III

Margaret Powell doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że w ciągu kilku następnych minut może zginąć od kuli w plecy, wystrzelonej przez jednego z jej uczniów. Nie jest to dla niej wielkie zaskoczenie.

Kailynn i ta druga kobieta idą znacznie szybciej od niej i coraz bardziej się oddalają, ale Robby jest zaledwie metr za nią. Pani Powell ogląda się do tyłu, starając się nie robić tego zbyt ostentacyjnie. Napastnik chyba udaje weterana z Wietnamu i czujnie zerka na rosnące po bokach drzewa, co w innej sytuacji byłoby po prostu śmieszne. Margaret nadal nie wie, czy ją chroni, czy też prowadzi na śmierć, i nie jest pewna, czy on sam to wie. Najwyraźniej jest psychopata. Albo prawie, co nie robi żadnej różnicy. Nawet Hitler lubił szczeniaki, prawda?

Boli ją kolano. Czasem trudniej jej jest siedzieć, niż stać.

Zostawili już daleko w tyle cień krytego strzechą dachu. Przy wejściu do zoo wciąż słyhać strzelaninę, która to cichnie, to wybucha na nowo. A Robby wciąż tu jest i idzie za nimi. Nie spodziewała się, że pozostanie tak blisko. Zwalnia, znów oglądając się za siebie, i tym razem nie próbuje ukryć faktu, że go widzi.

— Idziesz z nami? — pyta.

On potrząsa głową, ale wciąż za nią podąża. Jest wysoki, choć jeszcze nie pozbył się dziecięcych okrągłości. Niedbale trzyma karabin, który podskakuje w jego rękę jak wykrywacz metalu lub coś innego, niesłużącego do zabijania.

Nauczycielka nabiera przekonania, że im więcej do niego mówi, tym lepiej. Słuchając jej głosu, będzie musiał zaakceptować fakt, że ma do czynienia z rzeczywistą osobą. Osobą, która trzymała go za rękę i pomagała zawiązywać sznurowadła. (Nie pamięta, czy na pewno to robiła, ale starała się pomagać w ten sposób wszystkim swoim uczniom).

— Poruszacie się za wolno — mówi Robby. — Musicie iść szybciej.

Pani Powell zatrzymuje się i odwraca do niego.

— Mam sześćdziesiąt osiem lat — mówi. — I niesprawne kolano. Nie mogę iść szybciej.

Idąca przed nimi Joan też przystanęła, trzymając malca na biodrze. Ogląda się przez ramię. Margaret wołałaby, żeby nie czekała.

— Chodź ze mną, Robby — mówi do niego belferskim tonem, który sprawdzał się w stosunku do wszystkich dzieci, jakie kiedykolwiek uczyła. W ten sposób sugeruje mu, że chciałaby, by jej towarzyszył. To zwykle najlepiej działa na uczniów z problemami, trudnych, których inni nauczyciele karcą albo posyłają do gabinetu dyrektora. Takie dzieci potrzebują najwięcej uwagi i właśnie w ten sposób można zdobyć ich zaufanie.

Oczywiście ona wcale nie pragnie jego towarzystwa. Rzecz w tym, że nie chce, by szedł za jej plecami. Wołałaby mieć go na oku. Następny sekret pedagoga: rozrabiaków zawsze lepiej sadzać jak najbliżej swojego biurka.

Nie jest zaskoczona tym, że był jej uczniem. Wyobrażała sobie coś takiego. Niezliczoną ilość razy widziała w myślach, jak jakiś bandzior celuje do niej z broni i żąda

jej portmonetki, żeby zaraz powiedzieć: „Hej, czy to pani, pani Powell?”. Przez te wszystkie lata miała tylu uczniów — tysiące — i wszystkich w tym samym mieście. Dlatego nieustannie się na nich natyka: w galeriach handlowych, restauracjach i na parkingach. Wszystkie te ośmioletnie dzieci zmieniły się w mężczyzn w garniturach lub kobiety w szpilkach.

„Pani Powell!” — mówią zawsze uśmiechnięci, a ona oczywiście nie ma pojęcia, kim są, ponieważ wyrosli. Ale poznaje, że byli jej uczniami, po sposobie, w jaki wymawiają jej nazwisko.

Niektórych z nich pamięta. Czasem pamięta nawet, gdzie siedzieli lub co jej podarowali na Boże Narodzenie. Obejmują ją i mówią, że są prawnikami, lekarzami, sprzedawcami samochodów albo że mają trzy córki lub syna na studiach. Chcą, by wiedziała, jak im się -wiedzie.

Są też inni. Tacy, którzy nigdy się nie przedstawiają. Ale ona wie, co z nich wyrosło. Demetrius Johnson był pierwszym, który dostał karę śmierci za to, że zabił jakiegoś chłopaka w bójkę o telewizor. Kiedy był w jej klasie, tak mocno kopnął koleżankę w nogę, że popłynęła krew. Był też bardzo dobry w rozwiązywaniu łamigłówek, miał do tego prawdziwy talent z rodzaju tych, które mogą być naprawdę ważne. Albo Jake Harriman, słodki chłopczyk, który nigdy nie sprawiał jej żadnych kłopotów, lecz miał patologiczną rodzinę i sińce na skórze. Zgłosiła to dyrektorowi i odwiedziła ich opieka społeczna, ale nic z tym nie zrobiono. Po kilku dziesiątkach lat zobaczyła jego twarz w wiadomościach, ponieważ zabił kobietę na parkingu Kmartu i ukradł jej samochód. Kara śmierci. Horace Lee Block był hałaśliwy i nie potrafił spokojnie usiedzieć na miejscu. Już wtedy miał złe skłonności i musiała go odrywać od siebie, kiedy ją objął. Kara śmierci.

Widzi ich nazwiska w gazetach i patrzy na zdjęcia w wiadomościach, nie rozpoznając ich. Zgodnie ze swoimi obliczeniami uczyła czterech morderców, sześciu gwałcicieli i dziewięciu skazanych za rabunek z bronią w ręku. Nie zamierza prowadzić tego rejestru, ale on sam się tworzy. Troje z jej chłopców i dziewcząt zostało zamordowanych, jedna spośród nich podpalona przez męża. Pamięta długi warkocz związany gumkami do włosów, z plastikowymi kulkami na końcach. Wszystko to jest straszne. Widząc zdjęcie jakiegoś potwora o martwych oczach i pamiętając chudego chłopczyka z kostropatymi łokciami, wiele razy miała chęć rzucić nauczanie, bo najgorsze jest to, że przeważnie nie ma w tym niczego zaskakującego. Ich drogi są wytyczone, zanim ona ich spotka. Gdy przychodzą do niej źli i ponurzy, skłonni do przekleństw i przemocy, to zazwyczaj dlatego, że ich rodzice są źli i ponurzy, skłonni do przekleństw i przemocy. Gdy przychodzą do niej zrozpaczeni i zobojętniali, ich rodzice są zrozpaczeni i zobojętniali. Ona zwykle widzi, w jakim kierunku zmierzają, i nic nie może z tym zrobić. Czasem próbowała, ale było to jak chuchanie i dmuchanie na domek z cegieł.

Wychodzą z jej klasy i już nigdy nie oglądają się za siebie. Znikają.

Jednak Robby... Wydaje się jej to bezsensowne, choć nadal nie bardzo potrafi go sobie przypomnieć. Usta mu się nie zamykały. To pamięta. Biedak mówił tak głośno, jakby nie potrafił tego robić ciszej. Więc gdy inne dzieci bezkarnie szeptały, ona zawsze przyłapywała tylko jego. Miał problemy z nawiązywaniem kontaktów, ale był

zdyscyplinowany. Pamięta go jako krępego chłopca, który za głośno się śmiał z żartów innych dzieci, mówił „tak, prosz pani” za każdym razem, gdy go uciszała, i chyba zawsze był grzeczny. Nie, nie tylko grzeczny — chciał się przypodobać. Skutek był ten sam, ale powody różne.

Wyczuwa, kiedy ją dogania. Jego ciepło i słaby zapach cebuli.

— Dlaczego musimy się spieszyć? — pyta go cicho i przypomina sobie, jak chciał jej pomóc rozwieszać gazetkę. Nie pamięta jednak żadnej ich rozmowy.

— Ze względu na Marka — mówi Robby. — Między innymi. On przyjdzie.

— To twój przyjaciel?

— Tak.

— Jeśli to twój przyjaciel — ostrożnie mówi do niego — czy nie mógłbyś mu powiedzieć, żeby nas nie zabijał?

Patrzy przed siebie, nie na niego, ale on potrzebuje chwili na odpowiedź. Przechodzą pod rozłożystym dębem i jest tam kierunkowskaz z mnóstwem nieczytelnych w ciemności tabliczek. Pani Powell wie, że idą w stronę wyjścia z ogrodu.

— On ma swoje pomysły — mówi w końcu Robby, a potem podnosi broń. Nauczycielka już chce krzyknąć ostrzegawczo do pozostałych, ale mężczyzna celuje wyżej i oddaje kilka strzałów w korony drzew. Margaret ma wrażenie, że od huku popękały jej bębenki, i dotyka uszu, sprawdzając, czy nie płynie z nich krew.

Ledwie go słyszy, choć Robby wrzeszczy.

— Idźcie tak, żebym was widział! — woła. Ona uświadamia sobie, że Kailynn, kobieta i chłopczyk już znikali za zakrętem ścieżki, ale teraz znów ich widzi. Stoją nieruchomo jak posągi. — Nie zatrzymujcie się! — wrzeszczy na nich Robby, jeszcze bardziej zirytowany. — Nie możecie przystawać. Jednak trzymajcie się blisko.

Lufa jego karabinu znów jest wycelowana w ziemię. Pozostali zaczynają iść, często oglądając się za siebie. Pani Powell czuje pulsujący ból w niesprawnym kolanie.

— Kazałeś im iść szybko — przypomina mu.

Robby nie odpowiada. Kobieta zastyga, widząc, jak wyciąga do niej rękę, lecz on tylko chwyta ją za łokieć i kieruje naprzód, dość delikatnie. Nie robi jej krzywdy.

— Wszyscy idziemy szybko — mówi.

To oczywiste, że chce, by zamilkła, ale ona odkrywa, że naprawdę nie ma znaczenia, czego on pragnie. Już tak bardzo nie boi się tego, co mógłby jej zrobić. Śmierć nie jest taka straszna, jak kiedyś sądziła. Miałoby to głębszy sens, gdyby stała tutaj, wyobrażając sobie niebo ze złotymi ulicami, albo gdyby marzyła o wyciskającym łzy z oczu ponownym spotkaniu z rodzicami, których tak bardzo pragnęłaby zobaczyć, w jakiegokolwiek postaci: żywych osób, duchów czy aniołów. Jednak nie myśli o niczym takim.

Przez całe życie przekonywano ją, że Bóg istnieje. To z pewnością jest prawda. Zawsze starała się o tym pamiętać. Mówiła do Boga. Jednak nie myślała o Nim w chwili, kiedy blat stołu wbijał się w jej plecy i kiedy patrzyła w ciemny otwór lufy. Myślała o tym, że jej córka jest dorosła, i wyraźnie dała do zrozumienia, że już niczego od niej nie potrzebuje, że jej rodzice nie żyją, a były mąż poślubił jakąś kobietę, młodszą i zarazem grubszą od niej, i że nie ma już nic, co powinna zrobić. Nie pragnie śmierci, ale myśl

o niej jej nie przeraża.

Tak więc kuśtyka dalej i pyta:

— Zabiłeś dzisiaj kogoś?

Robby wzrusza ramionami. To najbardziej niedojrzała odpowiedź, jaką mogłaby usłyszeć.

— Chcesz powiedzieć, że nie jesteś pewny?

Mężczyzna znów wzrusza ramionami. Pani Powell z każdą chwilą dostrzega w nim coraz więcej z trzecio-klasisty.

— Żałujesz tego? — dopytuje.

Robby pochyla głowę, przechodząc pod niską gałęzią.

— Nie, prosz pani.

„A więc dlaczego — ma ochotę zapytać — mnie nie zabiłeś? Jeśli tak łatwo ci to przychodzi?”

Są już prawie u stóp wzgórza. Przeszli pod rzeźbionym drewnianym łukiem z napisem AFRYKAŃSKIE ŚCIEŻKI i -teraz opuszczają teren poświęcony Afryce. Robby wciąż lekko podtrzymuje łokieć pani Powell. Jak na kogoś, kogo ona pamięta jako gadułę, nie mówi zbyt wiele. Może zło go odmieniło i po tym wszystkim nie zostało w nim nic z tamtego trzecioklasisty.

Kailynn i kobieta z dzieckiem znów znikają za zakrętem ścieżki. Tym razem Robby na nich nie krzyczy. Tak więc nauczycielka zostaje z nim sama. I kiedy już myśli, że on nic nie powie, ten znów zaczyna mówić.

— Wie pani, jak to jest, kiedy się przekłuwa pęcherz? — pyta, lekko ściskając jej łokieć. — To jest właśnie tak. Czy nie czuje się, no cóż, pewnej satysfakcji z usuwania różnych rzeczy? Takich jak pryszcz, pęcherz i inne wykwity, których nie powinno być. Ma się chęć je przebić. To chyba o czymś świadczy. Można się uważać za solidny twór, ale wystarczy ukłucie i zostają tylko skóra, ropa i infekcja. I sędzę, że o tym wiemy. Wymyślamy sobie różności, wie pani? Wszystko to, co uważamy za takie ważne, nie ma żadnego znaczenia. Nie jest rzeczywiste. I może lepiej byłoby naprawdę przekłuć tę bańkę. Czy kiedyś myślała pani o tym? Że może byłoby lepiej uwolnić się od tego wszystkiego? Ponieważ jesteśmy tylko nabrzmiałymi pęcherzami, ociekającymi ropą i krwią, ale udajemy cholerne jednorożce, za przeproszeniem, jednorożce, wróżki czy inne piękne i czarowne istoty. Jesteśmy workami niczego.

Mężczyzna głośno wciąga powietrze. Pani Powell nie wie, czy jest zmieszany swoim monologiem, czy tylko -zabrakło mu tchu. Na nierówno wybetonowanej alejce o mało nie skręca sobie nogi w kostce.

Myśli gorączkowo, ale nie znajduje żadnej użytecznej odpowiedzi. Nie zamierza zachęcać go do porównywania ludzi do worków pełnych ropy. Okręca bransoletkę na nadgarstku — wyrób Kate Spade, za który dała na wyprzedży dwadzieścia dolarów.

— Uważasz, że to wszystko jest nierealne? — pyta.

— Myślę, że żyjemy, robiąc głupie rzeczy i wierząc w głupstwa — tłumaczy nieco spokojniej Robby.

Ona uświadamia sobie, że usiłuje ją przekonać. Przedstawia swoje powody.

— A więc zabiłeś ludzi, ponieważ doszedłeś do wniosku, że martwym będzie

lepiej? — pyta go.

— Nie wiem, czy ich zabiłem. I nie w tym rzecz, że jest im lepiej. Nie jestem Jezusem zbawiającym dusze czy jakoś tak. Jednak nie jest im gorzej. Gorzej nam być nie może.

Margaret przęłyka ślinę, która ma kwaśny smak. Od początku miała rację: to psychopata i pewnie po to każe jej iść tak szybko, by ona zaraz zaczęła się potykać. Już nie słyszy muzyki, natomiast coraz głośniejsze stają się dźwięki dobiegające od strony wejścia do zoo: głosy, męskie głosy, całe mnóstwo, i jeszcze jakieś metaliczne trzaski.

— Nadal je pani pomarańcze na lunch? — pyta Robby.

Pani Powell jest tak zaskoczona, że nie zastanawia się nad odpowiedzią.

— Czasem — odpowiada.

— Kroi je pani na ćwiartki, zamiast obierać ze skórki — przypomina sobie mężczyzna.

Ona nie ma pojęcia, jak mógł to zapamiętać.

— Tak — potwierdza.

Robby przystaje i zeskrobuje coś z podeszwy buta. Margaret woli nie myśleć o tym, co mogło się do niej przykleić.

— Czy nauczyła się pani posługiwać siekierą? — pyta.

Kobieta szuka w pamięci. Zatem uczyła go, kiedy na jej podwórku w odstępie sześciu miesięcy zwały się dwa drzewa i zażądano od niej horrendalnej sumy za ich porąbanie. Po upadku drugiego drzewa kupiła siekiere i postanowiła nauczyć się, jak rąbać drewno. Wszyscy chłopcy w jej klasie byli zafascynowani tym pomysłem.

— Nie — odpowiada. — Pokaleczyłam tylko o nią dłonie. W końcu zapłaciłam komuś, żeby to zrobił.

— Wyobrażalem sobie panią na podwórku i w kombinezonie — mówi Robby. — Z siekierą. Siedzącą później na bujanym fotelu na frontowym ganku i popijającą lemoniadę. Ma pani frontowy ganek?

— Nie. Kiedyś miałam werandę z tyłu domu.

— Mieszka pani na wsi? — pyta.

— Nie.

— Ja zawsze chciałem.

— Mieszkać na wsi?

— Taak. Tam gdzie można spacerować po lesie.

Błysk światła sprawia, że Margaret odrywa wzrok od rozciągającej się przed nią wstęgi betonu. Przez gałęzie widzi jezioro, całe oświetlone. Kilka kroków przed nią beton alejki przecinają szyny kolejki. Stoją tam Kailynn oraz kobieta z chłopczykiem.

Robby puszcza jej łokieć i machnięciem ręki wskazuje jezioro.

— Ja wracam — mówi. — Idźcie w stronę lwów morskich i ptaków. Znajdźcie sobie jakąś kryjówkę. Zaczekajcie, aż będzie po wszystkim.

Odwraca się, zanim Margaret jest w stanie sobie uświadomić, że on odchodzi. I z jakiegoś powodu przypomina sobie moment sprzed nie wiadomo ilu lat. Robby z pewnością nie był wtedy jej uczniem, a ona omawiała system korzeniowy i opowiadała o mchu. Znalazła w parku wielkie płaty zielonego mchu i puściła je po klasie, by pokazać

dzieciom, że on nie ma prawdziwych korzeni. Ale one nie chciały słuchać pogadanki o korzeniach. Wolały kłaść sobie mech na głowach i udawać, że to włosy, albo wtulać weń twarze, by sprawdzić, jak to jest spać w lesie na poduszce z mchu. Dlatego zrezygnowała z naukowego podejścia i tylko patrzyła, co uczniowie robią z roślinami.

— Chodź z nami — proponuje mu.

Robby przystaje i odwraca się do niej z lekko rozchylonymi ustami.

— Dlaczego? — pyta.

Gdyby miała odpowiedzieć szczerze, oświadczyłaby, że z powodu jego broni. Gdyby natknęli się na jego przyjaciół, ta broń mogłaby się przydać. Ale gdyby była szczerą, powiedziała mu również, że z pewnością mogłaby go ocalić. Czuje nagły przypływ energii, przeszywający dreszczem jak tarcie zużytej chrząstki o kość. Ma już to wszystko przed oczami: jak go prowadzi, idącego z rękami w górze, do policjantów, jak odwiedza go w więzieniu, przynosząc mu ciasto, jeśli na to pozwoli, i jak pisze do niego listy z pytaniem, czy woli czekoladę, czy kokosy. Mogłaby ocalić jego i ich wszystkich. Już wyobraża sobie nagłówki opisujące, jak go przekonała, żeby złożył broń, jak dotarła do niego, podczas gdy nikomu innemu to się nie udało.

On wciąż ją obserwuje, czekając. Margaret musi poskładać wszystkie te myśli o drugich szansach, ciastach i mchu.

— Możemy powiedzieć im, policji, że nam pomogłeś — mówi. — Możemy im powiedzieć...

Robby uśmiecha się do niej; w ciemności widzi błysk jego zębów.

— W porządku, pani Powell — przerywa jej.

— Co w porządku?

On znów się odwraca.

— Nie musicie im mówić niczego — rzuca równie głośno jak zawsze, tak że ona wyraźnie słyszy każde słowo.

Idzie w górę zbocza i ani razu nie ogląda się za siebie. Znika.

Chmury znów zgęstniały i zasłoniły księżyc. Przed oczami Joan rozpościera się staw. Kobieta widzi ozdoby zawieszane na barierce, a nawet pływające na wodzie. Na środku stawu migocze wielobarwny morski potwór, a na brzegach są ustawione inne podświetlone figurki. Nad wodą niosą się oczywiście dźwięki dochodzące od strony wejścia do ogrodu.

Jeśli Joan odwróci głowę, zobaczy nauczycielkę idącą razem z Robbym Montgomerym. Z najwyższym trudem udaje się jej ustać w miejscu. Jednak to nie czas na stanie w miejscu. Powinna się ruszać — powinna zabrać Lincolna jak najdalej od karabinu i Robby'ego. W dodatku, kiedy się porusza, nie musi tyle myśleć. Wszystko jest prostsze, gdy wyteżą siły aż do bólu mięśni.

Powinna się ruszyć także z powodu tego, co — jak jej się wydaje — leży na betonie parę metrów dalej, za torami kolejki. Stara się nie patrzeć w tamtą stronę.

Jednak choć pragnie jak najszybciej stąd odejść, stoi niezdecydowana przy torach. Robby Montgomery kazał im zostać w zasięgu jego wzroku. Groził im. Gdyby jednak skręciła w prawo, gdzie kępa drzew zasłania drogę do flamingów i lwów morskich... Ten mrok kusi. Joan zastanawia się, czy zaryzykować i pobiec, wykorzystać swoją szansę. Jednak nie myśli o tym długo, bo już się ugina pod ciężarem Lincolna i wie, że Robby-Montgomery lub jego kule dogoniłyby ich w mgnieniu oka.

W dodatku powstrzymuje ją myśl o Destinii, kimkolwiek on jest, który w swojej kamizelce kuloodpornej kręci się po ogrodzie i ma własne plany.

— Co ona tam robi? — szepcze Kailynn, która stoi tak blisko, że jej włosy muskają ramię Joan. Jej dłoń odnajduje łokieć kobiety.

— Traci czas — odpowiada Joan i natychmiast ogarnia ją poczucie winy, bo przecież uważała, że nauczycielka powinna oczarować i przekonać zabójcę, żeby im pomógł, a teraz widok ich dwojga idących razem budzi jej wewnętrzny sprzeciw.

Robi krok w lewo, oddalając się od wody, a Kailynn wciąż trzyma ją za rękę. Zamiast się uwolnić, Joan obejmuje ją i ciągnie ze sobą, trochę dlatego, że dziewczyna potrzebuje wsparcia. I żeby ona i Lincoln nie zobaczyli tego, co leży na ziemi za torami kolejki.

Pani Powell w końcu pokonuje resztę drogi w dół z boczka. Najwyraźniej coś jest nie tak z jej nogą, bo utyka. Nawet odgłos jej kroków to zdradza.

— Poszedł sobie — mówi nauczycielka, dotarłszy do nich. — Powiedział, żebyśmy się ukryli.

Joan spogląda na zbocze.

— Naprawdę odszedł? — pyta.

— Nie chciał iść z nami — odpowiada nauczycielka.

Joan woli tego nie komentować. Nie będzie tracić czasu i słów na niepotrzebne dyskusje.

— Jest pani pewna, że się nie przyczaił? — pyta jeszcze. — Widziała pani, jak wspinał się na wzgórze?

— Tak — potwierdza nauczycielka.

— No to ruszajmy — mówi Joan i wchodzi na tor kolejki. Postanawia iść po nim. Drewniane podkłady są rozmieszczone w równych odstępach. Tak cudownie powtarzalne. Nie ma w nich niczego nieoczekiwanego. Mogłaby stąpać po nich przez wieczność.

Pani Powell kładzie dłoń na jej ramieniu. Ma silne palce.

— Kazał nam iść do lwów morskich — mówi, ciągnąc Joan w tył.

Cała ta przymusowa bezczynność, całe obrzydzenie i wściekłość, a nawet irytacja na widok utykającej nauczycielki powodują wybuch.

— Nie zamierzam iść tam, dokąd on kazał! — warczy Joan, usiłując zniżyć głos. — Nie bądź głupia. Pójdziemy w przeciwną stronę, jak najdalej od niego i wszystkich innych.

— A dlaczego nie iść do lwów morskich? — pyta pani Powell. — Może on o czymś wie. Przecież gdyby chciał, mógłby już nas pozabijać. Znam tego chłopca i myślę, że...

— Nie znasz go — protestuje Joan.

— Pamiętam...

— Nie słyszałaś, jak rozmawiał ze swoim przyjacielem — przerywa jej Joan. — Nie wiesz, jaki naprawdę jest. On jest „znudzony”. Dla niego to tylko zabawa. Może postanowił nas wypuścić i znów odnaleźć, żeby była ciekawsza. Zapewniam cię, że nie obchodzi go nasze bezpieczeństwo.

Joan przytula Lincolna i znów skupia uwagę na torach, na tych gładkich żelaznych szynach, które pozwalają jej myśleć o kowalach, narzędziach i o tym wszystkim, co jest silne i wytrzymałe. Srebrzyste kawałki skały — za duże, żeby nazwać je żwirem — chrzęszczą pod jej nogami. Wyglądają jak krzemienie, którymi Hansel znaczył drogę w lesie.

Nagle odzywa się Kailynn. I to jest największy problem, kiedy jest się w grupie: ktoś zawsze coś mówi, ktoś zawsze komplikuje sytuację. Joan znów musi się zatrzymać. Przeszła po trzech podkładach. To zaledwie parę kroków.

— Dlaczego nie poszukać policji? — pyta Kailynn, która jednak poszła za Joan i trzyma się jej koszuli.

Odgłosy strzelaniny są najlepszą odpowiedzią. Pomimo to Joan odwraca się w stronę głównego wejścia do zoo, choć obiecała sobie, że już tam nie spojrzy. Patrzy na staw, gdzie pomarańczowe i czerwone fale migających światełek tworzą iluzję ruchu morskiego potwora.

Spuszcza oczy — co było nieuniknione — i mimowolnie spogląda na nieruchome postacie na betonie. Teraz są czymś więcej niż tylko niewyraźnymi bryłami i nie może oderwać od nich wzroku. Jedną dłonią przytrzymuje główkę Lincolna, przyciskając jego czoło do swojego policzka. Nie może pozwolić, żeby to zobaczył. Ona jednak widzi wszystko, każdy szczegół. Z jakiegoś powodu zapamiętanie tych dwóch leżących na ziemi ciał wydaje się czymś koniecznym. Jest to im winna, a może Bogu.

Widzi podeszwy szpilek dziewczyny. Ta leży na brzuchu, w zbyt krótkiej spódniczce opinającej jasnopomarańczowe rajstopy z czarną koronką. Chłopak leży na niej, z szeroko rozłożonymi rękami, zakrywając większość jej ciała. Z pewnością myślał,

że zdoła ją ocalić, na pewno taka była jego ostatnia myśl. Krwi jest więcej, niż można by się spodziewać: rozpryskana i rozlana, zebrana w kałużę na betonie wokół nich. Joan wie, że to krew, ponieważ jest czarna i lśniąca niczym staw.

Brat Joan przechodził przeszkolenie medyczne i opowiadał, że instruktorzy odcinają nogi kozom, a on miał przetransportować takie beznogie zwierzę z pozorowanego pola walki do szpitala polowego, zanim się wykrwawi. Jego zadaniem nie było zapobiec śmierci kóz, ponieważ one nieuchronnie umierały, ale spowolnić krwotok. Mówił, że kiedy zakładasz opaskę uciskową, krew zbiera się w kałużę wokół twoich stóp.

Dłoń chłopca spoczywa na głowie dziewczyny, w jej włosach. On ma otwarte usta.

W końcu Joan z trudem odrywa wzrok, chociaż już nigdy nie przestanie ich widzieć — i dobrze. Spogląda teraz nad rozpościerającym się przed nią lśniącem stawem, za którym znajduje się długi, drewniany budynek wejścia do zoo z szarymi i brzydkimi kasami, ale teraz tego wszystkiego nie widać.

Mimo że liczne reflektory punktowe tworzą z wejścia do ogrodu relief na tle nieba, widać go niewyraźnie z powodu odległości i dymu. Ten opar przecinają czerwone i niebieskie światła, zapewne policyjnych radiowozów. Joan widzi wyłaniające się z dymu żerdzie papuzich grzęd, które tworzą abstrakcyjny wzór. Wszystko jest abstrakcyjne. Przy podwójnej żelaznej bramie — otwartej chyba na oścież — zauważa gromadę czarnych postaci. Jest pewna, że to policjanci, ponieważ jest ich tak wielu. Zapewne to taki oddział policji, jaki się wysyła w podobnych sytuacjach.

Dostrzega jakiś ruch przy budynku, może otwierające się drzwi. Policjanci zmieniają pozycje i niektórzy z nich zwartą gromadą ruszają naprzód.

Tylko dym, hałas i ciemne sylwetki. Joan słyszy wystrzały i znów patrzy na zwłoki. — Idźcie, dokąd chcecie — mówi do Kailynn i nauczycielki.

Zaczyna biec coraz szybciej po drewnianych podkładach, jednym za drugim, usiłuje przy tym nie stąpać po kamieniach. Potrafi to robić, przecież wciąż to robi. Poprawia trzymanego na biodrze Lincolna, ciągnąc go za kostkę nogi, żeby mocniej objął ją nogami, a on widocznie już się do tego przyzwyczaił, bo bez słowa prawidłowo reaguje na te sygnały. Dokucza jej bark — czuje w nim przeszywający ból, jeśli machnie ręką do tyłu zamiast do przodu — ale poza tym jej ciało wytrzymuje cały ten wysiłek.

Najwidoczniej rzuciła się naprzód tak nagle, by wyrwać się Kailynn. Teraz jednak słyszy je obie za plecami; chrzęst kamieni. Mocniej przytrzymuje sandały palcami stóp. Klapanie podeszew wydaje się głośniejsze i Joan ma nadzieję, że buty się nie rozlatują.

Oto czego nie wyjaśniła tamtym, bo ma dość marnowania czasu i nie obchodzi jej, co one myślą: ten tor zaprowadzi ich na sam skraj ogrodu zoologicznego i nawet jeśli Robby Montgomery tylko bawił się z nimi i chciał kontynuować polowanie, nawet jeśli tropi ich Destin w swojej kuloodpornej kamizelce — kiedy zbliżą się do ogrodzenia, może znajdą jakiś sposób, żeby przez nie przejść. Może czekają tam inni policjanci. Tacy, którzy nie biorą udziału w walce. Jest tam rozległy obszar leśny i jeśli zdoła znaleźć dobrą kryjówkę, w najgorszym razie będzie mogła przeczekać w niej z Lincolnem, aż policja rozprawi się ze wszystkimi strzelcami.

Rozciągnięty na słupach wzdłuż torów sznur białych lampek przedziela ciemność

pasami oświetlonego terenu. Co kilka kroków trzeba wyjść z bezpiecznego mroku. Na razie nie można tego uniknąć: tor jest wciśnięty pomiędzy staw znajdujący się po prawej stronie — otoczony płotkiem z nieokorowanych palików, ponieważ wszystko tutaj jest tak sztucznie naturalne — a szemrzący i pluskający strumyk po lewej.

— Idziemy po torach — oznajmia Lincoln i utrudnia Joan utrzymywanie równowagi, próbując przechylić się przez jej ramię i popatrzeć na ziemię. — Przejedzie nas -pociąg.

To, że się odezwał, budzi w Joan niepokój. Jeszcze jeden odgłos, jeszcze jeden trop, którym ktoś może za nimi podążyć. Teraz nieustannie zadaje sobie dwa pytania: „Czy oni mogą nas zobaczyć? Czy mogą nas usłyszeć?”

Nie pozwoli na to, żeby znów ktoś ich znalazł.

— Obejmij rękami moją szyję — szepcze, co dwa słowa robiąc przerwy na nabranie powietrza. — Pociągi nie jeżdżą tędy w nocy.

On przyjmuje to wyjaśnienie i umieszcza ręce tam, gdzie trzeba, a głowę na jej ramieniu.

Joan słyszy swoje kroki oraz kroki idących za nią i dopiero po chwili zdaje sobie sprawę, że nie słychać żadnych innych dźwięków. Strzelanina ucichła. Noc jest cicha, ale ta cisza wcale jej nie uspokaja.

III

Ta cisza jest przyjemna. Robby na nią czekał.

Wyobraża sobie Destina. Nawet w jego myślach jest on olbrzymi i nie mieści się w żadnych ramach. Ma ramiona jak marynarz Popeye, w ogóle bez nadgarstków. Wyobraża go sobie na koniu — jego koniu! — i wspomina ten jeden jedyny raz, kiedy Destin zabrał go na konną przejażdżkę po wzgórzach, ale Robby tylko udawał, że mu się to podoba. Sam pomysł był lepszy niż jego wykonanie. Robby myśli teraz o helodermie arizońskiej wytatuowanej na ramieniu Destina, superowej jak diabli, i o tym, jak kiedyś Destin nazwał go graczem zespołowym. Nigdy nie powiedział tak o Marku.

Świerszcze lub inne owady grają w żywopłotach. I one też milkną, kiedy Robby przechodzi obok. To dobrze.

Jest taki teleturniej, w którym postać z kartonu wspina się na górę, tak jak teraz Robby wchodzi na to wzgórze, i jeśli jakiś głupi uczestnik nie odpowie na pytanie, ten kartonowy ludzik spada i znika. Włazi wyżej i wyżej, nie wiedząc, kiedy zostanie strącony.

Lewa, lewa, lewa, prawa, lewa.

Robby słyszy tupot nóg Marka na betonie gdzieś z przodu, za tablicą z napisem AFRYKA. Jest prawie pewny, że to Mark — policjanci zapewne nadejdą od strony wejścia do ogrodu. Ogląda się przez ramię i wydaje mu się, że widzi, jak idą w kierunku jeziora, przechodząc przez chmurę dymu.

Znów odwraca się twarzą do kierunku marszu. Próbuje iść szybciej, ale nie może, bo jest tylko postacią z kartonu.

I nagle pojawia się przed nim Mark. Biegnie i niezdarnie wymachuje rękami. Nawet nie zwalnia na widok Robby'ego. Wpadają na siebie i Mark odbija się od niego jak piłka.

— Myślę, że zabili Destina — mówi, kontynuując bieg w dół zbocza. — Tak sędzę. Na pewno.

— Taak — odpowiada Robby, patrząc za oddalającym się Markiem. Karaluch przebiega po betonie obok jego nogi i ten karaluch... Taak, facet jest cholernie skuteczny.

— Wiesz, że nadchodzą? — pyta Mark.

Zatrzymuje się, widząc, że Robby nie idzie za nim.

— Wiem, że są już blisko — oświadcza Robby, dumny z tego, że choć raz Mark robi więcej hałasu niż on. To Marka należałoby uciszyć.

— Co robisz? — pyta Mark.

Robby nie jest tego pewny. Nie jest pewny niczego i nie jest to najgorsze uczucie. Wszystko jest bardziej niewyraźne niż przedtem. Zawinięto go w bibułkę, jak te bombonierki, które przysyłała mu matka, gdy przez jeden semestr studiował na uniwersytecie stanowym. A może jest jak te martwe pisklaki, które Harding owija brązowo-czerwonym mchem, zanim je zakopie. Pani Powell po części obudziła w nim dawnego Robby'ego, tak że utknął gdzieś pośrodku. Zobaczył ją w tym składziku i natychmiast rozpoznał, bo przez te czternaście lat wcale się nie zmieniła, może tylko

włosy ma jaśniejsze. Nie mógł uwierzyć, że nie zawołała go po imieniu, tak jak to robiła, kiedy wychodził z kolejki w bufecie. Potem się domyślił, że nie wie, kim on jest, nie zdołał się jednak powstrzymać i zwrócił się do niej po nazwisku.

— Chodź, Robby! — woła Mark.

Robby za moment się ruszy. Wie, że jego towarzysz panikuje. Najpierw jednak musiał wepchnąć panią Powell w jakiś kąt, żeby go zostawiła w spokoju. Zbyt wiele się po niej spodziewał. Miał nadzieję, że zrozumie, zobaczy, że on tu robi coś ważnego, że naprawdę jest kimś, kto myśli. Nie pojęła tego. Choć może jednak tak. Może dlatego poprosiła, żeby z nią został. Może w końcu zdołał do niej dotrzeć i będzie myślała o nim później. Będzie go pamiętała.

Dała mu pomarańczę. Wtedy. Dała mu poma-raćnę.

Czy był wówczas sobą?

Nie myślał o tym od lat, lecz kiedy ją zobaczył, niemal czuł smak tej pomarańczy. Siedział blisko jej biurka i rysował jakiś wykres, gdy wyczuł w powietrzu zapach owocu. Wtedy zawsze był głodny — nieważne jak dobrze karmiła go matka — więc wstał i próbował znaleźć jakiś pretekst, by podejść do biurka nauczycielki. Jego nogi same zaczęły się poruszać i zanim wymyślił jakiś dobry powód, już stał przed panią Powell. Patrzył, jak kroi pomarańczę na ćwiartki, a ona spojrzała na niego i powiedziała, że nie miała czasu zjeść rano śniadania. „Lubię pomarańcze” — powiedział. — „Lubię ich zapach”.

Zamiast odesłać go na miejsce, roześmiała się i podała mu kawałek owocu, a on go pochłoniął jednym kęsem, odgryzając miąższ od skórki. Nikt inny nie dostał kawałka pomarańczy, tylko on.

Nie potrafiłby jej zabić, i może to dobrze. Ale nie mógłby też zabić innych na jej oczach. Nawet po tym niesamowitym pokazie z toporkiem, który wisiał na ścianie, jakby przygotowany do rozrąbania drzwi. To było jak na filmie. Jednak nie mógł ich zabić, więc wypadł z szyn, jak zawsze. Jak mógł być taki pewny tego, czego chce, i wymyślić taki dobry plan, a potem wszystko zepsuć, nawet nie zdając sobie z tego sprawy?

Teraz jednak ma już świadomość, że nie zależy mu aż tak bardzo. Zaplątał się.

— Wynoszę się stąd — mówi Mark, poruszając się w ten idiotyczny, nieskoordynowany sposób. — Nie będę tu stał i czekał, aż mnie dopadną.

— Destin nie żyje — odpowiada Robby, choć brzmi to trochę jak pytanie.

— Wiesz, że tak! — krzyczy Mark.

Robby rusza za nim. Tak naprawdę nie chce być sam, kiedy to się stanie. I nieważne, gdzie będą. Policja na pewno ich znajdzie.

Czuje się tak, jakby przez wieczność wspinał się na to wzgórze i z niego schodził. Panczyk kolejnego karalucha — nie dość szybkiego — pęka pod jego butem.

Destin rozdeptałby takiego robala bosą stopą.

Mówił, że najlepszym lekarstwem na oparzenie trującym bluszczem jest odcięcie brzytwą wierzchniej warstwy skóry, a potem polanie rany wybielaczem. Robby kiedyś widział, jak on to robi, a Destin uśmiechał się, gdy lał wybielacz.

Może jednak istnieje jakieś życie po życiu, bo przecież to niemożliwe, żeby taki człowiek mógł po prostu zniknąć, stać się niczym.

Robby mógłby się nauczyć od Destina tak wielu rzeczy, gdyby miał więcej czasu. Zetknęli się ze sobą zaledwie dziesięć miesięcy temu, jeśli liczyć od momentu zawarcia znajomości w sieci. Robby sprzeczał się z Markiem o to, jaka broń jest najlepsza w dżungli. Uważał, że M14, jeśli twoi ludzie umieją celnie strzelać, ewentualnie Stoner, półautomat lub automat. Mark natomiast preferował AK-103s, więc zaczęli googlować, żeby rozstrzygnąć ten spór. Przejrzeli kilka forów internetowych i zorientowali się, że są tam ludzie dyskutujący o wszystkim, od domowego wyrobu granatów ręcznych po puszkowanie jeleniego mięsa. Nieco później zaczęli śledzić wątek o uratowanej przez zastępcę szeryfa rodzinie, która przez trzy dni błąkała się po leśnych ostępach Wyo-ming. Jeden z piszących skomentował wtedy, że nie powinno się nigdzie jeździć bez piły łańcuchowej i podnośnika, a oni nie wiedzieli, co do diabła ma na myśli.

Tak więc zapytali gościa, a był nim Destin, i wyjaśnił im, o co chodzi. Wiedział wszystko o wszystkim. Na przykład jak zastąpić bandaną filtr, kajdanki lub opaskę uciskową i że należy przykleić sobie zapasową krótką broń między łopatkami, na wypadek gdyby ktoś kazał ci podnieść ręce do góry i spleść na karku. Wiedział wszystko. Robby zawsze podziwiał ludzi, którzy wiedzą wszystko. Okazało się, że Destin mieszka poza miastem — jakieś pięćdziesiąt kilometrów stąd. Po wymianie całej góry e-maili pewnego dnia spotkali się na piwie.

Rozmawiali o różnych rzeczach i znów poszli razem na piwo. Mieli szczęście, ogromne szczęście, że taki facet chciał się z nimi zadawać. Pewnego dnia Destin zapytał: „Chcecie żyć wiecznie?”

Mark odrzekł: „Taak”.

A Destin powiedział: „Wiem, jak możemy to zrobić”.

Wyjaśnił im, że po masakrze w Columbine całkowicie zmieniła się taktyka policji. Zanim ci dwaj faceci wystrzelali pół szkoły, policja po otrzymaniu zawiadomienia o uzbrojonym człowieku w publicznym miejscu uznała, że wzięto zakładników, i czekała, aż przybędzie SWAT i zaczną negocjować. Jednak po tej historii w Columbine zmieniły się zasady. Gliniarze zrozumieli, że uzbrojony osobnik może zacząć strzelać do wszystkich wokół, by zabić jak najwięcej osób. I teraz już nie czekają. Mają nowy schemat działania. Czy na miejscu jest jeden policjant, czy dwudziestu, natychmiast wkraczają, atakują strzelca i jak najszybciej pakują w niego kule. Pewnie podziwiałbyś ich za to, gdybyś nie wiedział, jakie to palanty. Gliniarze mieli mnóstwo okazji do przećwiczenia nowej procedury, bo przecież po Columbine ta historia wciąż się powtarzała. Czubki też mają nowy schemat działania.

Destin lubił słowo „schemat”.

Mówił: „Schematy są niebezpieczne. Odzwyczajają od myślenia. Historia się nie powtarza, Rob. Każda sekunda niesie coś nowego”.

Stwierdził też: „Jeśli odkrywasz prawdę, musisz spróbować przekazać ją innym. Pokaż ludziom, jacy są ograniczeni, a może spróbują pokonać te przeszkody”.

Robby’emu spodobał się ten pomysł. Chciał pokazać innym, jacy są ograniczeni.

Wszystko zaplanowali. Robby i Mark, nie zwracając niczyjej uwagi, spokojnie wejdą do zoo, uprzednio ukrywszy tam broń. Destin pójdzie osobno, od początku z bronią w ręku, i będzie odgrywał rolę czubka. Był dobrym aktorem. Od razu załatwi kilka osób,

a potem urządzi pokaz. Weźmie zakładników i zamknie się z nimi w jednym z biur. Robby i Mark będą się trzymać z dala od wejścia do ogrodu. I jeśli nawet komuś uda się wydostać, to nic nie będzie o nich wiedział. Działania Destina przekonają policjantów, że mają do czynienia z pewnym schematem, ale scenariusz będzie zupełnie inny.

Tą częścią mieli się zająć Robby i Mark. Kiedy Destin będzie trzymał zakładników i przykuwał uwagę policji, oni dwaj zapolują. Całe zoo stanie się ich terenem łowieckim. Będą mogli zabić, kogo zechcą i jak zechcą. Żadnych reguł. Żadnych ograniczeń.

Policjanci w końcu się zorientują, że zostali wyprowadzeni w pole. Przecież siedzieli beczynnienie i pozwolili na taką rzeź. Każdy, kto ma laptopa lub telewizor, zobaczy, że policja to stado baranów. I cały świat się przekona, że wszyscy są stadem baranów. Że żyją jak te biedne głupie zwierzęta, nie myśląc samodzielnie, i że Destin, Robby i Mark ukazali im drogę zbawienia. Przebłysk geniuszu — to odpowiednie słowo na określenie wizji, której nikt dotychczas nie miał.

Destin miał rację, kiedy mówił, że każda sekunda niesie coś nowego, bo Robby jest tutaj i wie, co się stanie, a mimo to ledwie może w to uwierzyć. On wciąż tu jest, a Destina już nie ma. Taki był plan, lecz w tym momencie budzi on całkiem inne uczucia.

Dym snuje się w powietrzu niczym mgła. Robby czuje jego zapach.

Oczywiście kamizelka kuloodporna nie miała ocalić Destina. Jej zadaniem było tylko przedłużenie pokazu. Destin mówił, że wszystko, co ma jakąkolwiek wartość, wymaga ofiar. Popatrzcie na Jezusa, na Galileusza i Lincolna. „Tak — pomyślał Robby. — Tak”. Wszystko poza tym było jasne i oczywiste. Destin mówił o fasadach i rzeczywistości, a także o punkcie wejścia i wyjścia oraz polach ostrzału, ale Robby’ego niespecjalnie interesowały takie szczegóły. To był taki zaszczyt zostać wybranym przez Destina, który wiedział wszystko, a Mark jest przecież jego najlepszym przyjacielem. Jednak Robby’emu najbardziej spodobało się zakończenie.

On to zakończy i będzie to jedyne, co kiedykolwiek zrobił dobrze. Choć nie był nigdy ideałem, on to zakończy.

Zastanawia się, jak to będzie i co się teraz dzieje z Desti-nem. Wie, że ludzie opowiadają o aniołach i ulicach ze złota, a jego matka mówiła, że chciałaby, aby śmierć była jak sen w ciepłym łóżku, tyle że z otaczającymi ją i tulącymi się do niej ukochanymi osobami, jak wtedy, gdy był dzieckiem i spał razem z nią. Zadaje sobie pytanie, czy ona ma również na myśli jego ojca, tego kutasa, czy może woli, żeby nie wpuszczono go do nieba. Robby jednak nie chce mieć nikogo w pobliżu, nie chce być tulony, kochany ani wypełniony światłem. Żadnych takich bzdur. Nie chce niczego czuć. Ma nadzieję, że to jest jak leżenie w wannie, gdy wszystko poza twoim nosem jest pod wodą i niczego nie słyszysz, nie widzisz i nawet nie możesz powiedzieć, czy w ogóle masz ciało.

Ma nadzieję, że potem jest tylko nicość. Ta jest najpiękniejsza.

Są ludzie, którzy będą za nim tęsknić. Ten staruszek, który zawsze pamiętał jego imię, kiedy podchodził do lady CVS, ale przez tego palanta, szefa, Robby już go więcej nie zobaczy. Kasjerka w sklepie monopolowym zawsze się do niego uśmiechała. Jego babka nie ma innych wnuków, więc on jest dla niej ważny. Mark, ale Mark nie będzie za nim tęsknił, bo przecież jego też nie będzie. Matka, która wieki temu w sobotnie ranki zabierała go na pączki, kiedy tato spał, a potem przychodzili tutaj, do zoo. Zawsze chciała

patrzeć na ptaki, choć te były najnudniejsze, i nigdy nie mogła zapamiętać, jaka jest różnica między lwem morskim a foką.

„Foki” — mówiła.

„Lwy morskie” — poprawiał ją za każdym razem Robby.

Lepiej o niej nie myśleć.

Mark coś mówi. Są przy torze kolejki i Mark od wieków gadał o tym, że powinni pójść po nim i wydostać się na jakąś ulicę... Wiśniową? Dereniową?

To wszystko nie ma znaczenia. To taka ulga, że to wszystko nie ma znaczenia. Bo choć Mark się łudzi, że zdołają uciec, to piękne zakończenie już się zbliża i dopadnie ich, nieważne dokąd pójda. Robby musi tylko trzymać broń w ręku. Musi tylko odegrać swoją rolę.

Kamyk o ostrych krawędziach wpada do sandała Joan i ta na moment gubi rytm. Staw został z tyłu, a nad wąskim strumykiem po jej lewej stronie wyrosła gruba ściana bambusów, więc kobieta nie widzi już wody.

Kailynn jest kilka kroków za nią. Pani Powell dobre trzy metry za dziewczyną. Jest oczywiste, że nauczycielka z trudem za nimi nadąży.

— Idźcie dalej beze mnie! — woła.

Joan zwalnia. Porusza się niewiele szybciej od nauczycielki, czując każdym mięśniem ciężar Lincolna.

— Dobrze sobie radzisz — zapewnia ją.

Sama nie wie, czy mówi tak, by ją zachęcić do wysiłku, czy też by uniknąć kolejnej bezsensownej rozmowy.

Jednak pani Powell zwalnia. Przystaje też truchtająca Kailynn. Joan nie ma wyjścia, ona także musi się zatrzymać.

— Już nie mogę — mówi nauczycielka. — Kolano odmawia mi posłuszeństwa. Znajdę tu jakieś miejsce, w którym przeczekam to wszystko.

Joan kiwa głową i odwraca się.

— Nie możemy tak tu pani zostawić — oświadcza Kai-lynn, nie ruszając się z miejsca.

Na tym polega problem. To nie pora na okazywanie troski i uprzejmości ani nawet na rozmowy. Wszyscy mogą przez to zginąć. Czy jeszcze to do nich nie dotarło?

Joan doskonale to rozumie. Zostawi je tutaj. Przestała analizować możliwości. Przechodzi kilka kroków po torze. Udaje jej się nie odwracać i nie sprawdzać, czy one idą za nią. Nagle dobiega do niej huk wystrzału. Przestraszona, podskakuje po tak długiej, bo trwającej kilka sekund lub kilka minut ciszy. Nad głową Joan eksploduje jedna z białych lamp i pierwsza idiotyczna myśl, która przychodzi jej do głowy, jest taka, że pewnie zepsuła się żarówka. Zaraz jednak kobieta kojarzy huk z odgłosem tłuczonego szkła. Dochodzi do tego trzask drewna i złamana gałąź lagerstremii nad jej głową.

Robby Montgomery się z nimi bawi.

Albo poluje na nich Destin — maszyna do zabi-jania.

Jednak w tym momencie tożsamość strzelca nie ma znaczenia.

Znów słyhać trzask pękającego drewna i uciekinierów obsypują spadające liście. Joan ogląda się za siebie. Choć raz, dzięki Bogu, te dwie nie mają ochoty gadać. Rozpoznają świst kul i znów biegną, nawet przygryzająca dolną wargę pani Powell. Każdy rys twarzy nauczycielki zdradza ból i nic na to nie można poradzić. Joan usiłuje dostrzec coś za plecami swoich towarzyszek, ale tor wije się w prawo i lewo, więc widać tylko krótki odcinek.

Strzelanina umilkła, lecz Joan wydaje się, że słyszy tupot nóg.

Po dwudziestu lub trzydziestu krokach docierają do placu zabaw z jego głazami i mostem linowym. Potem do posążków żaby i żółwia, pozostałych po przejściu Meduzy. „Jestem żółwiem, jestem żółwiem” — mówił Lincoln, siedząc w toalecie i udając, że

sedes jest jego skorupą. Albo gdy wciskał się pod otomanę lub nakrywał sobie plecy poduszką. „Jestem żółwiem”.

Joan biegnie szybciej. Ciężko dyszy i czuje klucie w piersi. Nauczycielka z trudem dotrzymuje jej kroku. Minęły plac zabaw i już widać brodzik z nadal działającymi fontannami.

Karuzela z zastygłymi w bezruchu zwierzętami.

Mimo swojego sapania Joan słyszy, jak nauczycielka stęka przy każdym kroku. Znow ogląda się za siebie i nie widzi śladu strzelców. Jednak w oddali rozlega się chrzęst żwiru. Nie sądzi, żeby to był wytwór jej wyobraźni.

— Zejdź z toru — rzuca przez ramię do nauczycielki. — Schowaj się za karuzelą. Nie wychodź.

— Co takiego? — pyta kobieta.

— No już, pani Powell! — syczy Joan, która nie może sobie przypomnieć imienia tej kobiety. — Proszę się schować za karuzelą, to pani nie zobaczą.

Nie ma czasu na wyjaśnienia. Joan nikogo nie widzi, więc może Robby Montgomery, jego przyjaciel i maszyna do zabijania też nie mogą ich zobaczyć. Jednak skoro ona ich słyszy, strzelcy również mogą podążać za odgłosem kroków i przyjść po tym torze, a ona jest coś winna nauczycielce, prawda? Poza tym to wszystko uprości — ubędzie jedna osoba, która ją spowalnia. Pani Powell schodzi z toru, kulejąc, a potem znika za rzędem drewnianych koni, żyraf i antylop.

Już jej nie ma.

Kailynn nadal biegnie za Joan. Mijają zakręt i tracą z oczu karuzelę, a potem tor znów zakręca i wyprowadza Joan do kompletnie jej nieznannej części zoo, tej, którą widywała tylko z okna kolejki, i kobieta już nie słyszy żadnych kroków za plecami, choć nie jest tego do końca pewna.

„Gdybyście ogolili tygrysa — powiedział raz konduktor tej kolejki — odkrylibyście, że skórę też ma w -paski”.

Wszystko spowija błogosławiona ciemność. Nie jest tak głęboka jak na biwakach w czasach dzieciństwa Joan, ale taka jak w mieście. Nie całkowita. Teraz wszyscy troje są już za wybiegami. Bambusy zasłaniają to, co robią zebry i strusie. Otacza ich gąszcz, tu i ówdzie rozjaśniany dekoracjami zawieszonymi na drzewach: jarzący się duch, chmara nietoperzy, szkielet szczerzący zęby w uśmiechu.

Już nie muszą się trzymać tego toru. Las jest pełen cieni i księżycowego blasku. Mogą zniknąć między drzewami.

— Myślisz, że oni...? — zaczyna Kailynn, ale reszta zdania ginie w sapaniu.

Joan zeskakuje z toru i ląduje niezgrabnie, bo jej sandał przekręcił się na grubym żwirze. Odzyskuje jednak równowagę i pędzi przez chwasty, szyszki i butwiejące kawałki drewna. Zapada się niemal po kolana w stertach suchych liści. Nie widzi, gdzie stawia stopy.

Przed sobą, bliżej niż się spodziewała, dostrzega to, co zapewne jest zewnętrznym ogrodzeniem zoo, niemal niewidocznym i bardzo niepozornym — to tylko druciana siatka, wysoka na jakieś dwa metry. Bez trudu mogłaby przez nie przejść, gdyby zdjęła buty. Słyszac, jak Kailynn dochodzi do niej i zatrzymuje się, Joan podbiega do

ogrodzenia. Nie wie, czy nie jest pod prądem. Powinna na chwilę puścić Lincolna, ale nie ma na to czasu. Ostrożnie dotyka drutu. Ryzyko się opłaca. Nie poraża jej prąd.

Mogą się wydostać.

Podsadzi Lincolna. Pokaże mu, jak wkładać stopy w otwory siatki i dobrze trzymać się płotu palcami, a potem wgramoli się za nim, przytrzymując się jedną ręką. Drugą pomoże mu się wspinać. Pewnie trochę to potrwa, ale dadzą radę uciec.

Nagle Joan coś dostrzega. Po drugiej stronie, tuż przy płocie, znajduje się rów głęboki na co najmniej półtora metra. Jego dno ginie w mroku. W żaden sposób nie zdoła pokonać tej przeszkody z Lincolnem, nawet gdyby udało się przeprowadzić go przez płot. W dodatku pomysł wspinania się z nim jest chybiony, nawet przy pomocy Kailynn. Wisząc na płocie, staliby się dla strzelców łatwym celem.

Joan odwraca się i biegnie w przeciwną stronę, przez tor kolejki, w kierunku zwierząt.

Ze stęknieniem przeskakuje przez leżący pień. Już nigdy więcej tego nie zrobi, nie z dwudziestokilogramowym ciężarem w ramionach. Natrafia na niewidoczne w ciemnościach nierówności terenu. Tymczasem Lincoln jęczy, uderzywszy brodą o jej ramię. Wszędzie leżą butwiejące pnie drzew, grube pokłady zeschniętych liści, a w górze wiszą podświetlone nietoperze. Po lewej stronie, za ogrodzeniem mającym co najmniej dwa i pół metra wysokości, Joan dostrzega sylwetki żyraf.

Czuje, jak Kailynn znów chwyta ją z tyłu za koszulę, naciągając materiał. Słyszy jej oddech. Nie było już więcej strzałów, co dobrze wróży pani Powell. Dobiegają jednak do nich inne dźwięki. Teraz, gdy ona i Kailynn stąpają po zeschniętych i szeleszczących liściach, Joan wyraźnie rozpoznaje chrzęst kamieni pod podeszwami butów. A jeśli ona słyszy tych mężczyzn, to oni z pewnością słyszą ją.

Gdyby nieco zwolniła, poruszałaby się ciszej. Ale jeśli to zrobi, dogonią ją szybciej. — Są za nami — szepcze do Kailynn, obróciwszy głowę.

Dziewczyna puszcza jej koszulę. A potem, bez słowa, skręca w lewo, w stronę żyraf. To dobry pomysł, żeby pobiec w innym kierunku, bo razem stanowią dla strzelców pewniejszy cel. W grupie wcale nie jest bezpieczniej. Prawdę mówiąc, Joan chciała się pozbyć Kailynn, czyż nie? Z -nauczycielki i tej dziewczyny więcej było kłopotu niż pożytku.

To dobrze, że zostanie sama z Lincolnem. Tak będzie bezpieczniej.

Dlatego nic nie mówi, kiedy dziewczyna się od niej oddala. Wciąż widzi ją biegnącą zygzakiem. W tym momencie zahacza o coś nogą — może to sandał w końcu się rozleciał, a może jego pasek pękł, kiedy się potknęła. W każdym razie czuje, przerażona, że się przewraca. Lincoln wyslizguje się z jej objęć i Joan słyszy swój piskliwy okrzyk. Mocniej przyciska synka do siebie, usiłując jednocześnie obrócić się tak, żeby nie upaść na niego. „Nie upuść go, nie upuść go, nie upuść go” — myśli, przewracając się. Jakoś udaje się jej okręcić tak, że chłopiec znajduje się niemal na jej plecach, kiedy ona ląduje na ziemi, ale mocno uderza o nią łokciem. Siła uderzenia rozrywa jej uścisk i Joan wypuszcza syna, choć tak bardzo pragnęła tego uniknąć. Widzi, jak Lincoln uderza głową w warstwę liści.

Wylądowała na lewym ramieniu i łokciu, z dłonią wygiętą do tyłu, i przygryzła

sobie wargę. Zlizuje z niej krew. Próbuje poruszyć ręką, wyciągając ją w stronę syna. Kończyna wykonuje polecenie, ale dłoń już nie.

Lincoln nie płacze. To ją przeraża. W ciemności nie widzi jego twarzy, tylko zarys sylwetki. Jednak chłopiec porusza się, próbując wstać. Przez moment leży na plecach niczym żółw.

— Lincoln — szepcze Joan.

— Upadliśmy — mówi mały.

— Nic ci nie jest? — pyta go, po czym podpełza do synka i przytula go sprawną ręką.

— Nic mi nie jest — odpowiada chłopiec, dotykając jej wyciągniętą dłonią. — Masz mokrą twarz.

Ona ociera zakrwawione usta. Nasłuchuje.

Głosy.

Niezbyt blisko, ale wystarczająco.

Jej prawy but przepadł, zniknął gdzieś jak ta dziewczyna. Joan ma podrapane do krwi kolano, a jej dłoń wciąż zwisa bezwładnie, choć tak bardzo nie boli. Czyżby zwichnęła sobie nadgarstek?

Z niesprawną ręką nie będzie mogła nieść Lincolna.

Słyszy jakiś inny dźwięk pośród drzew za ich plecami. Szelest gałęzi. Trzask deptanej ściółki z sosnowych igieł lub liści. Ciche szmery. Może to wiatr, ale przecież nie wieje. To pewnie wiewiórka.

Podnosi się na klęczki, tłumiąc jęk, gdy obciąża rozbite kolano, a potem wstaje na nogi. Ziemia jest zimna i niezbyt twarda. Joan porusza palcami stóp i zastanawia się, czy zdjąć również lewy sandał. Ale teren jest usiany ostrymi przedmiotami, więc decyduje, że lepiej będzie mieć choć jedną stopę obutą. Robi krok w kierunku Lincolna, napina mięśnie, a mimo to znów o mało nie upada, gdy kolano samo się pod nią ugina.

Odgłosy z tyłu się zmieniają. Już nie słychać trzasków, ale kroki, powolne i ostrożne.

Tamci nadchodzą. Joan nie ma pojęcia, czy są dziesięć kroków, czy kilometr od niej, a policja wciąż jakby nie istniała. Kolano nie utrzymuje ciężaru jej ciała. Ma skręcony nadgarstek i nie może dostatecznie szybko się poruszać. Coś ostrego wbija się w podeszwę jej bosej stopy.

„Zaraz umrzemy” — myśli i nienawidzi się za tę myśl.

Nie. Nie jest zwierzęciem. Kieruje nią coś więcej niż sama wola walki i strach. Ujmuje dłoń Lincolna i szeptem mówi mu, że nadchodzą uzbrojeni ludzie, a on, biegnąc razem z nią, robi zbyt wiele hałasu, trąca liście i jest powolny. Nie uda się im.

Nie zdołają uciec zabójcom.

Kroki, kroki.

Znów słyszy gdzieś w pobliżu szelest strumienia, wodę szmerzącą na kamieniach. Chłopiec potyka się i prawie upada, a ona podnosi go jedną ręką i ciągnie do przodu, po czym zwinnie stawia na nogach, nie przestając biec.

Podnosi wzrok, patrzy na drzewa. Mogliby się wspiać — niejeden z tych dębów o rozłożystych i rozwidlonych konarach ma koronę zdającą się sięgać ciemnego nieba.

Jeśli jednak się myli, jeśli zostali zauważeni, to nie będzie miała drogi ucieczki. W dodatku nie jest pewna, czy zdoła podnieść Lincolna. Nie ma nawet czasu zastanowić się nad tym, a musiałaby to zrobić natychmiast. Myśli o umieszczeniu małego w jakimś bezpiecznym miejscu.

Nie na drzewie. Gwałtownie zmienia kierunek, nawet nie zwalniając. Przygląda się jednak otoczeniu, plamom cienia i światła księżyca oraz wiszącym tu i ówdzie dekoracjom. Przed sobą widzi liściaste krzewy, gęste i sięgające jej do ramienia. Kieruje się ku nim i najpierw przesuwa dłonią po gęstwinie, szukając kolców, a potem unosi dolne gałęzie, by zrobić miejsce dla chłopca.

— Zostań tutaj — mówi do niego, lekko przyciskając bezwładną dłoń do jego pleców i kierując go do kryjówki. — Połóż się na brzuchu i wpełznij tam. Bądź cicho. Nie wołaj mnie. Nie odzywaj się nawet słowem. Ja zaraz wrócę. Jeśli narobisz hałasu, oni cię zabiją.

Chłopiec jęczy, ale już się czołga, a ona nie chce dać mu czasu na spieranie się, a sobie na zastanowienie się, co robi.

— Postaraj się zniknąć — mówi, już wyprostowana. Jeszcze przez sekundę głaszcze go po główce — tak cudownie okrągłej — nim pozwoli gałęziom opaść. Lincoln znika pod nimi, ale wystają mu stopy. Joan sięga więc ręką w gąszcz i lekko zgina mu nogi.

Potem biegnie chwiejnym truchcikiem, czując się jak jakaś godna pożałowania bohaterka horroru. Usiłuje zapomnieć o bólu, wydłuża krok i przyspiesza, nie zważa na rozbite kolano. Nagle dostrzega zawieszzonego na drzewie pająka, wielkiego jak piłka plażowa, z palącą się w środku żarówką, z bezwładnie zwisającymi odnóżami, ledwie rozpoznawalnego. Owad szczyrzy w uśmiechu ociekające krwią kły.

Joan ma nadzieję, że Lincoln zostanie w miejscu, w którym go zostawiła. Bo tak mu kazała, a poza tym jest już ciemno i mały nie wie, gdzie jest. Nie ma skłonności do włóczęgi, zwłaszcza wtedy, gdy jest zdenerwowany. Zostanie tam. Jednak hałasowanie to inna sprawa. Nie ma pewności, że będzie siedział cicho.

Z całej siły uderza stopami o ziemię. Liście wzbijają się spod jej nóg, rozsypują się w pył. Biegnać, chwytając gałąź i łamie ją. Podejrzewa, że te dźwięki bardziej przypominają odgłosy towarzyszące przejściu słonia niż kobiety. Uznawszy, że dostatecznie oddaliła się od Lincolna, wydaje krótki, lecz donośny okrzyk: „Ach!”, który jej zdaniem powinien być słyszalny z daleka. Głośno i powoli wypuszcza powietrze z płuc. Przyciska niesprawną dłoń do brzucha. Znowu zaczyna biec, ile sił w nogach, bo choć chce ich zwabić, to nie ma ochoty dać się zabić.

Słyszy, jak za nią idą, uparcie, też robiąc dużo hałasu. Czuje zadowolenie, żądę mordy i strach.

Mija wybieg dla słoni, a po lewej stronie niepozorny, kilkupiętrowy budynek z szyldem głoścącym wielkimi literami ZAKŁAD BADAŃ NAD DUŻYMI ZWIERZĘTAMI. W świetle księżyca błyszczą srebrzyście rynny i blaszany dach. Gna przed siebie, smagana przez liście i gałązki. Biegnie obok nisko zawieszzonego sznura lampionów z dyń. Kolano boleśnie pulsuje i przypomina jej o poruszającej się z trudem nauczycielce; wyobraża ją sobie bezpiecznie ukrytą za karuzelą. Myśli o ciągnącej ją za

koszulę Kailynn. Tęskni za ciepłem tej dziewczyny i nawet zniosłaby jej bezmyślną paplaninę. Ona ma takie ładne włosy, jak powiewające czerwone wstążki.

Jeśli Lincoln zobaczy światło, czy zaciekawiony nie wyjdzie z kryjówki? Albo jeśli zbliży się do niego jakiś owad, a on ucieknie przed nim lub wyobrazi sobie, że słyszy jej głos? Wie, że ogarnia ją panika, ale zaczyna biec szybciej. Myśli o koszach na śmieci, solidnych i bezpiecznych, i o tym, że Lincoln był niekłopotliwym dzieckiem, dużo jadł i spał, ale od czasu do czasu godzinami zanosił się niepohamowanym płaczem. Pamięta, jak zirytowana i zniechęcona zastanawiała się — przez moment — co by było, gdyby zamknęła go w szafie. A jeśli matka tamtego dziecka też odczuwała strach, zmęczenie i beznadzieję, tylko po tysiącokrotnie silniej, więc w chwili słabości zostawiła dziecko i uciekła, czy Joan nie może tego zrozumieć?

Nie. Nie może.

A jeśli ci mężczyźni zbliżali się tak jak teraz do niej? Co jeśli tamta matka schowała dziecko i próbowała odciągnąć od niego zabójców? Joan wyobraża sobie uciekającą kobietę z rozwianymi włosami i pustymi rękami.

Nie była wobec niej sprawiedliwa.

Ziemia lekko się ugina pod jej nogami. Zapewne to liście, ściółka i sosnowe igły. Lecz nagle — obutą stopą — staje na czymś innym i czuje ściskanie w gardle. To coś jest miękkie i spore, niewątpliwie z krwi i kości. Joan odskakuje, ale zaraz sobie uświadamia, że to coś jest jednak o wiele za małe, by było człowiekiem. Spogląda pod nogi i w słabym świetle widzi trójkątny koniec skrzydła i okrągły łeppek.

Ptak. Martwy ptak.

Mieli wypożyczoną z biblioteki książkę o starożytnych Grekach i ich sportach. Lincoln powiedział jej, że w tamtych czasach grywano w hokeja martwym ptakiem, a kiedy któraś drużyna zdobyła punkt, ptak ożywał i odlatywał.

„Lincoln”. Znów każe swoim nogom się poruszać.

Słyszy brzęk poruszanych przez wiatr dzwoneczków.

Raz, gdy wuj wiózł ją na wieś, uświadomiła sobie, że sygnalizacja skrzytu w samochodzie tyka w rytmie rymowanki, której właśnie się nauczyła — „ma-ła la-la i-dzie z da-la, ma-ła la-la i-dzie z da-la”. Migacz wyśpiewywał ten rytm za każdym razem i było najzupełniej jasne i oczywiste, że wypowiada te słowa. A teraz te pobrzękujące dzwonki powtarzają imię Lincoln, tak samo jak liście pod jej nogami: „Lincoln, Lincoln, Lincoln”.

Udało się jej odciągnąć tych zabójców od chłopca, ale jednego nie przemyślała: jak ma się ich pozbyć. Nie może doprowadzić ich do syna. A nawet nie jest pewna, czy wciąż za nią idą. Już ich nie słyszy, przez odgłos swoich kroków i sapanie. Zatrzymuje się.

Nic. Tylko szelest liści i pobrzękiwanie dzwoneczków.

Nie zatrzymuje się na długo. Może ich zgubiła, a może wciąż ją tropią. Tak czy owak, zbyt długo zostawiła Lincoln samego. Musi do niego wrócić. Jeśli zauważy tych mężczyzn, zmieni kierunek.

Trudno układać plany, omijając pnie drzew i kępy jeżyn. Trudno utrzymać kierunek marszu, gdy nie wiadomo, w którą stronę iść. Wszystkie drzewa wyglądają tak samo. Nagle Joan ociera sobie ramię o szorstką korę olbrzymiej sosny i słyszy strumień.

Jest tak zdezorientowana, że nie ma pojęcia, jak dojść do ogrodzenia zoo ani jak wrócić do Lincolna. Wie jednak, że ten strumyk poprowadzi ją we właściwym kierunku. Plusk wody zagłuszy jej kroki, a kiedy zobaczy tego wiszącego pająka, będzie wiedziała, że jest blisko.

W tej części lasu jest ciemniej. Już nie widzi ziemi pod nogami. Zwalnia, by sobie nie skrócić nogi w kostce.

Uświadamia sobie, że już zupełnie nie czuje ręki, od barku do dłoni, co może powinno ją niepokoić, ale w tym momencie jest istnym błogosławieństwem. Podąża za pluskiem wody i w ciemnościach o mało nie wchodzi do strumienia. Zauważa go w ostatniej chwili. Ślizgając się na liściach, wyteża wzrok, by dostrzec jego koryto — wąską szczelinę w poszyciu lasu. Z łatwością mogłaby ją przeskoczyć, gdyby miała sprawne obie nogi.

Choć strumyk jest wąski, jego stromy brzeg ma ponad metr wysokości. Nie wiadomo, jaką ma głębokość. Widać tylko lśniąca czarna pustkę. Joan wydaje się, że nieco dalej, w górze, a może w dole strumienia, dostrzega mostek. Nie ma pojęcia, kto mógłby go tu potrzebować, ale ona może po nim przejść, idąc do Lincolna. Jednak czy powinna przekraczać ten strumień? Może Lincoln jest po tej stronie? Pociera czoło, wściekła na siebie, bo powinna myśleć trzeźwo, być skupiona...

Znów słyszy idących przez las mężczyzn, choć była taka pewna, że zgubili jej ślad. Słyszy, jak nadchodzą, i znów myśli o ojcu — miał takie szerokie dłonie — urywającym łebki gołębiom.

„Lincoln, Lincoln, Lincoln”. Ich stąpające po liściach nogi też wyśpiewują jego imię.

I nagle dostrzega ich, dwa poruszające się cienie. Są bliżej, niż się spodziewała. Nie może tracić czasu na sprawdzanie, czy Robby Montgomery jest jednym z nich. Zamiast tego kładzie się na ziemi i wyciąga na brzuchu.

Niebawem ich buty stratują ją jak martwego ptaka. Opiera obie dłonie o ziemię, odpycha się i stacza po stromym brzegu, obracając się tak, żeby najpierw do wody wślizgnęły się jej stopy, co pozwoli wyhamować impet.

Bezszelestnie zapada w toń.

Ziąb zapiera jej dech. Joan zaciska powieki, bo jeśli zgubi szkła kontaktowe, niczego nie będzie widziała. Jednak ociera oczy, otwiera je, mrugając, i kiedy czuje się pewniej, usiłuje ocenić sytuację. Gdyby stała, woda sięgałaby jej zaledwie powyżej kolan, lecz ona leży niemal poziomo i niemal całkowicie zanurzona. Nie widzi nic poza stromym brzegiem strumienia. Mrok jest gęsty i bezpieczny. Opuszcza ręce w wodzie, opiera palce o dno strumienia, a potem zaczyna poruszać się jak foka i ciągnie za sobą swoje unoszące się w wodzie ciało.

Zakłada, że gdyby ci mężczyźni ją widzieli, już zasypaliby ją gradem kul.

Zimna woda wyostrzyła jej zmysły. Joan jest świadoma każdego odcisku dłoni, jaki pozostawia na dnie strumienia, każdego kamienia ocierającego się o jej kolano, każdej kropli wody na policzku, każdego centymetra przybliżającego ją do mostka. Myśli o tym, że jeśli tu nie umrze, to być może zupełnie przypadkowo wpadła na doskonały pomysł. Dotrze do Lincolna w taki właśnie sposób — płynąc i nie robiąc hałasu. Musi tylko

zaczekać, aż ci mężczyźni przejdą obok niej, a potem odszukać synka.

W ciągu kilku sekund dociera do mostka, a potem obraca się w wodzie i wpływa pod niego. Dotyka głową desek od spodu. Nadal jest jej zimno, więc kuli się, obejmując ramionami kolana. Kawałki czegoś miękkiego — glonów? — ocierają się o jej rękę. Nie podoba jej się, że nie widzi, co znajduje się w wodzie, ale to oznacza, że ci mężczyźni też nic nie widzą.

Jedynym dźwiękiem jest szum płynącej wody. Zanurza się w niej głębiej. W wodzie jest cieplej niż na powierzchni. Mostek jest łukowato wybrzuszony, a ona spogląda przez półokrągłą lukę między drewnem a lustrem wody.

Oto nadchodzą: widzi dwie pary nóg na brzegu strumienia. Widzi je tylko do kolan, bo resztę zasłania mostek. Jeden z nich przeskakuje przez strumyk długim i zwinnym susem, lądując na jednej nodze. Joan jest zadowolona, bo albo nie zauważył mostka, albo uznał, że korzystanie z niego jest poniżej jego godności. Czeka, aż drugi mężczyzna przeskoczy na drugą stronę, ale ta para nóg nie rusza się z miejsca.

„No dalej — myśli Joan. — Skacz”.

Drugi mężczyzna nie przechodzi przez strumień. Natomiast ten pierwszy przeskakuje z powrotem — czyżby przywołany? — i podchodzi do swojego towarzysza, jakby zamierzali o czymś porozmawiać.

Joan nie sądzi, że staliby tam, gdyby ją zauważyli. Chyba że nadal traktują to jak grę i usiłują ją wypłoszyć. Zanurza się jeszcze głębiej, obracając głowę tak, że jej policzek wystaje ponad wodą, i teraz widzi ich lepiej. Są do niej odwróceny plecami. Jeden z nich ma krępa budowę i luźną kurtkę Robby'ego Montgomery'ego. Drugi jest niższy i wąski w ramionach. To pewnie przyjaciel Robby'ego.

„A więc są tutaj — myśli Joan. — Obaj”.

Gdzieś tam są nauczycielka, dziewczyna, Lincoln, potwór w kuloodpornej kamizelce i — prawdopodobnie — policja. Gdzieś tam są wrzeszczące dziecko w koszu na śmieci i jego zaginiona matka. Joan myśli o swoim synu i stertach jego plastikowych ludzików oraz o tym, że te ludziki czasem znajdują się w różnych nieoczekiwanych miejscach. Niekiedy Thor wpada za kanapę i wtedy gwiazdą programu staje się Żelazny Człowiek. Innym razem Jokerowi odłamuje się ręka, więc w roli czarnego charakteru występuje Trujący Bluszcz. Lincoln zmienia obsadę. Przerabia scenariusz.

Mężczyźni znajdują się najwyżej cztery metry od niej. Uświadamia sobie, że gdzieś zostawiła torebkę. Zaczyna się bać, że wpadnie w hipotermię. Przypomina sobie opowieść wuja o tym, jak on i jego najlepszy przyjaciel Larry, wówczas nastoletni, przejeżdżali po moście nad rzeką Tennessee i jakaś kobieta jadąca z naprzeciwka znalazła się na ich pasie. Samochód, którym jechali, przebił barierkę mostu, a oni sami wypadli przez przednią szybę do rzeki. „Czy bolało, kiedy przeleciałeś przez szybę? — pytała. — Bolało, kiedy uderzyłeś w wodę? Dotknąłeś dna?” Ale wuj nie mógł odpowiedzieć na te wszystkie pytania. Nie pamiętał nic od momentu uderzenia głową w deskę rozdzielczą przy ostrym hamowaniu, aż do chwili gdy wychodził na brzeg, bez butów. „Czy zrzuciłeś je z nóg, płynąc? A może same spadły, kiedy leciałeś w powietrzu?” Była zafascynowana tym, co był w stanie jej powiedzieć: że miał muł między palcami nóg, a kobieta prowadząca tamten samochód była siwowłosa. Ale najbardziej działało na jej wyobraźnię to, o czym

nie mówił. Wyobrażała sobie siebie na jego miejscu i różne rzeczy, których nie pamiętał.

„Czy uratowałeś Larry’ego? — pytała go. — Czy wzywałeś pomocy?”

„Leżałem tam — odpowiedział. — Po prostu leżałem w błocie i patrzyłem”.

Joan znów błądzi myślami. Jej mózg drętwieje. Stopy też są zdrętwiałe, do tego stopnia, że zaczyna się zastanawiać, czy będzie zdolna na nich ustać, nie mówiąc już o chodzeniu. Na nic się nie przyda Lincolnowi, jeśli nie będzie mogła się ruszyć.

A ci mężczyźni wciąż tam stoją.

Nie, jednak ruszają się, rozdzielają. Ten chudy odchodzi od strumienia, a Robby Montgomery chwyta go za rękę. Jednak niższy mężczyzna wyrывa mu się, po czym robi coś, czego ona nie może dostrzec w tych ciemnościach, i znika jej z oczu.

Robby stoi tam przez moment. Joan już ma zaryzykować odwrót w dół strumienia, ale nagle dostrzega jeszcze kogoś innego. Widzi parę poruszających się ostrożnie nóg i natychmiast poznaje te chude kończyny oraz obcisłe dżinsy, zanim jeszcze zobaczy gęstą grzywę włosów.

Widzi, jak Kailynn zauważa przed sobą Robby’ego — i cała sztywnieje. A także moment, w którym dziewczyna dostrzega, że ten drugi strzelec też tam jest, i próbuje odwrócić się na pięcie. Trzyma coś w ramionach.

Joan nie słyszy, o czym oni rozmawiają. Jeśli cofnie się jeszcze dalej pod mostek, niczego nie będzie widzieć.

Może tak będzie lepiej.

Zanurza się głębiej w wodzie.

III

Kailynn ledwie powstrzymuje okrzyk przerażenia, gdy tuż przed nią, szeleszcząc na suchym sosnowym igliwiu, przebiega jakieś zwierzę. Lecz gdy stworzenie zastyga z przednimi łapkami w powietrzu, rozpoznaje je. To świstak. Nie sądzi, żeby były tutaj jakieś dziko żyjące świstaki. Jednak cała ich rodzina jest w części dla oswojonych zwierząt. Mężczyźni zapewne potraktowali ten budynek tak samo jak inne i być może owce, kozy i szetlandzkie kucyki też biegają po ogrodzie. Świstak ostrożnie zbliża się do niej, a ona stoi nieruchomo, pozwalając mu, by trącił nosem jej nogę. Nigdy nie widziała, żeby te stworzenia robiły w pawilonie cokolwiek innego poza kuleniem się w najdalszym kącie wybiegu, bo wszystkie stłoczone tam zwierzęta nienawidzą dzieci.

Może ten świstak jest w szoku. Może szuka pomocy.

Bardzo powoli wyciąga rękę. Trzeba wyciągnąć rękę do psa i zaczekać, aż do ciebie przyjdzie. Jej zdaniem tak samo jest z małymi dziećmi i z tym świstakiem. Ostrożnie bierze go na rękę, a jemu najwyraźniej to się podoba. Przytula się do niej. Gdy Kailynn idzie przez zagajnik, chwytą łapkami końce jej włosów. Jej młodsza siostra też tak robi i mocno tuli się do niej, kiedy jest przestraszona. Kailynn robi kilka kroków — od jakiegoś czasu już nie biegnie. To nie ma sensu. Nie wie, gdzie jest, ani w którą stronę powinna pójść.

Ale to nieprawda. Musi poszukać Lincolna i jego matki. Powinna była zatrzymać się pięć minut temu, kiedy zobaczyła, jak upadają na ziemię. Ale nogi same ją poniosły i zanim w końcu wzięła się w garść, była zupełnie sama. Oni już pewnie są martwi — ten Lincoln miał takie ładne włosy i uśmiechał się do niej. A może żyliby, gdyby nie zaprowadziła ich do tego składziku. Zdawało jej się, że robi dobrze. Przekonywała siebie, że w ten sposób im pomoże. Ale co jeśli to nie była prawda? Może tylko nie chciała być sama. Młodsza siostra, która czasem budzi się przestraszona w środku nocy i lubi się przytulić, jak świstak, prosiła ją, by nie przenosiła się do własnego pokoju, ale Kailynn nie jest pewna, czy właśnie dlatego z nią została. Skąd ma wiedzieć, czy zrobiła to dla siebie, czy dla siostry? W tym drugim wypadku jest dobra, a w pierwszym samolubna, a jeśli jest samolubna, to prawdopodobnie przez nią zginęli chłopczyk i jego matka.

Głaszcząc główkę świstaka.

Przed sobą widzi światło i w pierwszej chwili wydaje się jej, że wróciła do głównej części zoo, zaraz jednak uświadamia sobie, że to jakaś duża, oświetlona bryła między drzewami. Zwalnia, podchodząc do wojskowego namiotu, który mógłby pomieścić dziesięć osób. Obok stoi niekompletny dżip. W namiocie pali się światło i Kailynn widzi sylwetki trzech mężczyzn siedzących na środku. Przestraszona, dopiero po chwili dostrzega, że to manekiny. Kolejna dekoracja na Halloween.

Wycofuje się, lekko zmieniając kierunek marszu, odchodząc od światła.

Chciałaby mieć jeszcze paczkę krakersów. Może oreos albo famous amos. Nienawidzi tego paskudnego posmaku, jaki ma w ustach. Ojciec śmiałyby się z tego, że ona myśli o ciasteczkach — na pewno by się śmiał. Kailynn pamięta, jak pewnego razu były z siostrą same w domu i właśnie parzyła herbatę, gdy usłyszały jakiś hałas w salonie, a potem ochrypiły śmiech. Uciekły do łazienki, ale kiedy się w niej zamknęły, Kailynn uświadomiła sobie, że zapomniała zabrać telefon i nie może wezwać policji, więc

odrobinę uchyliła drzwi. A tam stał mężczyzna. Przerazliwie wrzasnęła, a dopiero potem rozpoznała ojca, który śmiał się do rozpuku.

Ojciec uwielbia robić im kawały. Kailynn sądzi, że to przypomina mu czasy, kiedy sam był dzieckiem, zanim zaczął nosić garnitury, chodzić na wywiadówki i sprzątać kocie rzygi. Był synem kszesnastolatki i przed skończeniem szesnastu lat uszkodził dwa samochody. Specjalnie rzucał piłką bejs-bolową w szyby. Pewnego popołudnia złapał dwadzieścia trzy koty i powrzucał je wszystkie na dach.

Łobuz. Tak wszyscy go kiedyś nazywali. Inne dzieci się go bały. Nawet w dorosłych budził strach.

Ludzie mówią, że ona jest miłą dziewczyną. Ma prawie same szóstki i piątki. Rzadko czwórki. Odkłada pieniądze w banku. Teraz jednak wolałaby być dziewczyną robiącą zamieszanie, a nie taką, która kilkakrotnie czyta swoje wypracowania, by znaleźć wszystkie błędy. Chciałaby wiedzieć, jak budzić strach. Chciałaby pracować wczoraj, a nie dzisiaj, i mieć przy sobie gaz pieprzowy, jak radziła jej matka. Chciałaby zjeść lody almond joy i leżeć w łóżku, na miękkich poduszkach. Żałuje, że nie złapała małego Lincolna i nie uciekła, ratując go, i że nie jest kobietą z gry wideo, z pistoletami na biodrach i obfitym biustem. Chciałaby, aby ojciec wziął ją na ręce i poniósł. Ale jest za ciężka.

Świstak drży w jej objęciach. Wszystkie dźwięki, które słyszy Kailynn, brzmią jak kroki. Dziewczyna przystaje, nasłuchując, ale wydaje się, że to tylko szelest liści.

Jej ojciec jako chłopak miał zadatki na psychopatę. Ludzie mówią, że jeśli dręczysz zwierzęta, zostaniesz seryjnym mordercą, prawda? Tymczasem został jej ojcem i nie ma w nim zła. Widywała, jak płakał, oglądając opery mydlane.

Kailynn słyszy plusk wody i znów wydaje się jej, że to kroki. Podkrada się bliżej, żeby sprawdzić, czy coś nie porusza się między drzewami.

Widzi strumyk i dobiega do niej czyjś głos, ale kiedy przystaje, by nadstawić uszu, nic nie słyszy. Chowa się za drzewem, czeka i obserwuje. Ma wrażenie, że stoi tam bardzo długo, w końcu głaszcze świstaka i ostrożnie podchodzi do strumienia. Zastanawia się, czy powinna przejść na drugą stronę, a potem... Nauczyciele mówią jej, że ma problem z koncentracją i czasem błądzi myślami. Nagle podnosi wzrok i widzi przed sobą Robby'ego.

— Hej — mówi do niego, jakby podszedł do niej w szkole, kiedy wpychała książki do swojej szafki, jakby nie stał tam z bronią i chyba ładownicą na ramieniu. Kailynn jest zmieszana swoją odzywką, a także swoim zmieszaniem, które uważa za idiotyczne. Jednak nie da się tego cofnąć.

Nagle wyczuwa, że ktoś za nią stoi. Kiedy się odwraca, jest tam drugi mężczyzna.

Ten jest niższy niż Robby. To ten sam, który wcześniej wszedł do restauracji, wtedy jednak wydał jej się większy. Teraz dziewczyna patrzy na niego i myśli, że nie wygląda na silniejszego od niej, może nawet mogłaby go pokonać, gdyby się mocowali na rękę. Ale on trzyma dwa pistolety, duży i mały. Posyła Kailynn przyjacielski uśmiech, od którego jeszcze bardziej zasycha jej w ustach.

— Zaprzyjaźniasz się? — pyta, najwyraźniej zwracając się do Robby'ego.

Robby nic nie odpowiada. Nie odzywa się nawet -słowem.

Kailynn obraca się, żeby mieć ich obu na oku. Robi dwa kroki do tyłu, oglądając się za siebie, bo nie chce wpaść do strumienia. Zbyt mocno ścisną świstaka, który wierci się w jej ramionach. Ma nadzieję, że nie zrobią mu krzywdy. Robi trzeci krok w tył, i czwarty. Nagle jakaś gałąź z trzaskiem pęka pod jej butem i dziewczyna podskakuje, przestraszona.

Oni tylko na nią patrzą. Drzewa rzucają na ich twarze ruchliwe cienie, tak głębokie, że Kailynn nie jest w stanie z tych twarzy niczego wyczytać.

— Po jednym na drogę? — pyta ten, którego ona nie zna, i rzuca oba pistolety na ziemię. W pierwszej chwili Kailynn czuje ulgę, ale mężczyzna doskakuje do niej tak szybko, że zanim zdążyła zareagować, już okręca ją i przyciska do swojej piersi, twardej jak z metalu.

— Co z twoją wielką ucieczką? — pyta Robby, a ona nie odrywa od niego oczu. Nie odwróci od niego wzroku. Nie wie dlaczego, ale to wydaje jej się ważne.

— Ona nawet włosy ma jak cholerny pisklak! — mówi ten, który ją trzyma. — Nie zastanawiałeś się kiedyś, czy potrafiłbyś skrócić komuś kark gołymi rękami? Mój kuzyn opowiadał, że tak jest tylko na filmach, bo kark jest zbyt umięśniony, ale nie sądzę, żeby ona była dobrze umięśniona.

Kailynn nie widzi mówiącego, ponieważ ten trzyma ją mocno, stojąc za jej plecami. Chwycił ją za włosy, za warkoczyki, i ciągnie mocno. Dziewczyna czuje piekący ból, gdy szarpnięcie odrywa kilka kosmyków. Mężczyzna odchyła jej głowę do tyłu, odsłaniając szyję. Ona wciąż nie odrywa oczu od Robby'ego, którego ledwie teraz widzi.

Chciałaby rzucić jakąś ciętą uwagę. Opluć trzymającego ją mężczyznę, ugryźć go lub powiedzieć, że nie jest dość silny, aby zrobić jej coś tymi cienkimi jak wykałaczki rękami. Ale nie może, bo ten już zaciska palce na jej szyi tak mocno, że pewnie zostaną sińce. Kailynn spogląda na Robby'ego. On wciąż trzyma broń w ręku. Z jego twarzy nie można nic wyczytać.

— Pomóż — usiłuje mu powiedzieć.

— Mówiłem ci, żebyś poszła do lwów morskich — mówi Robby, albo tak jej się wydaje.

Kailynn wierzga i chyba trafia chudzielca w łydkę, ale to nic nie daje.

Chmury płyną nad drzewami. Upuściła świstaka i teraz zaciska obie dłonie na nadgarstkach mężczyzny, wbija paznokcie w jego ciało.

Myśli o ojcu i o tym, jak ciskał koty na dach. Opowiadał, że rzuca nimi jak dyskiem, i czuł taką satysfakcję, kiedy widział, jak zwierzę szybuje w powietrzu.

Kailynn ma skórę pod paznokciami. Krew na palcach. Mężczyzna sapie jej do ucha i teraz czuje tylko jego uścisk. Próbuje obrócić jej głowę obiema rękami, wbijając jeden palec w małżowinę jej ucha. Dziewczyna spazmatycznie chwyta powietrze. To boli.

Robby coś spostrzega.

— Już prawie — dyszy głos przy jej uchu.

Ktoś zaczyna krzyczeć. Kailynn nie domyśla się co i nawet nie jest pewna, czy naprawdę słyszy ten głos. Napastnik ją puszcza. Dziewczyna upada na ziemię, rękami łagodząc impet. Liście kleją się do jej poranionych palców.

Wciąga powietrze ze świstem, niczym ranne zwierzę.

Rozgląda się za świstakiem, ale nie widzi go w tych zeschniętych liściach. Potem spogląda na Robby'ego, który nadal tam tylko stoi. Jest na niego bardziej wściekła niż na tego, który próbował ją udusić.

Jednak Robby patrzy na coś za jej plecami. Kailynn odwraca się, wciąż ciężko dysząc, i dostrzega kobietę wylaniającą się z wody niczym jakiś bagienny potwór.

— Robby Montgomery! — krzyczy ta kobieta, być może kolejny raz, ale Kailynn słyszy ją dopiero teraz.

To matka Lincolna, w przemoczonym ubraniu. Nie ma przy niej chłopca, co napętnia dziewczynę przerażeniem.

Świstak jest tuż przy niej. Kailynn podnosi ciepłe zwierzę. Wszyscy oprócz niej się poruszają.

Matka Lincolna wychodzi z wody.

Mężczyzna, który dusił Kailynn, rzuca się do swoich upuszczonych pistoletów.

Robby wymierza broń w kobietę.

— Pani Powell kazała mi powiedzieć — zaczyna matka Lincolna, już tak blisko, że Kailynn słyszy odgłos kropel wody spadających na liście.

Dusiciel chwytając za lufę pistoletu i pospiesznie obraca go w rękach, żeby wycelować w kobietę. Robby uniósł swoją broń tak, że jest skierowana w niebo, ale nadal mocno ją trzyma. Kailynn ma wrażenie, że napastnik uszkodził jej krtań.

— Pani Powell powiedziała, że chce z tobą porozmawiać — mówi Joan. — Pani Powell chciałaby pomówić z tobą jeszcze raz.

Kailynn uświadamia sobie, że matka Lincolna próbuje zasłonić ją własnym ciałem. Tymczasem Joan powoli przysuwa się coraz bliżej. Ściekająca z jej włosów woda opryskuje teraz buty i rajstopy dziewczyny.

Robby Montgomery obserwuje je obie.

— To nie ma znaczenia — mówi i kieruje broń w ich stronę, a Kailynn myśli: „No cóż, jednak miało przez jakieś trzy sekundy”.

Teraz dusiciel już pewnie trzyma pistolet, a ona przypomina sobie o ojcu i jego kotach.

W tym momencie rzuca świstakiem.

Źle wycelowany pocisk nie dosięga dusiciela ani Robby'ego. Jednak przelatuje tak blisko twarzy tego pierwszego, że ten gwałtownie się uchyla, traci równowagę i upada w chaszcze. Robby Montgomery spogląda na przyjaciela i w następnej chwili Kailynn już nic nie widzi, gdyż matka Lincolna chwytając ją w ramiona, muskularne i mokre. Jest silniejsza, niż się wydaje. Podnosi ją i ciągnie, krzycząc jej coś do ucha, po czym wrzuca do strumienia.

Kailynn upada głową naprzód, połyka wodę, a wtedy tamci zaczynają strzelać.

Joan słyszy świst kul, ale nie czuje ich uderzeń. Strzały padają w dużych odstępach, a ona trzyma głowę nisko, muskając brodą powierzchnię wody. Jej dłonie i stopy zapadają się w warstwy mułu i glonów. Zadaje sobie pytanie, czy Robby Montgomery i ten drugi widzą ją i Kailynn. Ledwie może zobaczyć swoje poruszające się w wodzie ręce, a oni na pewno nie mogą dostrzec nic więcej. Być może dlatego jeszcze żyje.

Czuje przeszywający ból, gdy nagle jakiś kamień wbija się w jej nogę. Kailynn krztusi się, może wymiotuje, ale jednocześnie równie szybko jak Joan pełźnie na czworakach w kierunku mostka.

Są już pod mostkiem. Nie jest tu bezpiecznie, ale może zdołają się schronić pod nim choć na kilka sekund. Kule przestały świszcząć.

— Idź dalej — Joan szepcze do Kailynn, słysząc dwie pary nóg kierujących się w stronę mostka. To oczywiście, bo przecież gdzie indziej, jak nie tutaj ona i Kailynn mogłyby się schować?

Znów popycha dziewczynę do przodu. Obie wychodzą spod mostka i pospiesznie umykają. Na moment drewniane deski zupełnie przesłaniają obu mężczyzn. Potem Joan dostrzega niewyraźne zarysy ich głów, które już się nie poruszają. Chyba dochodzi między nimi do jakiejś szarpaniny, jakby jeden usiłował odciągnąć drugiego. Jeśli to sprzeczka, to trwa krótko, bo już po chwili obaj przeskakują przez strumyk i znikają w lesie po tamtej stronie.

Joan zaczyna się zastanawiać, czy Robby Montgomery choć raz wystrzelił ze swojej broni. Nie zabił jej, kiedy wychodziła z wody, mokra i bezbronna. Ale teraz nie czas o tym myśleć.

— Wszystko w porządku — mówi do Kailynn, która potknęła się i poszła na dno, po czym kaszląc i plując, wypłynęła na powierzchnię. Joan obejmuje ją i podnosi, ociera wodę spływającą z jej twarzy. Czuje na ramieniu ciężar jej włosów, widzi tę delikatną szyję. Nie mogą tu stać, więc popycha ją naprzód.

Znów ruszają przed siebie. Joan widzi, jak Robby Montgomery i ten drugi biegną między drzewami, oddalając się od strumienia. Jednak nie jest tego pewna. Teraz nie może być pewna niczego.

Noga Joan boleśnie pulsuje i kobieta zaczyna się zastanawiać, czy nie zraniło ją coś innego niż kamień. Skupia myśli na zimnej toni i mulistym dnie. Przypomina sobie, jak podczas pierwszej wycieczki nad to jezioro Lincoln podejrzliwie popatrzył na wodę i zapytał: „Czy w Ameryce żyją hipcie?”. Niczego na świecie nie pragnęłaby bardziej, jak znów go nieść na swoich rękach.

Oddaliły się z Kailynn już spory kawałek od mostka, wciąż zanurzone po szyje w czarnej toni. Joan ledwie widzi strzelców, którzy stali się dwoma cieniami. Kiedy nakazuje swoim rękami i nogami poruszać się szybciej, jeden z nich wyciąga rękę w kierunku strumienia i nagle ktoś puszcza kamieniem kaczki na wodzie.

Joan natychmiast sobie uświadamia, że to musi być coś innego, ale tak właśnie brzmi — jak kamień uderzający o powierzchnię wody, trzy lub cztery razy. Ułamek

sekundy po tych plaśnięciach słyszy cztery trzaski, jeden po drugim. Potem jeden z tych dwóch mężczyzn z głośnym jękiem osuwa się na kolana.

Wtedy Joan pojmuję.

Kule uderzają nie tylko w wodę, ale i w ziemię, podrywają liście do góry. Nie jest to grad pocisków, jaki można zobaczyć na filmie, ale równe serie. Bardziej przypominają one to, co Joan pamięta z polowań na gołębice: huk, ojciec przeładowujący broń i kolejny wystrzał.

Patrzy na tych dwóch i teraz jest pewna, że to Robby Montgomery osunął się na kolana. Dostrzega jego szerokie bary i zbyt luźną kurtkę. Drugi mężczyzna ucieka.

Ktoś do nich strzela.

Najwidoczniej w lesie są świetliki, które spłoszył huk strzałów. Migoczą wśród drzew. Robby Montgomery upada na twarz i już się nie rusza. Joan prawie nie potrafi odróżnić go od otoczenia. Teraz jest tylko ciemnym kształtem leżącym na ziemi. Stertą liści. Kłoda.

Ten drugi wciąż ucieka.

Joan odwraca głowę, by popatrzeć na drugi brzeg. W końcu dostrzega nadchodzących policjantów. Idą w dwóch grupach, ustawieni w klin: jeden na przedzie, a dwaj inni po bokach, parę kroków za nim, co przypomina klucz lecących gęsi. Ale jest jeszcze czwarty mężczyzna, zamykający szyk.

Spomiędzy drzew wylania się trzecia grupa, nadchodzi ze wszystkich stron, w innym szyku, bezgłośnie, zwartą gromadą uzbrojonych ludzi w grubych kamizelkach, nadających im wygląd mieszkańców innej planety. Kule wciąż przelatują w powietrzu. Joan wydaje się, że słyszy każdą z nich: świst, po którym następuje huk wystrzału — i te dźwięki stają się coraz głośniejsze. Znowu wystrzały. Kolejne kule przelatują nad jej głową lub kilka kroków od niej. Po tych pierwszych seriach nie uderzają już w wodę, ale i tak za blisko.

Joan zanurza się tak głęboko, jak tylko może.

Uciekający mężczyzna wykrzykuje coś niezrozumiale.

Świetliki migoczą rytmicznie.

Udaje jej się tak skoordynować ruchy rąk i nóg, żeby mogła wycofać się jeszcze dalej. Jednak zwichnięty nadgarstek odmawia posłuszeństwa i Joan idzie pod wodę. Teraz to Kailynn ją podnosi. Jakieś glony oplotły jej rękę — nie, to palce dziewczyny otoczyły jej ramię, zacisnęły się na opatrunku, który przedtem ona sama nałożyła. Joan wydmuchuje wodę z nosa.

„Dalej, dalej, dalej” — nakazuje sobie.

Nikt ci nie mówi, że to tak wygląda.

Nikt nie mówi, że nie będziesz mogła odróżnić dobrych facetów od złych, że huk wystrzałów nie tylko ogłusza, ale i oślepia, ponieważ mimo woli zamykasz oczy. Dźwięki dochodzą ze wszystkich stron, tak że nie wiesz, dokąd mogłabyś uciec.

Joan nie rozumie, skąd tam się wzięło tyle dymu.

Jeden z tych ludzi — dobry? — jest już prawie przy strumieniu, zaledwie kilka kroków od niej. Wydaje się bardzo wysoki. Nadchodzi jako pierwszy ze swojej czwórki, nie biegiem ani spacerem, ale w sposób będący połączeniem obu, szybko i zwinnie.

Podchodzi tak blisko, że Joan jest pewna, iż mężczyzna ma na głowie coś w rodzaju nauszników. Nie widzi jego twarzy — a chciałaby ją zobaczyć. Nie chce go zaskoczyć swoim nagłym pojawieniem się, bo byłaby jeszcze jednym ciemnym kształtem w mroku. Kto wie, co mógłby wtedy zrobić?

Mężczyzna trzyma w ręku wycelowaną broń i Joan dostrzega błysk, kiedy on naciska spust. Nie przypuszczała, że można zobaczyć kulę wylatującą z lufy.

Wie, że to nie świetliki.

Widzi, jak napastnik, który nie jest Robbym Montgomerym, wciąż strzelając, upada na ziemię. Przeczłołguje się za pień sosny i jest prawie niewidoczny z miejsca, z którego ona patrzy...

„Ruszaj” — nakazuje sobie Joan.

Coś przelatuje w powietrzu tuż obok. Tym razem kobieta czuje ciepły podmuch tuż przy swoim policzku.

Myśli, że Lincoln może błąkać się w tym lesie. A gdyby wpadł na tę lub inną grupę strzelających — teraz jest tu Bóg wie ilu policjantów, którzy najwyraźniej nie żartują, kiedy już w końcu postanowili ratować sytuację — nie wiedziałby, co oznacza świst kul, i mogliby go zabić w mgnieniu oka. Jest taki maleńki i na pewno trudno byłoby go rozpoznać w tym dymie i zamieszaniu.

Coś znów uderza w wodę tuż obok jej nogi. Joan idzie na czworakach, wciąż zanurzona w wodzie. Porusza się coraz szybciej. Kailynn podąża za nią. Joan mówi sobie, że jeśli strzelanina ucichnie, to zacznie wzywać pomocy. Policjanci rozpoznają kobiecy głos i być może jej nie zastrzelą. Jednak odgłosy wystrzałów nie cichną. Ona i Kailynn miarowo poruszają rękami i nogami, jakby wiosłowały w kanoe — raz i dwa. Joan nie zważa na ziąb ani na zmęczenie, zwichniętą rękę, zdrętwiałe stopy i wszystkie inne słabe, zdradzieckie części ciała. Kiedy ogląda się za siebie, nie widzi już żadnych postaci. Może policjanci ścigają uciekającego przez las zamachowca. Wokół są tylko drzewa i cichnące w oddali strzały.

Jeszcze przez krótką chwilę pozostają w wodzie. Joan ma wrażenie, że pokonały wiele mil, choć zapewne nie było to więcej niż sto metrów.

— Wyjdźmy z wody — szepcze do Kailynn i dopiero teraz uświadamia sobie, że jej towarzyszka nie odezwała się słowem. — Nic ci nie jest?

— Gdzie jest Lincoln? — pyta dziewczyna, kiedy gramolą się na błotnisty brzeg.

Joan traci równowagę i musi się podeprzeć rękami.

— Ukryłam go w krzakach. Musimy go znaleźć. Kule... — wyjaśnia, urywając, bo brakuje jej tchu.

Podnosi się. Spódnica, jakimś cudem wciąż w jednym kawałku, klei się jej do nóg. Kailynn też wstaje. Joan podtrzymuje ją jedną ręką. Myśli, że dziewczyna to zupełnie przeciwieństwo Lincolna, który jest taki jędrny i twardy. Kosteczki Kailynn są jak porcelana, jak bombki choinkowe, jak uszka filiżanek.

Ona jest jak te wszystkie kruche i śliczne rzeczy. Joan nie pojmuje, dlaczego nie dostrzegła tego od razu. Naprawdę była ślepa, jeśli nie zobaczyła tego w tej dziewczynie z włosami jak czerwone wstążki i nogami jak origami, która smaży kurczaki i ma ojca gotowego dać się za nią pokroić.

— Ukryłaś go? — powtarza Kailynn.

— Byli już tak blisko — wyjaśnia Joan i świat rozmazuje się jej w oczach.

Zbiera siły. Chwyta spódnicę, podciąga ją powyżej kolan. Spogląda w dół i widzi ściółkę z sosnowych igieł, ale już nie czuje ich pod bosą stopą. To dobrze. To pomaga, ten brak czucia. Zaczyna biec i to też jest dobre. Zwykle tak się czuje po przebiegnięciu dziewięciu lub dziesięciu mil, bezcielesna, jakby jej umysł się odłączył. Tyle że raz za razem się potyka i przytrzymuje drzew. Widocznie nadal jest połączona ze swym ciałem, które ją zawodzi.

— Znajdziemy go — mówi do Kailynn.

— Znajdziemy go — odpowiada dziewczyna, a jej włosy, gdy biegnie, unoszą się i opadają. Joan myśli, jakim okropnym pomysłem było to, że podbiegła do strzelców, nie wiedząc, co powiedzieć, powtarzając jedynie nazwisko pani Powell, jakby było ono jakimś talizmanem, magicznym mieczem, który pokona Robby'ego Montgomery'ego. Ma szczęście, że obie z Kailynn nie zginęły. A przecież żyją, więc może nie było to takie beznadziejne.

Joan nie czuje już nic poza przeszywającym bólem nogi, sięgającym aż do biodra. Wciąż się potyka. A mimo to biegnie. Nic wokół nie wygląda znajomo, lecz gdy jest bliska paniki, widzi przez gałęzie wiszącego pająka, a raczej bezkształtną, świecąca bryłę, i kieruje się ku niemu. Cicho woła Lincolna, zwalniając. Jest trzy metry od kryjówki. Dwa metry i znów go woła.

On nie odpowiada.

— Był tutaj? — pyta Kailynn.

— Jest tutaj — mówi Joan.

Podchodzi do pająka, wyciąga rękę i dotyka jego nogi, kołysze nią. Jest pewna, że to ten sam pająk. Uważnie spogląda na las — który to był krzak?

Ten. Z pewnością to ten sam.

Strzelanina w oddali słabnie, jak trzaski prawie gotowego popcornu.

Podbiega do krzaka, nie wiadomo dlaczego na czworakach, i zanim dotknie gałęzi, jej głowa jest już przy ziemi, a kolana wbijają się w ściółkę. Podnosi gałęzie i zagląda pod nie.

Nie ma go tam.

— Lincoln? Lincoln? — woła mimo to, nie mogąc oderwać oczu od tej pustki na ziemi i pod gałęziami, od miejsca, w którym go nie ma.

— Lincoln?

Chce zawołać głośniej, ale głos ją zawodzi. Znów na nogach, rusza w jedną stronę, przystaje i próbuje pójść w inną.

Nie ma pojęcia, gdzie go szukać. Nie ma planu działania. On nigdy się nie oddala. Zawsze trzyma ją za rękę. Tylko raz się zgubił, na jarmarku, ale znalazła go po trzydziestu sekundach.

— Lincoln? — woła, jeszcze zbyt cicho.

— Lincoln!

Wrzeszczy. Nagle odzyskała głos i przeciągle wykrzykuje imię synka, nie przejmując się, czy ktoś ją usłyszy. Kai-lynn też go woła.

Lincoln nad wyraz pilnie usłuchał jej poleceń. Gdziekolwiek jest, nie odzywa się. Była pewna, że jest zbyt przestraszony, by wyjść z kryjówki, ale może się pomyliła. Co teraz?

Niektórych możliwości nie zamierza brać pod uwagę.

Nie musi się nad nimi zastanawiać, dopóki coś robi.

Zaczyna krążyć. Zatacza coraz szersze kręgi wokół krzaka, pod którym go zostawiła. Przewraca się i z impetem ląduje na rękach. Wstaje.

Zagląda pod krzaki, pod każdą nisko zwieszającą się gałąź. Znów mija tego pająka, a także dwadzieścia identycznych drzew, pusty w środku pień i długi całun bluszczu okrywający młode drzewko. Jest też zawieszony plastikowy duch, niepodświetlony, w kształcie dzwonu.

Joan przystaje, porusza stopami i czuje, że coś jest z nimi nie tak. Dotyka ich i odkrywa, że ma zakrwawione palce. Jednak ich nie czuje, więc to nie ma znaczenia.

Kailynn wciąż jest gdzieś w pobliżu i woła Lincoln.

Joan skupia wzrok na ziemi, która przedtem wydawała się jednym, powtarzającym się nieskończenie wiele razy skrawkiem zeschniętych liści i gałązek. Ale teraz, patrząc na nią, dostrzega szczegóły. Księżyc świeci dostatecznie jasno, by mogła zobaczyć grzyby i pas palmowych liści. Pęknięty balonik z wciąż przywiązany doń sznurkiem. Plastikowy kocioł czarownicy, przewrócony do góry dnem, przekrzywiony. Długi sznur białych światełek przecinający ciemność. Przechodzi pod nim i unosi gałęzie wierzby. Ponownie mija drzewko okryte bluszczem i rozchyła ten całun. Jest gęsty i zwarty — Lincoln nie mógłby się tu skryć.

Brakuje jej słów na opisanie tego, co teraz czuje. To jak rodzący się w piersi krzyk, mający pięści i pazury. Nie dopuści do tego, by się wyrwał.

Znów dostrzega tego świecącego pająka, teraz jako niewyraźny kształt wiszący między drzewami. Spogląda za siebie, na to wszystko, przez co przeszła, i widzi kępę uschniętych roślin — chyba wisterii. Podchodzi do tej kępy, dostatecznie szerokiej, by mógł się w niej ukryć chłopiec. Po lewej stronie rzuca jej się w oczy kocioł i tym razem zwraca uwagę na coś, co umknęło jej za pierwszym razem.

Gwałtownie przystaje.

Kocioł przekrzywiony jest tak, że coś może pod nim być. Jakby jego krawędź opierała się na kostce lub stopie małej nóżki.

„Jestem żółwiem, jestem żółwiem, jestem żółwiem”.

Joan myśli o Lincolnie, chowającym się pod otomaną i wystawiającym głowę.

Podnosząc kocioł, już wie, że ma rację — wie, że znalazła nić porozumienia między jego umysłem a swoim. Jest milion takich nici, które łączą ich mózgi, i te nici mówią jej, kiedy on robi się głodny albo kiedy zbiera mu się na płacz. I mówią jej, że spodoba mu się pomysł użycia żelków jako butów małego astronauty. Czasem te nici się płaczą: w końcu powiedziały jej, że on zostanie pod krzakiem. Jednak ta właśnie nić jest doskonała, miękka i ciepła jak futerko Sierżanta, srebrzysta jak hełm Thora. Ta nić prowadzi ją do niego.

Jedną ręką podnosi tandetny plastikowy kocioł. Mały jest pod nim, zwinięty w kłębek jak precel, w takiej pozycji, jaką ona pamięta z dzieciństwa, z próbnych

alarmów na wypadek tornada. Zasłania głowę rękami i nie podnosi jej.

Joan odrzuca kocioł na bok. Opada na kolana.

— Lincoln?

— Mamusiu — mówi chłopiec, patrząc na nią z uśmiechem. I ciało znów odmawia jej posłuszeństwa. Nie jest nawet w stanie go objąć. On się jednak porusza, co wrywa ją z odrętwienia. Łapie go pod pachy, ciągnie po liściach i przytula. Jest taki ciepły. Taki masywny i ciężki.

To coś w jej piersi znika przy tym dotknięciu, ponownie rozchodzi się w powietrzu, we krwi i kościach. Joan przesuwa dłonią po twarzy syna. Wydaje się spokojny, ale ma mokrą buzię.

— Wiesz, czym byłem? — szepcze jej do ucha.

Joan nie odpowiada od razu. Przełyka ślinę.

— Żółwiem.

— Tak! — mówi ekstatycznie Lincoln, wtulając twarz w jej włosy. — Dlaczego jesteś taka mokra?

Odrywa ręce od jej wilgotnych włosów. Ona ujmuje jego dłoń i bierze go w ramiona. Jest zziębnięta do szpiku kości, ale chyba jeszcze nigdy nie czuła tak ogromnej ulgi.

— Wpadłam do strumienia — wyjaśnia.

— Och. Co to za hałasy? Strzelają? Znowu strzelają?

Prawie już nie słyszała odgłosu wystrzałów.

— Jest tu policja — szepcze. — Dlaczego nie odpowiadałeś, kiedy cię wołałam?

— Nie słyszałem cię. Byłem zniknięty.

Joan z trudem wstaje i trzyma chłopca za ręce, nie wiedząc, czy będzie w stanie go podnieść. Może powinni pójść w stronę wejścia do zoo, bo to, co tam się działo, na pewno już się skończyło.

— Nic mu nie jest? — pyta zdyszana Kailynn, która pojawiła się przy nich.

— Nic — odpowiada Joan, robiąc krok do przodu. — Jest cały i zdrowy. Chodź.

Dziewczyna zbliża się ku niej. Joan dostrzega liście w jej włosach.

— Co ci się stało? — pyta niespodziewanie Kailynn.

Joan nie rozumie, skąd to pytanie. Jednak nagle sobie uświadamia, że znów klęczy. W pierwszej chwili zaskakuje ją to, że ziemia jest taka wilgotna.

Boli.

Słyszała, jak ludzie opowiadali, że kiedy ich postrzelono, nic nie czuli. Kto tak mówił? Ktoś prawdziwy czy wymyślony? Ona czuje. Przypomina sobie, jak ojciec przypadkowo przytrzasnął jej rękę drzwiami, kiedy była mała — nie wiedział, że ona za nim stoi. Ból był tak ogromny, że nawet nie wiedziała, skąd się rozchodzi.

Kailynn chwyta ją za rękę i ciągnie. Joan spogląda w dół, widzi krew wypływającą z jej nogi tak szybko, że można obserwować, jak tworzy kałużę.

Dziewczyna przestaje ją ciągnąć.

— Och — mówi. Jej twarz jest tak blisko, a palce są teraz takie delikatne. — Och.

Joan dotyka swojego boku — on też jest mokry. Nie może poruszać nogami. Jednak nadal słyszy tupot nóg w lesie, niezbyt daleko. Nie ma pewności, czy walka naprawdę już

się skończyła.

Tu nie jest bezpiecznie.

— Weź go — prosi dziewczynę, ruchem głowy pokazując Lincolna. — Wróćcie do wybiegów dla zwierząt. Usiądźcie gdzieś i zaczekajcie na policję.

Podoba jej się ta wizja. Nie widmowi policjanci w lesie, ale zwarty tłum umundurowanych ludzi, bez broni. Oni powiedzą jej synkowi, że już po wszystkim. Zapewnią mu bezpieczeństwo. Znajdą panią Powell i opatrzą jej kolano, a potem zajrzą do każdego kąta, zakamarka i kosza na śmieci. Wyjmą niemowlę i odnajdą jego matkę. Dziecko i matka znów będą razem. Oczywiście takie musi być zakończenie.

Lincoln mocno obejmuje ją obiema rękami.

— Nie — protestuje, kręcąc głową, z szeroko otwartymi oczami. — Nie.

— Idź — mówi Joan i odpycha go od siebie. Ale potem znów go przyciąga. Nie może się powstrzymać, nie może pozwolić mu odejść, nie przytuliwszy go najpierw. Klęczy na jednym kolanie, z drugą nogą wysuniętą do tyłu. Obejmuje go i przyciska twarz do jego skroni, wdycha jego zapach, zawsze inny, a zarazem taki sam, teraz przypominający chleb. Stara się zapamiętać to każdą komórką swojego ciała: dłoń synka w jej włosach, miękką skórę opinającą kość policzkową, to „mamusiu”. Jeśli mogłaby zatrzymać na zawsze jakieś wspomnienie, to właśnie o nim.

— Jesteś moim chłopcem. Idź z Kailynn. — Jednak wie, że to nie jest w porządku. Przecież on potrzebuje czegoś więcej. Musi zrozumieć. — Ja powinnam tu poczekać, skarbie. Na razie. Dopóki nie przyjdą lekarze.

Lincoln płacze.

Joan niechętnie puszcza palce synka. Pomimo nieznośnego bólu, który czuje, kiedy jego ręka wysuwa się z jej dłoni, pozwala mu odejść.

— Chcę zostać z tobą — woła chłopiec.

Kailynn bierze go za rękę i splata swoje palce z jego paluszkami. Chłopiec mówi tym swoim drżącym głosem „w porządku” i idzie za nią. Joan kręci się w głowie. Na moment zaciska powieki i przestaje widzieć cokolwiek. Potem znów otwiera oczy.

Teraz lampki rozwieszane na drzewach wydają jej się piękne. Nie rozumie, dlaczego nie dostrzegła tego wcześniej. Są niczym długie białe sznury pereł lub księżyców. W oddali lśni pomarańczowa kula. Od drzew odbijają się migoczące czerwone i niebieskie światła.

Joan wciąż klęczy. Nie, leży na brzuchu. Zaraz się podniesie, teraz jednak przygląda się, jak Lincoln biegnie, trzymając Kailynn za rękę. Porusza się szybciej, niż mogłaby sobie wyobrazić, biegnie, wyrzucając stopy na boki, w ten swój niezdatny sposób, który ona tak uwielbia. Nie biegnie szybko ani prosto, ale każda część jego ciała — ramiona, stopy, dłonie i łokcie — znajduje się w ruchu. I każda zmierza w inną stronę. Nie jest urodzonym sportowcem ten jej chłopiec.

Czuje w ustach smak krwi. Może znów przygryzła sobie wargę.

Lincoln, w miarę jak się oddala, wydaje się coraz większy. Joan jest na tyle przytomna, by pojąć, że coś jest nie tak. Jednak on wypełnia całe pole jej widzenia, przesłania zwisające gałęzie sosen. Jest tylko on. I jeszcze te światła. Jasne światła przecinające niebo jak wstęgi na festynie, kiedy była w szóstej klasie, ubrana w tę

lawendową sukienkę. Spojrzała wtedy na swoją wstęgę, długą i falującą. „Uważajcie, dziewczęta — powiedziała pani Manning, która kierowała całą tą męczącą imprezą. — To trudne”. A ona wymachiwała tą wstęgą jak wszyscy inni, raz po raz. Wstęgi w kolorze sorbetu, każda trzymana mocno przez parę rąk, wypełniły niebo. Palce Kailynn zaciśnięte na jej koszuli, dłoń Kailynn spleciona z ręką Lincolna, falujące wstęgi... I takie teraz są te światła. Piękne.

To są piękne rzeczy. Powinna się skupić.

Włosy wchodzą jej do ust, więc potrzęsa głową. Ziemia pod nią jest mokra.

Lincoln. Gdzie on jest? Musi się podnieść.

Na moment znów przestaje widzieć cokolwiek, a potem, gdy obraca głowę, dostrzega go w oddali, jego zmierzwione loki i klęczących wokół niego ludzi w ciemnych ubraniach. To miłe, że dorośli zważają na to, by go nie przytłaczać. Jednak nie jest pewna, czy on naprawdę tam stoi i rozmawia z policjantami. Może tylko miesza się jej w -głowie.

„To opowieść o chłopczyku o imieniu Steve, który wyrósł i został Jeźdźcem”.

„To opowieść o robotach i laserach”.

„To opowieść o tym, jak się ożenię, mamusiu. Będę miał żonę. Będzie miała na imię Lucy. Będę miał pięciu chłopców i pięć dziewczynek. Oni jednak urosną w moim brzuchu, a nie w jej, tak jak koniki morskie”.

Chciałaby znów usłyszeć tę jego opowieść. Jeśli zamknie oczy, będzie ją słyszeć lepiej.

Musi mieć zamknięte oczy, bo te wstęgi światła są takie oślepiające.

Nie wstęgi. Jedno światło.

Mężczyzna, który trzyma latarkę, pochyla się nad nią.

— Proszę pani — mówi, klękając, i światło znika. — Nic pani nie będzie. — Joan czuje, że coś mocno uciska jej nogę. — Proszę wytrzymać chwilę. Już -wezwaliliśmy pomoc.

Ma na sobie ciemną koszulę i coś błyszczącego na piersi. Joan wyobraża sobie, że mógłby to być pan Simmons, jej nauczyciel z piątej klasy. Kiedyś przeczytał jej wypracowanie i powiedział, że ona w przyszłości będzie kimś.

— Lincoln — mówi Joan.

— Pani chłopiec?

Mężczyzna delikatnie odgarnia włosy z jej twarzy.

— Mały ciemnowłosy chłopczyk? — pyta ją.

Joan ma zamknięte oczy. Otworzy je.

— Lincoln — powtarza.

A przynajmniej tak jej się wydaje.

Po jakimś czasie czuje, jak ktoś ją chwytą i podnosi. Słyszy głosy, ale nie potrafi rozróżnić słów. Więcej światła. Jakieś sylwetki poruszają się wokół niej.

Czuje paluszki dotykające jej dłoni.

Lekko ją rozchyła i wtedy Lincoln wsuwa w nią swoją rączkę. Chyba wymawia jej imię. Wydaje jej się, że czuje jego ciepły oddech. I pieśczołą jego palców, których czubki poruszają się w jej dłoni, opowiadając te wszystkie historie, które kiedyś już słyszała.

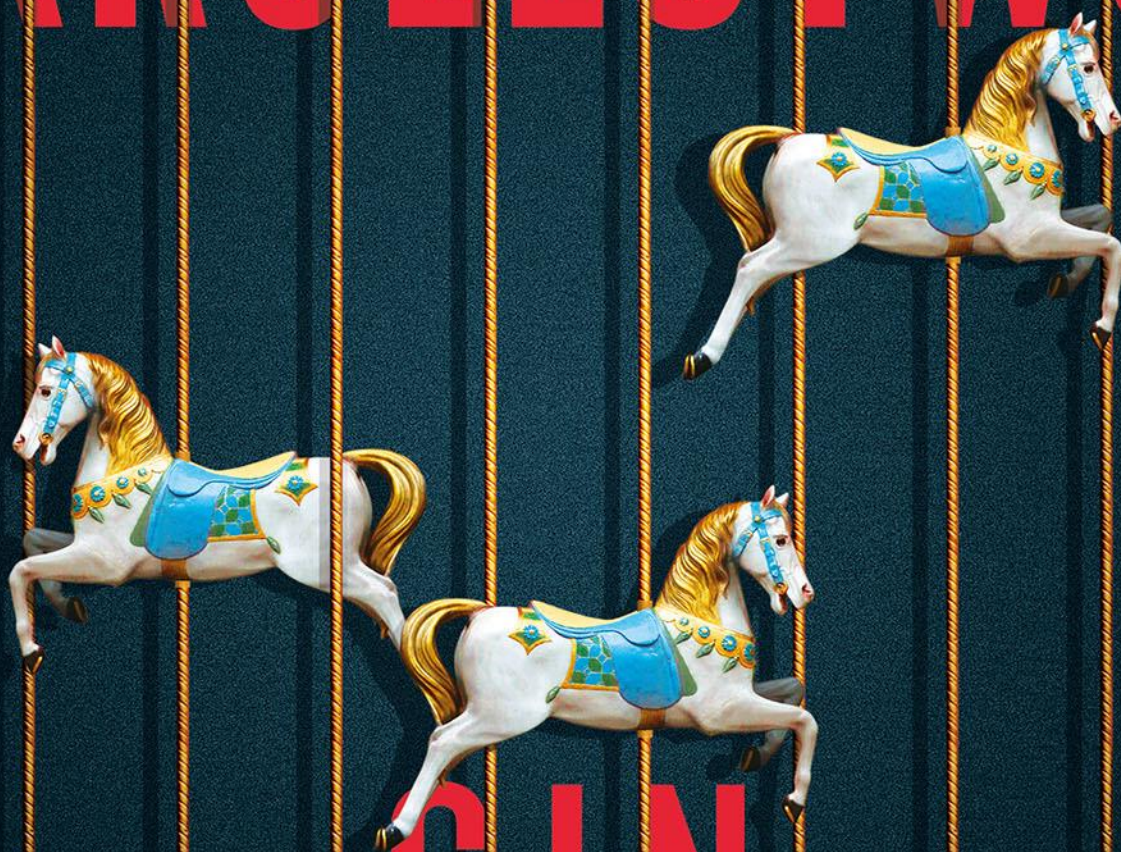
Podziękowania

Dziękuję mojej przyjaciółce Laurze Tisdell za to, że wskrzesiła moje śmieszne marzenia, iż pewnego dnia znajdę wspaniałą redaktorkę, która będzie też umiała bawić się na pizama party. Właśnie tym był cały proces powstawania tej książki — jedną wspaniałą pizama party na odległość. Frankie Gray i Anne Collins pomogły mi uformować zgrabniejszą, lepszą wersję powieści. Jestem niezmiernie wdzięczna Kim Whitterspoon za sugestię skomplikowania akcji oraz za to, że ona sama jest imponującym połączeniem wiedzy i uroku osobistego. I Williamowi Callahanowi, który wzbogacił książkę swoimi celnymi i mądrymi uwagami. Dziękuję ci, Jasonie Weekley, za informacje o broni i za sprawdzenie podstawowych faktów. Dziękuję również mojemu bratu Dabneyowi za wyjaśnienie, co się dzieje podczas oddawaniu strzałów do różnych przedmiotów (a także za kozy).

Dziękuję mojej matce Ginie Kaye Phillips za te wszystkie opowieści zebrane przez ponad czterdzieści lat nauczania. Jestem wdzięczna Hannie Wolfson za niezwykle pomocne początkowe rozmowy i Donny'emu Phillipsowi za jego kocie eskapady. Chcę też poinformować, że zamieszczone w tej książce cytaty zaczerpnęłam z *Goodnight Moon* Margaret Wise Brown, *The Highwayman* Alfreda Noyesa oraz *That Hell-Bound Train* Roberta Blocha.

I w końcu dziękuję Fredowi, najlepszemu z mężów i czytelników.

DZIKIE KRÓLESTWO



GIN
PHILLIPS